

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

PARYŻ

Nr 6/23

1949

---



• *«La Culture» • Revue mensuelle •*

**WAŃKOWICZ -- KLUB TRZECIEGO MIEJSCA**

LIST DO FLORCZAKA I BLISKICH \* «ŚWIAT» — Do-  
jutrki \* Stara epoka \* Moce rozbijające \* Impas broniących \*  
25 lat anarchii? \* «EMIGRACJA» — Dysproporcje \* Jaskrawe  
światło \* Wstydlivy cień \* KLUB TRZECIEGO MIEJSCA.

**MALAPARTE — HISTORIA JUTRA**

## SPIS RZECZY

Józef Czapski:	<i>Szeptem</i> .....	3
◆		
Melchior Wańkowicz:	<i>KLUB TRZECIEGO MIEJ- SCA</i> <i>LIST DO FLORCZAKA I BLISKICH.</i> .....	5
	Cz. I-sza — «ŚWIAT»	
	<i>Dojutri</i> .....	7
	<i>Stara Epoka</i> .....	14
	<i>Moce rozbijające</i> .....	19
	<i>Impas broniących</i> .....	23
	<i>25 lat anarchii?</i> .....	37
	Cz. II-a — «EMIGRACJA»	
	<i>Dysproporcje</i>	
	Historyzm i możliwości ....	42
	Królewieta .....	48
	Orgia fikcji w cieniu lipy ide- ologicznej .....	50
	<i>Jaskrawe światło</i>	
	1) Arogancja wobec Angli- ków. ....	57
	2) Chamstwo wobec kraju. ....	59
	3) Ostracyzm wobec współ- emigrantów .....	60
	<i>Wstydlivy cień</i>	
	Kompleks niższości wobec Anglików .....	65
	Kompleks bezwładu wobec bolszewizmu .....	70
	Kompleks załapania wobec kraju. ....	75
	<i>KLUB TRZECIEGO MIEJ- SCA.</i> .....	78
◆		
Curzio Malaparte:	<i>HISTORIA JUTRA</i> (autoryzowany przekład Zofii Hertz) .....	85

## ARKUSZE POETYCKIE

Henryk Mirzwiński:	<i>Zwierciadło</i> .....	173
»	<i>Czasem</i> .....	174
J. Dołęga-Kowalewski	<i>Deo Juvante</i> .....	175

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ** Wrzesień - Septembre 1949

**INSTYTUT**



**LITERACKI**

Zamieszczamy świetne i wstrząsające studium M. Wańkowi-  
cza, które zajmie niewątpliwie jedno z czołowych miejsc w li-  
teraturze narodowej. Nie ze wszystkimi stwierdzeniami autora  
się zgadzamy. Jest to jednak dalszy etap dyskusji, prowadzonej  
na łamach KULTURY od roku i to etap zasadniczy. Słusznie  
stwierdza bowiem Wańkiewicz, że w dzisiejszym przelomowym  
okresie nikt nie ma gotowych sformułowań, nowego dekalogu,  
który można podać do wierzenia z całą odpowiedzialnością. Do  
sformowania wizji nowego świata i roli w nim Polski możemy  
dojść tylko uczciwym i bezwzględny przedyskutowaniem  
wszystkich obowiązujących dotąd pojęć i wartości. W każdym  
razie tę drogę myśmy wybrali.

Dla zorientowania czytelnika w kierunkach myśli światło-  
poglądowej amerykańskiej, w najbliższych numerach zaczniemy  
drukować książkę Jamesa Burnhama „O władzę nad światem”  
(The struggle for the world), którą autor specjalnie dla nas  
uaktualnił i uzupełnił, rozwijając przede wszystkim zagadnienie  
Europy Centralnej i Wschodniej. Będziemy potem próbowali  
formować stanowisko zespołu KULTURY. O pomoc w tej pracy  
prosimy wszystkich czytelników.

REDAKTOR.

## Szeptem

Dziesięć lat temu... Czasami mi się zdaje, że człowiek nie ma  
prawa istnieć, że żyjemy wszyscy tylko dzięki naszej bez-  
myślności, naszej niewierności, dzięki naszej nie-  
pamięci. Kto z nas mógłby oddychać, mógłby żyć, gdyby  
pamiętał naprawdę i pamiętał nieustannie.

Nawet słowa najświętsze, nawet pamięć o zmarłych — wszy-  
stko nabrało w słowach naszych i pismach jakiejś gładziny,  
połysku martwych, drewnianych, polerowanych przedmiotów —  
narzędzi propagandy. Na całej kuli ziemskiej powtarzamy sło-  
wa, słowa, słowa — i zdaje się nam przez to, że jesteśmy  
wierni?

Są jednak istoty, które milczą, chodzą za codziennymi, zwy-  
kłymi, żmudnymi sprawami, martwią się, że nie mogą dostać  
lekarstwa, że nie mogą dostać mięsa, tylko raz na tydzień, po  
długim staniu w ogonku, „jakieś baranie kości”, piszą długie  
listy z kraju o drobnych, drobniotkich sprawach życia. Ale pod  
tą pokrywką zwyczajnych trosk i zwykłych dni jest prawie ni-  
gdy, prawie nikomu nieujawniana rana niezagojona, brocząca  
od lat i nad siły ludzkie bolesna, rana pamięci wiernej na-  
prawdę. Rana serca matek, którym dziecko zginęło gdzieś  
po świecie, którego ciało leży we wspólnej mogile, a może płytko  
przykryte ziemią w jakimś rowie przydrożnym czy pod zwałoną  
kamienią, w miejscu nieznanym, dla wszystkich obojętnym,  
ale dla tej jednej matki miejscu najświętszym. O tych sprawach  
trzeba by milczeć, już lepiej pisać o „dziejowej sprawiedliwości”  
niechybnej, szybkiej, praktycznie wymiernej i o innych do-  
brych bajkach. Ale ta „dziejowa sprawiedliwość”, gdyby nawet  
istniała, nie uleczyłaby tych ran broczących.

Dziesięć lat temu... Dotychczas ileż matek jeszcze czeka, je-  
szcze nie wierzy w śmierć swoich dzieci, czeka wbrew wszelkiej  
oczywistości ich powrotu, ciągle jeszcze dźwięczą tysięczne wo-  
łania nieustanne, rozdzierające, poprzez wszystkie zagwożdżone  
i strzeżone granice, wołania, poszukiwania bliskich, których  
kości już dawno leżą w ziemi.

Ileż rocznic. Przecież nie tylko dziesięć lat temu, ale pięć...  
Nowe pędy na strzaskanym drzewie i znowu śmierć dzieci, któ-  
re nie rachowały i tłumili w sobie każdy odruch samoobrony

IMPRIME EN FRANCE.

Tous droits de traduction et reproduction réservés pour tous pays.

jako małość i znowu matki, które dzieci swe żegnały, wysyłając je nawet same do walki, dawały im ostatni uśmiech, kosztował je może więcej niż wszystkie lzy ich życia.

Dziś groza rzeczywistości nie gładzi ale podkreśla ból i gorycz tamtych rozdarć. Cóż z tego, że ze wszystkich ofiar ukuto dobre slogany, które służą wszystkim narodom, wszystkim partiom, wszystkim najbardziej skłóconym, zakłamanym, czy zagubionym, czy bezmyślnym zjazdom.

W tę rocznicę może by lepiej milczeć i myśleć. To, co się przeszło, doprowadzić w świadomości do końca, dotrzeć do jądra zagadnień, nie zatrzymywać się na pół drogi, nie stawiać między sobą a rzeczywistością różowych parawanów fikcji, nie kleić ran optymistycznymi plastrami, pod którymi tylko wzmaga się rozkład. Milczeć. Ale nawet milczenie już dzisiaj, ta "minuta milczenia", stało się jedną z form pustej liturgii tysięcy pustych akademii.

Józef CZAPSKI.

## Klub Trzeciego Miejsca

### List do Florczaka i bliskich

Pierwszy raz zwróciłem uwagę na Pana, przeczytawszy pański list o powstaniu.

— Patrz — podałem go bliskiemu i rozumnemu człowiekowi.  
— Podły artykuł! — zmiął pismo.

Stracił córkę w powstaniu. Pan odbierał sens tej śmierci.

Wówczas pomyślałem — jak trudno jest pisać prawdę. Przeciwnie bowiem będą nie tylko przywary ludzkie. Ale będzie przeciwko niej sprzysiężenie najczarniejszych.



A pan, drogi Panie Zbigniewie, sam krucho z tą prawdą stoi. Wie Pan, co się Panu nie podoba. Przeczuwa Pan, czego by Pan chciał. Ale nie wie Pan, ani nawet w mglistym zarysie nie umie Pan wskazać drogi po której chciałby iść do tego.

Dla niewielu tylko (na szczęście) myślenie może być celem samo w sobie. Większość (i słusznie) wymaga od publicystyki wskazówek: co robić? Tej wskazówki nie mogą liczeni na palcach publiczności, mający poczucie odpowiedzialności, z rękawa wytrzasnąć. Tymczasem szata ideowa jest potrzebna czytelnikowi jak ubranie. Skoro Pan jej nie może dostarczyć, czytelnik idzie do sklepików publicystycznych po tandetę, a do Pana czuje tym więcej goryczy, im silniej odczuł, dzięki Panu, że paraduje w tandecie.

Cóż mają pańscy odbiorcy robić? Człowiek musi przecie w coś się ubierać i w czymś chodzić.

Gdyby był Pan w stanie oferować jakąś wykończoną szatę ideową, to znaczy taką, w której można pracować, której można używać, w której można iść do czegoś, gdyby Pan, na przykład propagował choćby trockizm — miałby Pan przy najmniej pokrzepiające poczucie, że należy Pan do kamienionianych proroków. Ale i to jest Panu odjęte.

Jest więc tak, że Pańskie artykuły są jak światełka, pelgające na kisnącym torfowisku. Jadąc drogą widzi się takie ognie. Wytlewają. Może się łatwo zdarzyć, że Pan zczeżnie razem z nimi — tuż przy tej rojnej drodze. Przechodnie, mijając takiego

umierającego biedaka, pośpiesznie konstruuja uzasadnienie dla swej obojętności.

Jedni mówią, że kto nie produkuje potrzebnych ludziom wartości, ten ginie — coś na to poradzić. Inni żalują nawet, ale powiadają, że po to są fachowcy, żeby się Panem zajęli.

Należałem do tych ostatnich. Stronię się od publicystyki. W reportażu wystarcza spostrzegawczo patrzeć i sygnalizować; w publicystyce ponadto należy podsuwać rozwiązania.

Jeśli więc zbliżam się do Pana z pomocą na jaką mię stać, to staje się to tak, jak kiedy minęło na ulicy leżącego biedaka, odwracając wzrok, dziesięciu doktorów, aż wreszcie nieuczony przechodzień pochylit się i zaryzykował rozzerwać dławiący kotnierz.

Przypuśćmy, że Pan po tym zabiegu zaszedł do mnie. Postawiłem na stole herbatę, zasunąłem rolety, zapaliłem nierazące światło. Przyglądamy się sobie. Tłumaczę się z niefachowej pomocy, ale widzi Pan, lepsza taka jak żadna. Bo... i ja tak jak Pan parę razy leżałem pośrodku rojnej ulicy. Tylko... że nikt mnie nie podniósł Sam się zwlokłem. I wie Pan, co mi sił dodało? Przekonanie, że wśród mijającego tłumu jest wielu bliskich i drogich. Tylko przechodzą w przekonaniu, że Panem powinni zająć się bardziej powołani.

Kiedy tak nieśpiesznie rozmawiamy ze sobą — chciwie wpatruję się w Pana. Nie znam Pana, nie widziałem Pańskiej fotografii. Może by mi coś powiedział zarys czoła, szczęki, spojrzenie, uśmiech? Może by pogłębił, a może ściał rozmowę?

Kiedy imaginacyjnie rozmawiam z Panem, patrzę w jedyne dostępne mi fakt: Pan ma, podobno, trzydzieści lat?

Ja mam blisko sześćdziesiąt.

Rozumie Pan, jak nam trudno rozmawiać?

Pan widzi na moich zgarbionych plecach okres przedniepodległościowy, walkę o niepodległość, jej budowanie, pan widzi w moim dławiącym brzemieniu nakostniałe warstwy odruchów i, po prostu, głupstw, wymodelowanych w moim samopoczuciu we wspaniałym pomniku Dzieła Mojego Pokolenia.

Ja patrzę na Pana jak na żółtodzioba, który właściwie nie znał Polski takiej jaka była. I nagle tę moją niezmierną wyższość przeszywa żrąca myśl: że Pan dopiero przed trzydziestu laty pojawił się na ziemi „Stamtąd”, że rzucony Pan był w to piękietko powojenne doskonale nagi i uczulony.

Uczulony... Właśnie...

I jak człowiek o osłabionym już wzroku, który obserwuje przedpole i nie jest pewien, czy to co bierze za czołg jest czołgiem — prosi młodszego o zweryfikowanie, tak jak proszę Pana o to.

## Cz. 1. — « Świat »

### DOJUTRKI

Z tym patrzaniem gołym okiem w teren jest zabawna sprawa. Fachowcy posiłkują się lunetami, zdjęciami stereoskopowymi, kombinacją zdjęć pionowych i ukośnych, odcyfrowaniem współnakładających się cieni, zestawieniami szybkości dźwięku i głosu — i w rezultacie tych wszystkich mądrości widzą to, co im nakazuje widzieć... podświadomość.

Kiedy pierwszego dnia bomby niemieckie padły na Warszawę, a żona niepokoila się, że córka utkwi w Oxford, powiedziałem:

— Telefonuje, że zdoła jeszcze przez Szwecję przylecieć w ten barszcz i tak powinna zrobić. Ale czego ty jako matka się niepokoisz, że tam utknie? Przecie tu będzie Serbia (rozbita i zajęta w czasie tamtej wojny).

Z perspektywy lat jest jasne, że była to nieskomplikowana, jedyne słuszna dedukcja. Ale któż by ją podzielił w dniach września? Naturalnie, sam się z nią nie wysuwałem, bo w czasie akcji na to nie czas. Ale w dni wrześniowe nawet w samym sobie nikt tak nie myślał. Czy przez dyscyplinę wewnętrzną? Przez dzielność? W takim razie nie ma różnicy między *wishful-thinking* i dzielnością. I w takim razie ci, którzy jako rycerze "kultury zachodniej, do której od wieków należy naród polski" wybierają się "na drgającym szatanu ciele zatknąć sztandar zwycięski swój" są, po prostu, dzielni w odróżnieniu od nas, epileptyków, których drgawki tarzają przy ludnej ulicy?

A przecież wojskowi studiowali, uzbrojeni w doktryny (marsz. Śmigły-Rydz po klęsce mi powiedział: "No, tylko (!) tego uderzenia czołgów nie przewidzieliśmy"), a przecież dyplomaci studiowali owo przedpole, uzbrojeni w raporty (min. Beck mi powiedział: "Jeszcze w lutym 1939 miałem wrażenie, że burza zwali się wzdłuż Dunaju — w dół od nas...")

Przeszedłszy w bród Dniestr, patrząc, już bezpieczny, na "bolszewicką stronę", przypomniałem sobie tę rozmowę z żoną i pomyślałem, że przyrzędy na nic, jeśli ich wskazania fałszuje *wishful-thinking*.

Wycisnąłem z wody ubranie, dobiłem do Czerniowiec, w drodze do Bukaresztu pisałem kulawą francuszczyzną artykuł do pism rumuńskich na małej "Efce", którą przeniósłem przez nurt unosząc nad głową. Z dworca pojechałem do trzech po kolei redakcji. Materiał był pierwszorzędny, cała Rumunia chciała wiedzieć, co w te gorące dni dzieje się za jej ścianą. Z artykułu jednak można było wydedukować, że zalew rosyjski wtoczy się na Bukowinę i Besarabię (co też się stało). We wszystkich trzech redakcjach nie chciano imputować takich myśli czytelnikom i artykuł nie ukazał się. Teraz rozumiem, że

już wówczas stanąłem u początku biegnącego przez świat muru *wishful-thinking* tym samym, za którym potem chciał świat widzieć silną i niezależną Polskę w sojuszu z Rosją, tym samym, który zdobyły baszty zarówno Jałty jak... Karty Atlantyckiej.

W tym miejscu pańskie trzydzieści lat spojrzęło na moje sześćdziesiąt z poczuciem politowania.

Że... niby o czym tu długo głądzić w sprawach tak jasnych.

Widzi pan — jak ma się trzydzieści lat, to jest jasne, że wszyscy są durnie i od nas zaczyna się świat. Jak się ma lat sześćdziesiąt, człowiek pokornieje: ostatecznie ten świat nie czekał na nas, aby coś zrobić i te "durnie" dokonały jednak wielu rzeczy wcale dobrze.

Więc, aby zbuntować się przeciw nim, trzeba sobie wywalczyć prawo do powtórnej młodości. Rozumie pan? Epilepsja już trząść przestała i facet nagle wydziera się z powrotem — do epileptyków.

Rzućmy metafizykę — wróćmy do sprawy zasadniczej: narastającego zdumienia, że zwykła uczciwość w myśleniu nie jest tak dalece niewydoskonalonym przyrządem.

Było to w marcu 1940 r. Córka, po ukończeniu kampanii wrześniowej, co dla niej nastąpiło aż w końcu października, przyjechała do Bukaresztu. Byliśmy zaproszeni na śniadanie na którym rozpalila się dyskusja, kiedy wrócimy. Było to przed niemieckim skokiem na Skandynawię. Któraś z pań wyraziła przekonanie, że na wiosnę (1940!). Panowie, jako realniejsi, z uśmiechem pobłażliwej wyższości stwierdzili, że to niemożliwe. Niewątpliwie potęga niemiecka na wiosnę zostanie skruszona, ale, rozumie pani, wojskowe eszelony będą miały pierwszeństwo. Chyba, że kto zechce skoczyć do Polski dzikim sposobem, na własną rękę, czepiając się transportów wojskowych. Rozważni panowie mieli poważne obawy, że z należnym komfortem, z rodzinami, z nieuronionym a nawet powiększonym bagażem załeszczyckim, nie uda się wrócić przed jesienią 1940. Nawet przed późną jesienią. Jeden posunął się tak daleko, że sądził, że to może nie nastąpić przed wiosną 1941. Ale umilkł zakrzyczany jako defetysta.

Do salonu łącznie z kawą pani domu wniosła sztambuch. zaproponowałem, aby w nim zaprotokółować śniadaniową dyskusję. Pani domu przyklasnęła, trudno było odmawiać.

— Sekretarzu! — zwróciłem się do córki — więc pan mówił?

Zaczepony, oficer rezerwy, ziemianin, spalony kandydat do sejmu, brat znanego pisarza, począł dyktować:

— Jako Polak i chrześcijanin wierzę w zwycięstwo sprawiedliwości...

— Stop!... — zakrzyknąłem — ja też jestem Polak, chrześcijanin i wierzę w zwycięstwo sprawiedliwości. Ale Szanpan prze-powiada powrót na jesień 1940 r.? — zapytałem słodko. — Zapisz.

— A pan — też...

— A pani — też...

Poopisywaliśmy wściekle towarzystwo, oddaję sztambuch z ucałowaniem rączek.

Nastąpiła wrzawa :

— A pan?..

Aczkolwiek protokółowaliśmy dyskusję, w której nie brałem udziału, sytuacja stała się tak napięta, że podyktowałem:

Punkt pierwszy: «*Wojna będzie trwała sześć lat*».

Atmosfera z punktu się rozrzedziła. Gdybym powiedział "Dwa lata", zaraz tegoż wieczora kawiarnie bukareszteńskie huczałyby o mnie jako o skandalicznym defetystie. Ale sześć lat? Był to tak oczywisty nonsens, że nie można było kogoś posądzać, by go wygłaszał poważnie. Ot, epatowanie paradoksami. Poroniony kandydat na polskiego Bernarda Shaw.

I pozostałych punktów słuchano z rozbawieniem:

Punkt drugi: *Nie będzie zwycięzców; można pancerkami wjechać do Berlina, ale nie jest to równoznaczne z możliwością urzędowania powojennego świata.*

Punkt trzeci: *Przewiduję roczną preponderencję Rosji w Europie.*

Punkt czwarty: *Po czym rozpocznie się 25-letnia anarchia, która zburzy wszystko, zmele świat na pył drobniańskich cząsteczek. Po 25 latach te cząsteczki poczną się zrastać nie według jakiegokolwiek z góry wyznaczonego planu, tylko biologicznie — jak odrasta stratowana trawa.*

Tu już horoskop począł nudzić.

— Czy wiecie państwo, że Iksińska przyjechała z Polski, a tu tymczasem Iksiński drapnął do Paryża z Ygrekowską?

Towarzystwo rzuciło się na ofiarowaną kość i ocalałem. Pan domu jednak dopilnował, żebym dziwaczny horoskop podpisał.

Jego ostatni punkt jednak dotąd wisi w przestrzeni. Nie wiem czy uda mi się go nieco ściągnąć na ziemię, aby móc bliżej rozpatrzeć. W każdym razie będę próbował.

Nie mam temperamentu politycznego i chętnie, może i z nawyku reporterskiego, szukam wyjaśnień u fachowców, z góry zakładając, że ich zdanie jest podbudowane odpowiednią metodyką myślenia. Ponieważ na opisanym śniadaniu byli ludzie, piastujący w Polsce przedwrześniowej stanowiska, które powinnyby wymagać wiedzy i metodyki myślenia, więc nie mogłem otrząsnąć się zdumieniu, pragnąłem zweryfikować, czy to ja dywaguję wskutek szoków, któreśmy wszyscy przeszli, czy też naokoło siebie mam dom wariatów.

Siedząc więc następnego dnia w kawiarni z parlamentarzystą, odgrywającym czołową rolę w przedwrześniowym sejmie, zaproponowałem, abyśmy się wymienili horoskopami na piśmie. Proponowałem napisanie na piśmie, idąc za maksymą francuską, że nikt tak się nie obawia pisma jak kobieta prywatna i mężczyzna publiczny. Sądziłem, że jeśli zgodzi się dać mi taki papierek, to sformułowania będą tak powściągliwe, że nie pozostanie nic poza ogólnikami.

Pan... (małom nie napisał tytułu, tak ściśle związanego z osobą, że równałoby się to wskazaniem palcem) — był wylewny, nie bojaźliwego serca i poszarżował na horoskop.

Rozmowa nasza miała miejsce 19 lutego 1940 r., a oto prognostyk, co miało się dziać za rok o tej porze, prognostyk, który mam przed sobą i dosłownie przepisuję:

#### 19 LUTY 1941 r.

**Na Wschodzie.** Wojska alianckie i państw skandynawskich zajmują Leningrad i okupują państwa bałtyckie. Rewolucja na Ukrainie. Korpus ekspedycyjny aliancki i armia turecka po zajęciu zagłębia naftowego Baku uwalniają Gruzję. Bunt wojskowy w Moskwie. Wobec pogłębiającej się współpracy niemiecko-sowieckiej, Włochy wypowiedziały Niemcom wojnę. Wojska ententy bałkańskiej, aliantów i włoskie przekroczyły granicę południowo-wschodnią Rzeczypospolitej.

**Na Południu.** Wojska Ententy kroczą szlakiem lombardzkim na Wiedeń.

**Na Zachodzie.** Po nieudanej próbie (ponownej) złamania neutralności Holandii, przeszły wojska alianckie do ataku i wkroczyły na tyły linii Siegfryda. Gwałtowne walki powietrzne. Zniszczenie przemysłu wojennego niemieckiego do linii Berlina. Ruchy powstańcze w Polsce.

Ameryka (Stany Zjednoczone) przyłączyła się jesienią 1940 r. do wojny po stronie ententy.

To zbieranie horoskopów kryło w sobie i moje osobiste zainteresowania, stanowiące, jak się okazało, o życiu i śmierci: czy sprowadzać resztę rodziny?

Mając przeciw swoim wywodom zgodną opinię, nie sprowadziłem drugiej córki. Została i zginęła.

Drogi Panie!... Poruszam temat prywatny i bolesny. Ale jestem na odludziu, odcięty, nic nie jestem w stanie zdziałać, chciałbym rzucić co mogę na świadomość Pana, aby go umocnić w pisaniu. Przecie tak jak w moim wypadku o życie jednostki, tak w ogólnym polskim chodziło o życie narodu. I chodzi. Bo znów mogą nastąpić ofiary. Umierający sądzą, że są one składane promiennemu bóstwu ojczyzny, kiedy w gruncie rzeczy syci się nimi fałszywy bożek *Wishful-thinking*.

Od 1794 r., kiedy wybuchło powstanie narzucone przez agentury obce, nie byłoby powstania, w którym by te agentury nie grały roli decydującej. Ułatwiała im to właśnie taka łatwa i przyjemna gadanina, jak na tym śniadaniu, jak z tym parlamentarzystą w kawiarni.

Czyż taka gadanina nie trwa? W jednym miesiącu prasa zamieszcza wezwania dwóch panów B. — czołowych poetów emigracji. Pierwszy B. każe "Kiedy naprawdę błysnie na ugorze wolność, milionom walczyć, tysiącom umierać". Drugi B. marzy o Konradzie, który "miecz ostrzy, bacząc aż łuny zapłoną".

Ten drugi B. jest prezesem Związku Pisarzy, a więc ośrodka, który powinien znać wagę słowa. Słowo się łatwo rymuje, ale, parafrazując ludowe przysłowie "wylatuje ptakiem, a wraca trumną".

Jakże emigrant ma sobie rozszyfrować te poetyckości? Czy nie tak, że kiedy dwójka da znak Polakom (błysnie na boczku — na ugorze), miliony będą walczyć, ale tysiące Polaków umierać. I jak ma "ostrzyć miecz", czekając na te łuny? Pewno, płacąc składkę na utrzymanie władz kombatanckich.

Dlaczego moje przypuszczenia co do rozwoju wypadków, które dotychczas w dwóch trzecich się sprawdziły, były traktowane jako paradoksy, kiedy opierały się na niezmiernie prostych przesłankach:

1. Tamtą wojnę Niemcy prowadziły cztery lata, mając przeciw sobie Amerykę, Anglię, Francję, Rosję i Włochy. Tę wojnę wiele lepiej przygotowały, miały za sobą Włochy i pomoc Rosji, nawet więc licząc się, że i Ameryka i Rosja do wojny przystąpią, można było czas wojny przewidywać o 50% dłuższy bez zgrywania się na proroka.

2. Skoro się przewidywało klęskę Niemiec ze względu na reursy ich przeciwników, a ci przeciwnicy nie niesli żadnej nowej idei, było jasne, że wojna rozpoczęta w 1914 nie może zakończyć się w tysiąc dziewięćset czterdziestym którymś żadnym trwałym zwycięstwem, bo umierające epoki trwałych zwycięstw nie odnoszą.

3. Po za Niemcami ideę zdobywczą reprezentowała Rosja. Można więc było przewidywać, że w zmęczonej Europie powojennej naród najliczniejszy, opanowany tą ideą i o najniższym standardzie życia, a więc i najmniej zmęczony — będzie grał rolę decydującą. W rozumowaniu popełniłem błąd "wiszultinkowaty", zapowiadając roczną preponderencję Rosji w Europie. Dopiero w memoriale, złożonym 1 sierpnia 1944 r. na ręce kpt. Gierata jako p. o. szefa Oddz. Kult. i Pr. II Korp. ostrzegałem, że Europa będzie frontem drugorzędny i że: "nie chcąc płacić weksli, które do niej będą wyciągać komuniści wszystkich krajów, Rosja będzie utrzymywać kordon od Europy".

Na ogół poprawny, jak się okazało już w pierwszych trzech

punktach całokształt rozumowania w "horoskopie" jest więc tak nieskomplikowany, że żadnego zaszczytu rozumującemu nie przynosi. Rzeczą natomiast godną uwagi na przyszłość i w najwyższym stopniu niepokojącą jest, że ludzie po prostu odrzucają logiczne rozumowanie, jeśli prowadzi do niepożądanych wniosków. Pamiętam, jak przybysz z kraju dowodził, że wojna przedko się skończy; spytany, na czym opiera swoje twierdzenie, odpowiedział — "bo jeśli dłużej potrwa, to kraj tej sumy cierpienia nie wytrzyma".

Rozumowanie bardzo typowe.

Pragnąc uporządkowanego życia, nie dopuszczaliśmy myśli, że na to nie wystarczy jedna faza — pobicie Niemiec, tak jak teraz nie dopuszczamy myśli, że nie wystarczy następna faza — pobicie Rosji.

Kiedy w kwietniu 1941 r. na Cyprze postawiłem w pogadance tezę, że przyłączenie się Rosji do aliantów będzie dla nas klęską, przysporzyłem sobie sporo ostrej niechęci.

Teraz nawet dla amerykańskich izolacjonistów konflikt z Rosją jest nieuchronny.

Natomiast — czy rozumiemy, że pobicie Rosji nic by nie załatwiło i przeciągnęło walkę w imię nowej epoki o czwartą wojnę?

W kwietniu 1940, żegnając się na dworcu bukareszteńskim z córką, odjeżdżającą do USA, powiedziałem:

— Cóż, jesteście w dwóch obozach. Ja życzę zwycięstwa aliantom, bo chciałbym mieć jeszcze nieco takiego takiego życia. Ty, z twymi osiemnastu laty, masz większą marzę czekania i większą możliwość oflary. Wolałabys, żeby się wszystkie ciężary zmeły w zaraniu twego życia za cenę spokojnej młodości twoich dzieci.

Dla widzących przed sobą już tylko jedną fazę, konkluzja jest mniej skomplikowana. Natomiast dla ludzi, mających pogląd zbliżony do mego "horoskopu" w 1940 decyzja nie jest prosta.

W 1940 sądziłem, że alianci zwyciężą, ale nie potrafią urządzić świata.

W 1949 sądzę, że Rosja zwycięży, ale nie potrafi urządzić świata i rozleci się.

Iść ze stroną skazaną na przegrane przeciw Rosji jest bezmyślnym samobójstwem, a walka o rzekome walory kultury zachodniej — zakłamanie publicystów, którzy potrafią recytować Wyspiańskiego, ale z ekonomii politycznej nie przeczytali nawet jednego podstawowego podręcznika. Pan gorąco pisze, że nieznamość marksizmu jest zbrodnią. W każdym razie, w chwili obecnej publicystyka nie mająca pojęcia o go-

spodarczych i socjalnych przeobrażeniach świata jest ciężkim przestępstwem.

Iść z Rosją, która jest tylko narzędziem wydoskonalonym dla rozbicia starej epoki, jest to upust krwi i zamylenie drogi narodu kosztem doraźnych zysków.

Mając mało zapału do angażowania się w walkę fazy przejściowej, mamy bardzo ciężką sytuację psychiczną. Boję się, że Pański Klub Trzeciego Miejsca, do którego zgłaszam akces, może okazać się klubem filozofów-milczków, spoglądających na siebie z zakłopotaniem, jeśli nie, po prostu besserwisserów, malkontentów, a może i przelazem w barykadzie dla dezertorów.

Zanim się w tym klubie dorobimy jakichś pozytywnych koncepcji, już będzie niewątpliwą zasługą, jeśli podważymy łatwe rozwiązania i przyczynimy się do otwierania oczu na długofalowość odbywającego się procesu.

Kiedy tylko zakończyła się wojna, w maju 1945 r. zapytałem pewnego pułkownika, szefa bardzo ważnego oddziału sztabu, co przypuszcza, że będzie za rok.

— Będziemy pod Kijowem — odpowiedział bez zajknięcia.

Kiedy to powtórzyłem generałowi, odpowiedział:

— Pułkownik ma rację, że będziemy w wojnie z Rosją, ale, moim zdaniem, za rok będziemy jeszcze prowadzili opóźniające działania na Sycylii.

Zwróciłem się do jeszcze bardziej miarodajnego generała:

— Wojna rozpocznie się jak nie tego, to na pewno następnego września.

Póki to mówią wojskowi, to niech tam. Tylko w naszym zakłamaniu generałowie są mężami stanu, a nadto często dyspozytorami pieniędzy i stąd ich opinie stają się obowiązujące. Tu jest próg klęski.

— Panie generale — prosiłem trzeciego generała — niech pan da młodzieży pozdawać matury.

— My nie Czesi — wydał usta.

Rozmowa odbywała się w Palestynie; pogardziliśmy wówczas Żydami, że się wykręcają od wojny z Hitlerem. Ci pogardzani Żydzi dowiedli, że potrafią umierać, kiedy tego istotnie potrzeba. A my wyróżniliśmy tę naszą młodzież po Teheranie i Jałcie i gotowi jesteśmy to co pozostało wyrzynać w dalszym ciągu.

Kiedy po mowie Churchilla 2-gi Korpus jechał krwawić się do Włoch, oburzenie wywołałem arykułem "Sygnały wśród nocy".

Cytując relacje posłów polskich u mocy ościennych o przygotowywanym zamachu na polskie terytorium, przytoczyłem słowa Sołtyka: "Drętwieją usta od wymówienia co za nieszczęścia są przygotowywane dla naszej Ojczyzny". Przypomniałem, że walki przed półtora wiekiem na tych ziemiach na których



walczyć mamy zakończyły się Mantuą, traktatami w Campo Formio i Luneville i wysłaniem na San Domingo (San Domingo nie było przymusowe; ale kto nie chciał wracać do kraju, a nie miał z czego żyć, mógł zapisać się do tamtoczesnego PKPR).

“Znalazłszy się na ziemi włoskiej” — pisałem — “z drżeniem wewnętrznym słuchamy tego głosu sprzed wieków, my, którym też drętwiąją usta, kiedy mówimy o nieszczęściach przygotowywanych dla naszej ojczyzny”.

Czy tego rodzaju publicystyka nie jest teraz tym bardziej potrzebna?

Jesteśmy jak gromada dzikusów, która miała brać udział w pięćdziesięciokilometrowym biegu. Na byle gwizdek byle jakiego Drugiego Oddziału podrywalimy się i gotowi jesteśmy podrywać się do sztafetu sprintu.

Wówczas, kiedy pisałem “Sygnały wśród nocy”, a ów generał pouczał mnie o potrzebie wyrznięcia młodzieży, mimo wyrazistości tych sygnałów, narody rozmierzały dech, król duński nie opuszczał zajętej przez Niemców Danii, nie emigrował Leopold belgijski, Petain siedział w Vichy, Holendrzy robili dobre interesy, Benesza dublował Hacha, a ci sami Anglicy dali po zakończonej wojnie burmistrzom wysp na kanale odznaczenia za kolaborację z Niemcami. Zapewne, żeby ukołić ich rozżalenie: w czasie wojny nie dali im ani jednego zrzuca z bronią, sobie odejmując od ust i wszystko dając Polsce.

Więc wytłumaczyć dojrutkom, żeby się nie rwali do sprintu i że ponownie stoją przed faza długą, to nie jest wszystko, ale to już będzie bardzo dużo.

## STARA EPOKA

Dla czego stoimy przed długim procesem?

Bo nie ma strony predysponowanej na zwyciężkę. Co innego wojna lokalna (mimo rozbudowanych peryferij taką jeszcze była wojna ostatnia), a co innego jeśli jedne pół globu ma opanować drugą połowę. Takich resursów materialnych i ludzkich żadna ze stron nie posiada. Opanowanie jednej połowy globu przez drugą jest możliwe tylko przy równoczesnym opanowaniu ideologicznym. Tymczasem żadna ze stron nie reprezentuje idei zdolnej pociągnąć ludzkość.

Słuchałem niedawno *Town Hall meeting*, nadawanego z Berlina. Jest to impreza amerykańska, objeżdżająca różne kraje z gotową ekipą prelegentów amerykańskich, którzy dyskutują z zaproszonymi działaczami i przedstawicielami społeczeństw. Poza mówcami z urzędu z obu stron, zapowiadany w programie, w drugiej części programu sięga się po impromptu z sali.

— O, student! Tu jest student, przedstawiciel Związku Młodzieży — ciesz się speaker. — Młody człowieku, młody człowieku, kto wam się więcej podoba: my czy wschód?

— Nie bardzo mamy co wybierać — słycać w głosniku —

oni nas częstują Marksem sprzed stu, a wy — liberalizmem sprzed dwustu lat.

Dla młodego Niemca, tak jak i dla młodych ludzi innych krajów nie może przedstawiać atrakcji obóz, którego kultura jest szczytowym wynikiem liberalistycznej kapitalistycznej epoki. Wszelkie rozpaczliwe próby przełączania biegu na nowy system są połowiczne i kończą się fiaskiem. Przodująca w tych próbach Anglia doszła już nawet... do embrionalnego klasycznego marksizmu, który dawno już w Rosji został porzucony. Jej rządy socjalistyczne dbają nie tylko o to, aby wszystkie konie miały równy start, ale aby równocześnie przybiegały do mety.

Jakże stają do śmiertelnego wyścigu? Kapitalistyczną podniecie (nadzieję dorobienia się) tępią, a bolszewickiej (norma i różne kotły) nie przyjęli, bo akord to nieładna rzecz i potępiana przez socjalizm. Rozpięcie płacy między niekwalifikowanym robotnikiem, a kierującym inżynierem, które i n c r u d o (nie licząc deputatów itp. przywilejów) jest w Rosji ośmiokrotne, w Anglii, dzięki niwelowaniu podatkowemu jest o wiele mniejsze.

A przecież Anglia — to największe napięcie woli i charakteru po tej stronie barykady. Powinnaby być leaderem duchowym przyszłej walki. Ale leader jest zbyt zajęty wyprowadzkami z różnych punktów globu i problemem związania końca z końcem. Dla sprawowania rządów w tych trudnościach potrzebni są ludzie mierni, ponieważ rozumieją oni wszelkie małe pragnienia ludzkie: jada, ubrania, mieszkania.

Gdyby Anglią rządili ludzie na skalę wymagań światowej chwili, również niczego by nie dokonali. Bo ludzie wielcy są przydatni w warunkach sprzyjających wielkości. Robespierre byłby w Polsce najwyższą Kostkiem-Biernackim, a pułkownik Napoleon z powodu ekstrawagancji w grach wojennych nie mógłby się dochrapać generała.

Dla Anglii, która stworzyła jedność harmonijną świata w XIX w., kiedy Bank Angielski był niekoronowanym koordynatorem globu, warunki sprzyjające wielkości minęły. Toteż ci ludzie, którzy nią rządzą, są najlepší: jest przynajmniej regularnie całotygodniowy boczek w sklepikach i jakoś się żyje. Regularność jednak boczków w sklepikach nie ma na tyle atrakcyjnej siły, by olśnić młodzież w wygłodniałym Londynie. Cóż dopiero, aby poprowadzić krucjatę. Dlatego ma rację lewicowiec prof. Carr, że za lewicowców rządów w Anglii — w Europie stwarza się *vacuum* ideologiczne. Gdyby rządili konserwatyści, byłoby to samo *vacuum* w Europie z tą różnicą, że w Anglii nie byłoby regularnego boczków.

Jeśli więc Anglicy pocieszają się swymi reformami, to równie dobrze mogłyby w upadającym państwie Rzymskim pocieszać się Rzymianin, że wszak idzie ku naprawie, bo wchodzi w życie reformy Dyoklecjana.

Ale te reformy runęły pod naporem Wschodu od zewnątrz,

chrześcijaństwa od wewnątrz. Apokalipsa — to jest jeden hymn nienawiści do Bestii (państwa rzymskiego).

Jakich Dyoklecjan czy jaki Attlee może zatłumić taką lawę tęsknoty plasterkami regularnie fasowanego boczkusa?

Istota rzeczy polega nie na poprawkach, tylko na zburzeniu starego gmachu pod gmach nowej epoki.

Kiedyśmy patrzyli, siedząc na ławach uniwersyteckich przed tamtą wojną, na kredę w palcach profesorskich, znaczącą na tablicy kolumny cyfr, dusze nasze ogarniał apokaliptyczny niepokój, który sprecyzował już Spengler w 1914 r. Wzruszano ramionami na "ekscentrycznego" Spenglera, ale teraz już świadomość, że się coś olbrzymiego święci poczyna czeptać się uczonych narodów nasyconych, a więc nieimaginatywnych.

Tak na przykład K. A. L. Fisher, P. C., D. C. L., F. B. A., F. R. S., profesor oxfordzki, w przedmowie do swej półtoratysiącstronicowej "Historii Anglii" (1936) jeszcze się upiera: "Ludzie mądrzejsi i bardziej uczeni ode mnie notują w historii rytm, z góry predeterminowany wzór, którym ta historia się pełni. Te przyczynowości (h a r m o n i e s) są niedostępne dla mnie. Jestem w stanie zauważyć tylko jeden kryzys następujący po innym". Ale to już syreni głos. Już i Anglicy jak Christophore Dowson poczynają spostrzegać, że "chwila, którą przeżywamy, może być porównana z okresem, kiedy zapadła się wielka myślenia cywilizacja" (1932 r.).

"Bo historia jest jak życie" — zamyka Van Loon swoją "Historię ludzkości" — "im więcej się rzeczy w niej zmienia, tym bardziej są one te same".

Tylko, że przymierzając swój drobny kawałek współczesności do rozpięcia tyśiącleci, trudno jest czasem uchwycić, gdzie jest ogon, a gdzie głowa.

Jakaż jest różnica pomiędzy największymi choćby wstrząsami, a tym, co nazywamy poczęciem się nowej epoki? Różnica dla współczesnych jest bardzo zamglona. Ścięcie Karola I (pomazańca!) na pewno mogło się wydawać współczesnym końcem starego świata. I w trzy wieki po tym fakcie możemy dowodzić, że było początkiem demokracji, że gdyby nie egzekucja Karola I, to by się nie rozwinęła filozofia Locke'a, a bez niej nie powstałby encyklopedyści, a bez encyklopedystów — rewolucja francuska. Niewątpliwie w ciągłości dziejów każdy fakt ma znaczenie i w każdym pokoleniu każdej piątce entuzjastów, która przeniesie przez granicę siedem siodeł może się zdawać, że poczynają nową epokę.

Wziąwszy jednak należytą perspektywę, musimy sobie powiedzieć, że na granicy dwóch epok stoi wstrząs rewolucyjny (ścięcie Karola I było niczym innym jak ogniwem ewolucji, aczkolwiek polegało na gwałcie) ogarniający całą w danej epoce notowaną dominantę kulturalną.

To znaczy, że zmiana epok jest cechowana przez:

1. Niemożność znalezienia wyjścia z impasu w granicach środków, którymi rozporządza epoka.

2. Zniszczenie tej epoki drogą fizycznego łamania przez siły uposażone przez nadiągającą epokę tylko w wartości jednostronne, usprawniające burzenie.

3. Przez poczęcie się nowego życia powszechnie i niejako biologicznie na gruzach starej epoki i sił, które ją zniszczyły.

Nigdy jeszcze niemożność wyjścia z impasu nie zarysowała się tak ostro. Przekonanie Adama Smitha, że *All the ills of democracy can be cured by more democracy* (wszystkie niedomogi demokracji mogą być uleczone przez jeszcze więcej demokracji) trzyma się nikła garstka epigonów XIX w. Ludzkość, która liczy już przeszło dwa miliardy głów i oczekuje, jak obliczają nowocześni Maltusowie, koło 1980 r. ostatecznej katastrofy głodowej na tym zżartym przez erozję globie, domagać się poczynnie coraz większym głosem gospodarki planowej w skali globalnej, o ile możliwszej teraz, kiedy świat, wskutek wynalazków technicznych, tak zmałał i zbliżył się. Ale to fizyczne zbliżenie się świata nie zaradzi złemu bez wykorzenienia instynktów i bez zaburzenia urządzeń starej epoki. Nie wystarczy tu ewolucja, demokracja, liberalizm, oświecenie i inne ładne rzeczy, w które ślepo wierzyli równolutki Adama Smitha. Forma życia, która przyjdzie wziąć ten świat za łeb, będzie rozporządzała zespołem cech na które nie potrafimy napisać recepty, nim jej nie napisze-życie.

Świat naprzód trzymała za łeb międzynarodówka monarchów, od rewolucji zaś francuskiej aż do pierwszej wojny światowej kompromis polityki (liberalnego nacjonalizmu) i ekonomiki (międzynarodowego autokratyzmu).

Wybuch pierwszej wojny rozpoczął dzieło prucia starej epoki.

Kiedy stary system umiera, zawsze wysiłkom ratowania jego towarzyszą jaskrawe ekscesy. Takim ekscesem był Traktat Wersalski, oparty na kłamstwie, że narody są równe. Rozbestwiwszy "suwerenów", zamieszawszy politycznie w Europie, nic nie zrobił, by jej życie unowocześnić ekonomicznie. Ekonomiczny autokratyzm międzynarodowy nie ostał się wobec rozbestwienia autarkicznego. Bank of England był bezsilny, jak bezsilny jest dobrze wychowany lord wobec urągłego tłumy. Ten urągliwy tłum państw od Estonii po Luksemburg poczuł się nagle wzmocniony przez ugruntowanie wpływów robotniczych. Stan robotniczy, osiągnąwszy wpływy, stał się sojusznikiem państw — potworków. Dawniej międzynarodówka królów dbała o utrzymanie bezpieczeństwa, teraz masy robotnicze dbały o wyżywienie. W tych staraniach stały się sprzymierzeńcami "swoich" państw i nagle socjalizm stał się najpewniejszym sojusznikiem przemysłowców w staraniach o

cia i subwencje, nagle socjalizm stał się rzecznikiem najreakcyjniejszych zakazów imigracyjnych.

Trudno uwierzyć Polakowi, któremu związki zawodowe nie pozwalają zwiększyć płacy, udzielić lepszej pracy, albo zyskać "seniority" porówni z angielskimi kolegami — że ma do czynienia z kierunkami reprezentującymi postęp ludzkości. Socjalizm stał się czynnikiem pogłębiającym różnice międzynarodowe. W żadnej epoce nie było takiego wzrostu megalomanii narodowych. Będąc w Rumunii i we Włoszech dowiadaliśmy się, że te narody uważają swoich żołnierzy za najlepszych żołnierzy świata. Odwrotnie, pamiętam gorzką lekcję, jaką dał mojej megalomanii narodowej oficer czeski, demonstrując w czasie kłeszkowych dla Czechów dni zaolziańskich, że nasze uzbrojenie to szmelc, który Czesi byłiby szczęśliwi, jeśli by się im udało wyciągnąć go jakiemu Urugwajowi. A myśmy myśleli, że "polskie ostatki lepsze, niżli czeskie dostatki".

Nie lepiej było gdzie indziej. Wieża nonsensów — pojęć o świecie, które nosił na swoim grzbiecie jakiś Dubois czy Smith, zupełny brak sensu światowego, odjęte wszelkie możliwości powszechnego planowania, ubogie, prowincjonalne, siekierą ciosane umowy kompensacyjne i rozbuchana megalomania — oto czynniki, które paliły pod kotłami wojny światowej.

A my jesteśmy przekonani, że począł ją niedobry Hitler. Jest taka szkoła historyczna, która przypuszcza, że gdyby Kleopatra miała brzydki nos, nie rozpołowiłoby się imperium rzymskie i inaczej potoczyły dzieje ludzkości. Ta szkoła może sądzić, że gdyby w swoim czasie dobra wróżka podsunęła staremu Schickelgruberowi środek zapobiegawczy, nie byłoby Oświęcimia. W każdym razie z powagą dowodzą, że nie byłoby go, gdyby nie dano zająć zagłębia Saary, nie prowadzono polityki monachijskiej itd.

Sądzę, że rozumują zbyt łatwo. W 1919 r. narody dostały miejsce w świecie nie z tytułu siły, lecz z prawa. Skorzystały z niego w ten sposób w tym smutnym okresie międzywojnia, że obaliły nie tylko ekonomiczny porządek świata, ale poczęły krępować prawa jednostki nie na rzecz dobra publicznego ludzkości, lecz na rzecz humbugu, który nie mógł się ostać. Oparły się na ostatniej klasie, która najdłużej nie miała praw, wciągnąwszy ją w swoją orbitę, pozbywszy się, z grubsza mówiąc, problematyki wewnętrznej, stanęły wzdętym megalomańskim suwerennym szaleństwem wobec świata, który nie miał nad nimi żadnego prawa. Ten świat musi dopiero przekuć swoje narody jako jednostki wspólnoty. Bo *internationalism is the socialism of nations* (Wells).

Tam, gdzie nie ma prawa, przychodzi bezprawie. Przyszła druga wojna z kompletnym podeptaniem praw narodów, mordami stosowanymi administracyjnie, masowymi przesiedleniami i fizycznym wyniszczaniem całych kompleksów narodowych.

Spójrzmy na moce bezprawia, desygnowane na władców międzyepoki.

## MOCE ROZBIJAJĄCE

Moce, które przyszyły rozbijać tę starą epokę, były i są zaopatrzone jak się zaopatruje oddział szturmowy: tylko w sprzęt potrzebny dla dokonania dzieła zburzenia.

Dzieje nakazały im zburzyć epokę, która zbyt dbała o jednostkę (międzywojnie, kiedy tę jednostkę poszturchiwano było tylko tej epoki schorzeniem) na rzecz epoki w której przyjdzie planowanie. Z arsenału więc nadciągającej epoki wzięły tylko to, co doraźnie miało wesprzeć uderzenie: kompletne nie liczenie się z jednostką, odrzucenie pokrycia złotem, miernik pracy, metody totalne i etykę portatywną jak miotacz ognia. Rzecz ciekawa — podczas, gdy burzycielom dane było przecucie techniczne metod nowej epoki, dającej im górę nad obrońcami starej, w dziedzinie uzasadnienia filozoficznego nie wyszli poza przystosowanie użytkowe swojej filozofii do doraźnych potrzeb rozbijania. Podstawy filozoficzne tych ludzi, którzy stworzyli nowoczesne metody walki, tkwią głęboko w materializmie XIX w.

Myśl ludzka ucieka od walczących potworów XIX w., tuła się nieśmiało, odwraca się od racjonalizmu, hołduje empirii, przyjmuje do wiadomości rezultaty badań, choćby były różne od powziętych założeń, spostrzega ze zdumieniem, ale i z pokorą, że oba różne wyniki są przeprowadzone prawidłowo, uczy się, że to, co braliśmy za realia — nie istnieje, a to, czego nie spostrzegaliśmy jest przyczyną. Myśl tuła się w tym straszliwym świecie. Ma pan rację, że jest ona jak sieć pełna dziur. Zbieramy jej okruchy jak biblijna Ruth na tym nowoczesnym ściernisku, po którym przeszły wspaniałe, zrozumiałe maszyny. Przynieśliśmy te wątle, pominięte, a najważniejsze, kłosa do Klubu Trzeciego Miejsca. Takich rąk jak nasze będzie tysiące, będzie coraz więcej. Wszędzie coś wykiełkuje i nagle świat pokryje zielona ruń.

Ale wróćmy do tego co Anglicy nazywają "plain talk".

Mamy uderzenie na świat drugiego po nazizmie czynnika zniszczenia, przed którym tym razem epoka się nie obroni.

Polacy lubią pozować wobec świata na znawców Rosji, zapominając, że patrzyli na Rosję zza krat, zza których obserwacja jest bardzo jednostronna. Patrzyłem bardzo z bliska na Rosję w czasie jej rewolucji, patrzyłem na nią w 1934 i patrzyłem w czasie inwazji 1939 i mego krótkiego uwięzienia zakończonego ucieczką. I aczkolwiek patrzenie w 1934 z okien sleepingu i inturystycznego hotelu mogło być nie mniej jednostronne, niż patrzenie rodaków w 1939, pochlebiam sobie, że opinie wyrażone w mojej "Opierzonej Rewolucji" są bardziej uzasadnione, niż opinie tych, którzy uważają, że Rosja jest krajem niewolników, trzymany przez nity G.P.U. Sądzę, że poziom tych opinii jest ten sam, który nam mówił o papierowych czołgach po ankszlusie Wiednia. *Wishful-thinking*, któremu poświęcam tyle miejsca na wstępie swego listu, ma tak potężne wła-

ściwości mrocznienia, że tuż przed wojną polsko-niemiecką poważny solidny działacz, kierujący polską robotą w Niemczech zapewniał mnie, że Niemcy powszechnie nie chcą wojny. Jego opowiaduszka o jakimś autobusie między Berlinem a Potsdamem, z którego publiczność przy czynnym udziale konduktora wyrzuciła młokosa, opowiadającego się za wojną, była powtarzana przez wszystkich uradowanych generałów i mężów stanu i nie ma do przyczyniła się do pogodnego przygotowywania Święta Gór.

W sześć lat potem oglądaliśmy pod Bolonią ostatnie linie zgasłej wojny. W każdym bunkrze siedział trup. Byli to ci "przeciwnicy wojny", zmuszani przez Gestapo", którym nakazano kosztem życia osłaniać ostatni odwrót.

Opowiadała mi znajoma, przybyła z Polski, jak żołnierz rosyjski nie pozwolił jej przewiązać broczącej arterii. Kiedy mu tłumaczyła, że umrze, odpowiedział z fatalizmem: *Nas mnogo*.

Wzdrygamy się na ten obcy świat, ale nie mówmy, że go sztucznymi nitami trzyma G.P.U. lub Gestapo. Siły zniszczenia mają swoją ideologię. "Czy nie możecie na chwilę przypościć" — powiedział do mnie w podziemiach Monte Cassino ciężko ranny spadochroniarz, podnosząc oczy znad ornatu, na którym leżał — "że może być i inna ideologia".

Możemy i powinniśmy. Docenienie przeciwnika, to nie defetyzm. Jakże by się chciało optymistycznym dygnitarzom sprzed września powiedzieć słowami z "Odprawy posłów greckich":

O królu, teraz się bać lepiej, bo za taką  
Bojaźnią i opatrnością i gotowość rośnie.

Te słowa teraz, kiedy siły zniszczenia odbyły pół drogi dopiero, są równie aktualne.

I dlatego blażeńskie gadanie o Rosji jest szkodliwym męczeniem w głowach.

Ludzie dzięki takiemu gadaniu nie widzą co się dzieje, tkwią w przekonaniu, że czas stanął i czeka na ostateczną rozgrywkę. Tacy ludzie są niby publiczność, która zajęła miejsce w cyrku i patrzy na arenę, na której się mają zacząć zapasy. Ponieważ ich zdaniem na arenie nic się nie dzieje, więc nudzą się, kręcą się na miejscach, wzajemnie zanudzają się z sąsiadami pytaniami "kiedy" i oddają się pojadaniu i innym drobnym czynnościom.

Tymczasem na arenie Historii dzieje się i dzieje się dużo. Co dzieje się w skali światowej, będę mówił potem. Ale dzieje się dużo w Polsce.

Jest proces leczniczy, polegający na przetaczaniu krwi chorego: krew z ręki wstrzykuje się w udo i odwrotnie. Gdyby rządy bolszewickie w Polsce nie miały nic dobrego w sobie, żadnej myśli, żadnego ideowego zaczynu, gdyby były również odcięte od społeczeństwa jak rządy nazistowskie, to i wówczas nawet wystąpiłyby pomyślne symptomy, polegające na przetaczaniu

krwi. Może by nie zrównoważyły ogólnej utraty krwi, ani ostatecznego pasywnego bilansu, ale nie wyobrażam sobie socjologa, który by ich nie uwzględnił.

Otrzymałem z kraju ciekawy list, ilustrujący to "przetaczanie krwi". Pisał go eks-harcerz, z którym w drugim dniu wojny objeżdżałem miejsca pracy drużyny harcerskiej, pomagającej wojsku i policji oraz miejsca, dotknięte pierwszymi zniszczeniami wojennymi. Powstał z tego artykuł wstępny pt. "Życie i śmierć", którego rewizję jeszcze zdążyłem w "Wiadomościach Literackich" zrobić, ale ten ostatni numer już nie wyszedł. Śmierć — to były trupy oglądane, mózg dziecka na ścianie sierocińca żydowskiego w Otwocku, w którym zginęło 28 dzieci, ich trupki zwęglone, a życie — to te pyzate buzie harcerzy z mysiami warkoczycami, które sapiąc dźwigały konwie z wodą, chłopców harcerzy, pracujących dnie i noce pomocniczo w instytucjach wojskowych i prężących się przed wizytującym zwierzchnikiem.

Otdąd wracałem nieraz myślą do nich i do tego ich komendanta.

I oto nagle — już tu, w Stanach, doszedł mnie list od tego chłopca, który już stał się mężczyzną. Pracuje w Pogotowiu Ratunkowym. "Niech Pan sobie wyobrazi moje zdumienie" — pisze do mnie — "gdy się przekonałem, że w Warszawie w sposób zupełnie rewelacyjny spadła liczba samobójstw. W przedwojennej Warszawie, przeciętna roczna samobójstw wynosiła 1.100, w obecnej więc, w tej samej skali winna by wynosić 550, uwzględniając, że teraz jest dwa razy mniej mieszkańców. Sądziłem jednak, że będzie więcej, bo jakież poszarpanie nerwów przeszła ta ludność. A tymczasem w roku zeszłym było sto dwadzieścia trzy. Wtedy wejrzałem w przedwojenne statystyki, które były publikowane. Przytłaczająca ilość samobójców przedwojennych, to zawody miłosne biednych dziewcząt, których znakomitą większość stanowiły służące i chronicznie bezrobotni. Teraz nie ma bezwzględnie (jest czasem okresowe) bezrobocia i znikła masa służby domowej. Tak i tłumaczą lekarze, bardzo zresztą dalecy od marksizmu i mnie się to wydaje papierkiem lakmusowym pewnych efektów ustrojowych. Życie w Polsce nie jest proste i na pewno buja ten, kto wmawiał Panu, że istnieje u nas tolerancja, ale też ma ono i swoje bardzo osobliwe uroki, zwłaszcza dla kogoś, kto rad jest starannie obserwować ten arcyciekawy proces wyklawania się nowych form społecznych".

Istotnie, widać w Polsce, która nie zaznała nigdy rewolucji ani gwałtownych przetasowań klasowych, bo zawsze w niej *priority* trzymiwały zagadnienia niepodległościowe, takie przetaczanie krwi wyzwala niespodziewanie wiele utajonych sił, do których wyzwolenia na próżno wzywał autor "Przedwiośnia" i tyłu najlepszych w narodzie.

Po rewolucji rosyjskiej, kiedy poczynające się państwa niepodległe stało na drżących nogach, a prawica i lewica, garnąc

się ku sobie, chuchały na organizm, który przyszedł na świat, na zatloną iskierkę, na jednym z konwentykli Edward Dow-narowicz biadał, że "Jeżeli panowie z prawicy nie przyjdą nam z pomocą, lejce wypadną nam z rąk, a wtedy biada nam wszystkim". Na co Thugutt odpowiedział: "Ja wolałbym raczej te lejce rzucić na wiatr, za jedyną bowiem rzecz w tej chwili Polsce potrzebną uważam wielki hebel, który by zdarł z drzewa narodowego wszelką pleśń i zmurszałość, wydobywając na wierzch zdrowy rdzeń".

W rok potem Thugutt został premierem i "wielki hebel" zmienił się w wyśmiane i łatwo zapomniane dekrety o pozbawieniu orła korony i zakazie wystawiania w oknach sklepów spożywczych towarów luksusowych.

Teraz aż za wiele hebli — bitewnych, oflagowych, katyńskich, oświęcimskich, emigracyjnych, przesiedleńczych i dyskryminacyjnych przejechało po Polsce.

Znikło ziemiaństwo, arystokracja, plutokracja, Żydzi, inteligencja została wyłusknęta z form kulturalnych, wytworzonych przez dawne życie, co dla większości jej równa się wyrokowi śmierci i "sheblowaniu z powierzchni polskiego życia".

Ludzie z wykształceniem szkoły powszechnej zostają dyrektorami fabryk, "nie matura, lecz chęć szczerą robi w Polsce oficera", krzywo się z tego chamstwa natrzęsają kelnerujące panie i ich tapicerujący mężowie, a tymczasem rybnictwo wzrasta, teatry wypełnione, uzdrowiska pękają od robotników, na miejsce Żydów wchodzą warstwy chłopskie, stwarzając na razie mieszczaństwo, którego Polsce brakowało. Temu mieszczaństwu nie będzie dane się rozwinąć, ale ci ludzie już z osiągniętego szczebla w tył nie wrócą. Istotnie — hebel darł wiele głębiej, niż pozbawienie orła korony.

I znowuż niech mi wolno będzie zacytować list, który napisał do mnie nasz towarzysz broni na emigracji. Wysłany przez rząd gen. Sikorskiego z niebezpieczną misją do kraju, ujęty przez Niemców w drodze na Bałkany, siedział rok w niemieckim więzieniu, następnie (nie mam dokładnych wiadomości ile) w oddziale zarządzanym przez Rosjan w więzieniu na Mokotowie. Oto co pisze:

"Jesteśmy teraz w Polsce na pełnej fali zmian społecznych, żyjemy w kraju, który realizuje, inaczej trochę, niż to czyniło ZSRR, dyktaturę proletariatu, co nie jest przyjemne dla dużej liczby ludzi, ale jakże często nawet ci upośledzeni znoszą przemiany o wiele łatwiej, obserwując nie bez zdumienia, ile sił żywotnych, ile energii i pracy ustrój ten jest w stanie wyostać ze społeczeństwa. Boję się, czy po tym zdaniu znowu mi Pan nie napisze, że okłamuję siebie samego, żeby sobie ułatwić życie. Otóż nieprawda! Naprawdę ten ustrój swymi partyjnymi i ideowymi metodami potrafi sprawniej realizować duże wysiłki dużych gromad ludzkich, niż jakkolwiek przed nim. Jest to, oczywiście, działanie przez organizację partyjną na masy bez-

partyjnych robotników, jest to system premii finansowych, system swoistego akordu pracy, który może w celach jakichś bezwzględnych godzin jest potępienia, ale który w naszej konkretnej sytuacji gospodarczej, sytuacji państwa tak piekielnie zniszczonego, daje rezultaty pożądane i godziwe — przyspiesza odbudowę i wypełnienie tych braków przemysłowych, które dzieliły nas od innych. I jakoś system ten — choć jak każda rewolucja, stawia przed ludźmi trudne wymogi ideowe, szczególnie dokuczliwe dla twórców przyzwyczajonych do innego stylu i zakresu swej pracy — system ten jest pozytywnie przyswajany przez szerokie masy".

Takich listów otrzymuję więcej — czasem od nieznanymi mi ludzi, którzy mój adres otrzymali w redakcji "Tygodnika Powszechnego". Ale dla mnie są najciekawsze listy od znajomych, pozwalające mi ocenić przemiany jakie zachodzą w ich duszach. Trudno nie zastanowić się nad listem pięćdziesięcioletniej działaczki społecznej, pochodzącej ze starej zamożnej rodziny ziemiańskiej, która teraz jest dyrektorką gimnazjum żeńskiego i z zapałem mi pisze, że nadeszły wreszcie czasy wymarzonej Polski ks. Ściegiennego i innych.

Te wszystkie listy są dla mnie ciekawe nie tyle jako konkretne informacje o kraju — ludzie, którzy je piszą często nie mają ani dostatecznego krytycyzmu, ani miary. Ale te listy są znamienne jako objaw — ci ludzie, niewątpliwie, tak myślą. Przed wojną, by tak nie myśleli. Toteż wolno sceptycznie patrzeć na to co się dzieje w Polsce, ale nie wolno rejestrować zmian w polskiej umysłowości, nie wolno uważać, że na tej arenie nic się nie dzieje i nudzić się, uważając, że świat znajduje się w sezonie ogórkowym i pytając "kiedy się zacznie". Tak pytają świnki morskie, żując swój liść sałaty i nie podejrzewając, że są już pod działaniem przeobrażających promieni.



Nie jest więc tak, jak się wydaje deklamatorom: że Polacy siedzą na bryle zachodniej kultury, moce piekielne mogą uszczknąć ich fizyczny stan posiadania, ale duchowo — to bryła. Musiałyby te nowowyzwalające się warstwy być infiltratem. Dziękuję za taką perspektywę.

Jeśli jednak nie są infiltratem, a kultura zachodu ma je tak ożywczo przenikać, a wiara w pomoc zachodu ma je podtrzymywać, to spójrzmy: czym aktywnie promieniuje ten zachód?

#### IMPAS BRONIĄCYCH

Kiedy wojna wybuchała, zaroilo się na Zachodzie od książek przebudowujących świat. Kto w Boga wierzył drukował plany podziału świata na strefy ekonomiczne, co dzień człowiek natykał się na jakąś mapkę, z której dowiadywał się, do jakiej konfiguracji została ostatnio przydzielona jego ziemia.

Na dnię tych wszystkich, bardzo awangardowych i śmiałych

pomysłów starszych panów z XIX w. spoczywał stary, pocziwy Bank of England.

Szkoda, że te książki, narajające się jak pchły na psie, zostawiało się przed każdą granicą, bo by teraz stanowiły interesujące p a n o p t i c u m, dające świadectwo umierającej epoce.

Z tych czasów, dzięki zdarzeniu, o którym niżej, wypisałem cytata z rozmowy p. George Younga w "Contemporary Review" z lutego 1941 r. pt. "Procedures of Economic Federation" (proszę zwrócić uwagę na "wersalizm" już w tytule. Tamtym w Wersalu się zdawało, że mogą politycznie krajać świat bez naruszenia jego formy ekonomicznej — ten tu w tytule mówi o Federacji Ekonomicznej, tak jakby była ona możliwa bez Federacji Politycznej).

Autor radzi zbudować Federację świata przez skoncentrowanie bankowości (znowuż nieboszczyk Peel kazał się kłaniać). Nie będzie to trudne, bo "brytyjski kapitalizm i rosyjski komunizm, dwa główne motory ekonomiki europejskiej, aczkolwiek bardzo różne, nie są rozbieżne". Autora nie opuszcza słodka nadzieja, że ten motor komunistyczny da się włączyć na prąd kapitalistyczny: *we shall not only be retaining a controlling interest, but also remaining for a time the Managing Director.*

Anglia więc pozostanie i dla Rosji kapitalistycznym kierownikiem i jakie świetne czasy przyjdą: "Możemy jeszcze ujrzeć Europę rządzoną przez Mr. Montague Norman, Herr Schachta, podczas gdy lord Stamp i towarzysz Stalin będą serdecznie współdziałać (*c o r l i a l l y c o n c u r*) z równoprawnych, acz przeciwnych krańców *of the Supreme Council Board*".

Zanim ten numer lutowy *Contemporary Review* dotarł do Palestyny, w okolicznościach wojennych, był kwiecień. Czytałem go równocześnie z wiadomością o śmierci lorda Stampa od bomby rzuconej przez "serdecznie współdziałających" rodaków Schachta.

Kiedy niemiecka ofensywa w Rosji utknęła, ucięło jak nożem plany urządzania świata, budowane na dawnych wzorach. Ostatnim ich pogłosem była Karta Atlantycka, wydana w równie półtora tysiąca lat od erupcji Atyli. Ostatnia czkawka czter-nastu punktami Wilsona i traktatem Wersalskim.

Przy końcu tamtej wojny jeszcze starczało tchu umierającej epoki, by tchnąć go w indywidualności ludzkie. Francja miała Clemenceau i Poincaré, Anglia dynamicznego Lloyd George'a, Ameryka Wilsona, forsującego ideę już anachronistyczną, ale w którą wierzył, Turcja Kemala, a Polska Piłsudskiego i Dmowskiego.

Obecnie, po wytchłym z nowych koncepcji okresie między dwiema wojnami narody reprezentują jakieś anonimowe numery urzędnicze. Nie nam tylko jednym brak ludzi w zamyłonej międzyepoce.

Idealisci stracili trop, siedzą na własnych ogonach jak zdeorientowane ogary i jak zdeorientowane ogary patrzą na

myśliwego, by ich ponownie naprowadził na ślad, tak oni wszyscy patrzą na niezmiernie bogatego wuja Sama.

Patrzac na to bogactwo amerykańskie, przypominam sobie amerykańskiego *conducting officer*, którego mi dodano w 5 armii amerykańskiej. Wozilem go swoim wozem i niezmiernie imponował mnie i kierowcy, a to nadzwyczajnym spiworem, a to wielce frymuśnym handbagem, a to do nieskończoności pomyslową maszynką do gotowania. Składał i rozkładał to wszystko przy rozmodlonych spojrzaniach kierowcy, aż mi było przykro za tę amerykańską nieporównaną wyższość, za to nasze dzikoludztwo.

Kiedy jednak ostatni gaj skończył się na pięć kilometrów przed Pizą, na której ulicach trwała walka, Amerykanin orzekł, że byłoby to wbrew jego instrukcjom jechać wozem przez ostrzeliwany teren. Teren właściwie nie był niemal ostrzeliwany, bo niemieckie środki ogniowe zbyt były związane walką w mieście, ale wytłumaczyć tego memu Amerykaninowi było nie sposób. Kiedy wieczorem przedostałem się z Pizy z powrotem do popasujących w lasku Amerykanina i kierowcy, ten ostatni, wesoly chłopak, który i przedtem i potem nieraz dojeżdżał do linii, skonstatował:

— Wiadomo, jak ma tyle dobra, to mu nieśpieszno wykitować.

Kiedy po dziesięciu latach znów wylądowałem w U. S., przypomniałem sobie tę maksymę naszego żołnierza i przypomniałem żywo wrażenie pierwszego wylądowania w Stanach przed wojną.

Londyn z jego zagonami domków można porównać do stu Kielc plus pięćdziesięciu Radomiów. Ale N. York z jego wrzawą polującą na moją kieszeń można porównać do umilionowionego Garwolina w dzień targowy. Ta siła inwencji tysięcy najobrotniejszych mózgów zwrócona na to, aby mi wyrwać ten grosz. Ten olbrzymi wysiłek, jakże inny niż wysiłek agresywny przedwojennych Niemiec i obecnej Rosji, lub defensywny powojennej Anglii — skierowany na to, aby przedzić każde życzenie jednostki, dogodzić każdemu snobizmowi, ochronić od każdego wysiłku, ubezpieczyć od każdej nieprzyjemności.

Zatrzymałem się przy oknie sklepu elektrycznego, demonstrującego trzydzieści osiem sposobów użycia elektryczności w pokoju sypialnym. Patrząc na elektryczne kołdry i poduszki, elektryczne dywany, elektryczne (malowane tonowanym światłem) obrazy u wezłowia, okazujące się lodówkami, elektryczne samogrzające pantofle i elektryczne przyrządy do łechtania pięt, w uchu itd., przypomniałem sobie tego rozbałwanionego przez cywilizację guptasa spod Pizy i zobaczyłem za nim cienie samotnych obrońców niemieckich bunkrów spod Bolonii i cień tego Moskala umierającego ze słowami "n a s m n o g o".

Szedłem głębokimi wązowami ulic, nalanymi żądzą użycia aż

po brzegi, aż po setne piętra drapaczy chmur. Spojrzałem na mijających mnie ludzi i przeraziłem się: ten tłum Żydów, Włochów, Słowian i czort wie kogo nie wydał mi się narodem.

Przybijały oto do tego kraju — przyplływ za przyplływem — tłumy nędzne z nizin swoich krajów, z nizin europejskiego bytowania, nie wznoszące nic poza zwierzęcą żądzą spokojnego żarcia aż do napełnienia, aż do przepełnienia kałdunu. W tej pustce duchowej i w tym zgiełku nieustannego bazaru rodzili pierwsze pokolenie, które rzucało się na miód nie mających kresu zachceń. Czajdon (chłop syberyjski) powściągał żonę od nastrojnego zapraszania Piłsudskiego do jada, tłumacząc, że "oni iz otjewszychsia" (że jest z nasyconych pokoleniami). Ci tu — musieli żreć, pośpiesznie żreć gramafony, lodówki, automatyczne pralki, kupować samochody... jeszcze wyższej marki... i jeszcze wyższej...

Rezultaty widziałem w sześciotysięcznym więzieniu w Illinois, w którym nie umieszczano skazanych na okres krótszy, niż dziesięć lat. "Główny odsetek naszych pensjonariuszy" — tłumaczył mi naczelnik więzienia — "rekrutuje się z dzieci pierwszego pokolenia, zrodzonego na ziemi amerykańskiej". To samo stwierdza w swoim klasycznym czterotomowym dziele profesor Znaniecki.

Bardzo różny konglomerat ludzki, który stanowi ludność Stanów Zjednoczonych, liczący w początku tego stulecia 70 milionów, ma ich obecnie 140. Konglomerat ten, sam nie zespolony tradycjami, musiał trawić każdy przyplływ dwukrotnie: raz, w pierwszym pokoleniu, jako jałowiznę kulturalną, dwa — w drugim — jako intoksykację. Jeśli dodać do tego pięć milionów Żydów, którzy się asymilują tylko zewnętrznie, i dwanaście milionów Murzynów, połączonych z resztą obywateli Stanów więzią kulturalną bardzo słabą — musimy sobie powiedzieć, że takiego wlewu w arterie nie przeniósłby łatwo nawet stary, zasiedziały, jednolity i historyczny naród.

Kiedy przenosimy się myślą do własnego narodu, który jest narodem historycznym, kiedy przypomnimy sobie otoczenie dzieciństwa, piastunki, sąsiadów, rzemieślników, kolegów szkolnych, to, czym żyli rodzice, co mówiła matka i czym żyło całe otoczenie — uświadomimy sobie, jak tym środowiskiem kierowały pewne wspólne bodźce uczuciowe, pewne nakazy moralne, pewne jednakowe predyspozycje, jak nim rządziły wspólne niepisane nakazy, które w efekcie dały Armię Krajową i powstanie warszawskie.

Cokolwiekbyśmy gorzkiego o tym polskim sposobie myślenia mówili, nie możemy zaprzeczyć, że to była atmosfera oparta na wspólnym dorobku kulturalnym i historycznym, rządzona instynktami i imponderabiliami.

Niewątpliwie, że takie irracjonalne pierwiastki mogą prowadzić do zguby.

Ale też naród, który ma je przerobione w swoim dorobku duchowym nie zaczyna każdej dyskusji od A.B.C. — ma już

znakomitą część alfabetu przerobioną. Toteż bez tych pierwiastków ludzie tworzą luźne zbiorowiska, nie zdolne do czynów na wielką skalę.

Czynu na wielką skalę — a przecież takim tylko może być rozbiście komunizmu — mogą tylko dokonać ludzie, dla których imponderabilia są droższe nad życie i w imię celu, który pochłonie ich dusze.

Ludzi, dla których imponderabilia są droższe nad życie widziałem przy umieraniu polskich żołnierzy. Nie potrzebowała to być młodzież inteligentna, nafaszerowana hasłami. Takim był pięćdziesięcioletni ospowaty analfabeta Sawczuk, który dobrowolnie wracał w ogień ze słowami "ja tylko proszę Boga, aby duszę moją uratował" i zginął, takimi były tysiące jego kolegów w bitwach, tysiące naszych braci w egzekucjach.

Nie sądzę, by wiele takiego materiału ludzkiego posiadały Stany Zjednoczone.

A czy mają "cel pochłaniający dusze".

W Stanach Zjednoczonych bardzo wiele się mówi o obronie demokracji wobec czerwonego niebezpieczeństwa. Wiele więcej, niż w Anglii. Może dlatego, że Anglicy są narodem o upośledzonej wyobraźni. Ale równocześnie są narodem historycznym i we krwi mają jakąś tensję. Ta tensja sprawia, że każdy Anglik, wysłany do kolonii znajduje swój jednolity styl podchodzenia do n a t i v e s, że dwóch Anglików nie potrzebuje przeobrazić za każdym razem od początku wszystkiego od A.B.C., wszystkiego ustalać, bo ten naród dawno przeszedł i opanował alfabet. Na te nieumówione a silne imponderabilia narzucono żelazną szkołę charakteru. Sprawia to, że w decydującej chwili symplicystyczny Tommy, nie interesujący się niczym innym w życiu jak krikiet, zachowa się właśnie tak jak trzeba, jak należy i poczucie obowiązku doprowadzi, znowuż jeśli inaczej nie można, do granic bohaterstwa. "We are illogical people" — mówią o sobie Anglicy, niby krytycznie, a w gruncie rzeczy z poczuciem wyższości. Nie cierpią uogólnień. "Mogą sobie Francuzi ubóstwiać swoją "La République" — pisze Wingfield w swojej "Historii Cywilizacji Angielskiej" — "ale Anglik dąży do zdobycia swoich, jego praw, nie "praw człowieka i obywateli, tylko praw poszczególnego Smitha, Browna i Robinsona". Dlatego przy tym usposobieniu nie nadaje się do światowych blitzkriegów ideologicznych. Można by powiedzieć, że ma wstręt do ludzi formułujących syntezę (jakże aż wstydliwym jest fabianizm na tle socjalizmu XIX w.). Jego historycy (np. Oman), kiedy już muszą chwalić mężów stanu, którzy zdali egzamin dziejowy, nie mogą sobie odmówić uszczypliwego komentarza. Każdy Disraeli był u nich "noisy", każdy Knox — "Wilder spirit", każdy Malborough — "scurrilous".

Jeśli więc Anglia nie nadaje się na p r e s s u r e - c o o c k e r ideologiczny, przygotowujący à l a m i n u t e danie mogące zastąpić stalinowski marksizm, serwowany jako jedyna

potrawa świata, to fakt, że amerykańskie puby są wymowniej-  
sze, niż angielskie jeszcze nie upoważnia nas do przypuszczeń,  
że z tych gadań o obronie demokracji urodzi się coś konkret-  
nego. Gdybyśmy mieli stawiać na nasilenie gadań, to powinni-  
bysmy czekać, że nowe oblicze świata po raz drugi objawi się w  
paryskim b i s t r o. Bo przez paryskie b i s t r o płynie hi-  
storycyzm, wiecznie wywoływany jest duch "Marianny" (gilo-  
tyny) i barykad. Ale spadkobiercy St. Justów brząkają tymi  
rekwizytami tak niefrasobliwie, jak gospodyni z "Pana Tadeu-  
sza", trzymająca poślad w rycerskim szyszaku.

W gadaniu amerykańskiej nie brząkają tak patetyczne  
rzeczy. Deklaracja Niepodległości, której rocznica jest świętem  
narodowym wygląda w tych rozmowach jak *clever adverti-  
sing*, które, istotnie, spuściło na Stany Zjednoczone potok tych  
dobrych rzeczy, jakimi pod Pizą imponował polskim dzikusom  
nie chcący się bić Amerykanin.

Sawczuk umierał pewny, że mu nie zostanie odjęte jego naj-  
droższe i m p o n d e r a b i l l i u m — dusza. Ale do jakich  
granic można ryzykować obronę lodówki?

Tę lodówkę, to auto, owszem, ubezpieczy się w I n s u r a n -  
c e, a te miliony lodówek, miliony aut w Planie Marshalla,  
Pakcie Atlantycznym czy w jakim innym ubezpieczeniu. Zapłaci  
się, dobrze się zapłaci tym, którzy tych wspaniałosci będą bro-  
nić. Ale granica tych poświęceń utknie na nieprzekraczalnym  
f e d u p — "jesteśmy znudzeni", które rozbrzmiewało przy  
końcu minionej wojny, jakże krótkiej, jakże wiele dającej ame-  
rykańskiemu żołnierzowi wspaniałego g o o d t i m e.

W wojnie totalnej nie wystarczy kupić Hannibalowi trzysta  
słoni i wysłać go, by przetrzepał skórę przeciwnikowi; w woj-  
nie totalnej trzeba zmobilizować wszystko — a przede wszyst-  
kim — świadomość. Jeśli Karolowi VII zwycięstwo zapewniła  
raczej jego artyleria, którą górował nad Anglikami, niż propa-  
ganda Joanny d'Arc, to od czasów Goebbelsa i Kominternu  
żaden woódz nie poprowadzi zwycięskiej wojny totalnej bez  
zaplecza, pełnej świadomości i entuzjazmu.

Z dojrzałością publiczną nie jest w Stanach dobrze.

Mieszkałem, na przykład, w Anglii przez dwa lata, w cza-  
sie których wałkowało się wprowadzenie powszechnej opieki  
lekarskiej. Miałem dotyk do tej sprawy jako inicjator i redak-  
tor "Pamiętników Lekarzy" i dlatego śledziłem z zainteresowa-  
niem rozwój debaty. Ta debata zaczęła się teraz w Stanach  
i na tym przykładzie mogłem porównać poziom wyrobienia spo-  
łecznego obu krajów. Przed tygodniem wysłuchałem słuchowi-  
ska radiowego, w którym lekarz, w tym systemie jaki jest obecnie  
przyjeżdża do ubogiej rodziny na pierwsze wezwanie, na pierw-  
sze wezwanie przyjeżdża też zażądany przez niego specjalista,  
pytają "do którego szpitala mamy odesłać chorego?", a na  
wszystkie pytania o cenę, odpowiadają dobroduszenie: *T a k e  
i t e a s y. D o n ' t w o r r y.*

Natomiast w obrazku z przyszłości, lekarz upaństwowionej  
przychodni daje pytania ze schematu:

— Kto ma ból brzucha, podnieść ręce. Siostrzo, sześć prosz-  
ków. Katar, podnieść ręce. Siostrzo, dziesięć aspiryn.

W Anglii nie pozwoiliaby opinia na tego rodzaju ordynarną  
propagandę. Kiedy byłem na Cyprze i miejscowe pismo zakpi-  
ło z Hitlera, grupa Anglików napisała pismo protestujące.

Prawda, że w Rosji stokroć bardziej się łże. Jeśli idzie o tę  
samą pomoc lekarską i profilatykę, pokazywano mi w szpita-  
lu bolszewickim makietę wzorowego mieszkania, które rząd  
propaguje i makietę mieszkania w stanie zapuszczenia, co się  
zwalcza.

— W t i r a j u t w a m o c z k i (nabierają pana) — wy-  
buchnęła oczekująca pacjentka — uważałabym, że jestem w  
niebie, mając to niechlujne mieszkanie. My sypiamy na narach  
postawionych w dwa piętra.

Ale Rosja, to specjalny twór, odcięty od świata, szkolony na  
jego rozbijanie. W Stanach jest jednak demokracja, od której  
głósów będzie zależna skala wysiłku. Jakże ten wysiłek w po-  
trzebnej skali osiągnąć bez oparcia go o najwyższą świadomość?

Wczoraj znowu słyszałem słuchawisko. Na posiedzeniu kon-  
cernu przemysłowego pytają promotora zyskowej operacji fi-  
nansowej, skąd czerpie swoją pewność. "Stąd" — odpowiada re-  
kin — "na czy oparłem całe moje powodzenie". I ukazuje slo-  
gan wygrawiurowany na teczce "Przez Chrystusa i dla Chrystu-  
tusa".

Wkraczam na łatwy tor opowiaduszek o Stanach, które tak  
lubią Europejczycy, złążę więc z niego pośpiesznie. Czytelnik i  
tak się orientuje, że nie wszystko jest dobrze w kraju wysko-  
ków, kiedy równorzędnie z zafundowanymi za grube pieniądze  
uniwersytetami, muzeami i instytucjami badawczymi nauczy-  
ciel szkoły powszechnej zarabia mniej, niż niewykwalifikowany  
robotnik, a trzy miliony dzieci pozostaje w ogóle bez wszelkiej  
szkoły początkowej.

Bo nie te gmachy, ani w nich wychowane jednostki będą  
walczyć, tylko ogół. A ogół nie opierzył się jeszcze we własną,  
nad wszystko mocniejszą, kulturę.

Toteż opinia amerykańska, postawiona wobec skomplikowa-  
nej sprawy bolszewizmu, która przerasta jej pojęcie, wścieka  
się, histeryzuje, robi procesy szpiegowskie, czystki, stwierdzenia  
lojalności.

Kiedy przyjeżdżałem do US, musiałem m. i. pisemnie od-  
wiedzieć na pytanie, czy nie jadę w celu zrzucenia siłą rządu  
amerykańskiego. Korciło mnie napisać *of course*.

Szpiegi hulają, kpią w żywe oczy. Proces jedenastu, oskarżo-  
nych właśnie o taką chęć wywołania przewrotu gwałtem, spra-  
wia czasem wrazenie, że oskarżonym jest sędzia Medina, a nie  
tych jedenastu drabów.

— Czemu pan sędzia podrapał się w głowę, gdy zeznawał  
oskarżony Iks? (dosłownie).



— Czemu pan sędzia się uśmiechnął, gdy zeznawał oskarżony Ygrek?

Oskarżona o szpiegostwo dziewczica Kaplan, która się przeważała Coplon, wykradła dokumenty... żeby pisać sensacyjną powieść, widywała się ze szpiegiem Gubiczewem, bo się w nim zakochała. "Ale przecie pani spędzała noce z niejakim Szapiro?" — "Co znaczy — noce? Poszliśmy razem kupić sukienkę w New Yorku, nie znaleźliśmy odpowiedniej, pojechaliśmy do Filadelfii, również tam nie mogłam dobrać sukienki, musieliśmy zanoćwać, pojechaliśmy po sukienkę do Bostonu, szukaliśmy sukienki do późna na próżno, znów musieliśmy zanoćwać". — "Aleście zawsze brali wspólny numer". — "Co znaczy wspólny numer? Szapiro jest bardzo przywoity chłopiec, niczego nie żądał i nawet nie rozbieraliśmy się".

Jury kiwa głowami — ach ta niepewność, ta niepewność... Dziewica na drugi dzień po wyroku jedzie pod Statuę Wolności i rżnie pod nią do dziennikarzy przemówienie pouczające o demokracji.

Dwuch drabów, jeden dowiedziony notoryczny agent, drugi, co najmniej czynny *fell ow - t r a v e l l e r* zajmuje od pół roku opinię tym, który z nich łże. W Rosji, jeśliby nie byli potrzebni dla procesu pokazowego, dostaliby od samego początku po strzale w podstawę czaszki i niechby św. Piotrowi zawracali głowę swoim pieniactwem. Ale jury, po tygodniach badań, nie może zdecydować się. Ach ta niepewność, ta niepewność... Jury cofa się od wydania orzeczenia, a jedynym skutkiem mozolnego przewodu będzie dochodzenie... znowuż przeciwko sędziemu, miał bowiem okazywać lekkie oznaki nieufności w stosunku do jednego z łobuzów.

Może ktoś, komu wola, powiedzieć, że przekładam kulę w łeb bez sądu nad *cas de conscience* sędziów. Podczas, kiedy tylko podkreślam, w epoce zbliżającej się rozgrywki, te dodatkowe obciążenia demokratycznego społeczeństwa, które i tak jest w sobie zamylone, nic nie rozumie co się dookoła dzieje, czuje, że w otaczającej ciemności czają się jakoweś siły gotowe go pozbawić lodówki, miota się, zapala wyłączniki, podejmuje naganki, którym pierś nastawiają szlachetne bęcwały — a szpicle się śmieją.

No to może Europa pomoże? Wstrzyknąć w nią dolary i uszywnić przeciw tej groźnej nasuwającej się ciemności.

W tym miejscu Stany Zjednoczone przypominają mi mego kuzyna, starego Chomińskiego, który od czasu do czasu zjeżdżał do Warszawy, stawał w hotelu Rzymskim i jadąc wolno autem z hotelu zawsze tą samą trasą, sypał na prawo i na lewo pieniędzmi.

Zapytany przez dziennikarzy, czy uważa ten swoisty plan Marshalla za najbardziej celowy, z całą powagą odpowiedział, że tak.

Ale pocziwemu wujowi Chomińskiemu rychlej wyschła kiesa, niż zaradził na biedę ludzką i to samo grozi idącemu w je-

go ślady wujowi Samowi. Pękać można ze śmiechu na wykrzyki prasowe i radiowe, kiedy nagle okazało się, że zamaniono oczy amerykańskie berlińskimi trudnościami, pchnięto Yankesów do nic nie dającego prestiżowego liftu powietrznego, nastraszone komunizmem w Europie, wepchnięto w plan Marshalla, a potem okazało się, że to jest drugoplanowy front i szydło wyszło z worka... w Chinach, na które już jednak amerykańskiemu Chomińskiemu zabrakło pieniędzy.

Gabriel Heater, niesłychanie popularny komentator radiowy, uosobienie "szarego człowieka", rozdiera szaty:

— Naprzód mówili, że trzeba Europę karmić, stworzyli Plan Marshalla — daliśmy dolary. I cóż się stało? Anglia daje swoim obywatelom bezpłatne zęby, bezpłatne okulary, a kobiety, które chciałyby szczerzej wyglądać mają prawo do bezpłatnych gorsetów. Potem zaczęli mówić, że trzeba tych gorsetów bronić, stworzyli Pakt Atlantycki — damy na zbrojenia dolary. Potem okaże się, że trzeba tych danych dolarów bronić — damy dolary... jeśli je jeszcze będziemy mieli. To na to krwawiła się ta nasza młodzież? *May I take a personal word?* Ta nasza młodzież nie ma pojęcia jak jej urok się podniesie, jeśli będzie używać *Shampoo Hieratonic*. O co za miękkość daje to włosom! *Thank you...* A pan Stalin tylko się śmieje...

Istotnie, pan Stalin się śmieje, bo już w 1928 r., w „Zasadach Leninizmu” pisał, że na Stany Zjednoczone należy uderzać w stanie kryzysu. (Uwaga: podziwu godne, czemu ludzie tak w głowę zachodzili naprzód co zamierza Hitler, obecnie co zamierza Stalin, kiedy obaj ci panowie z godną uznania otwartością sami o tym w swoich książkach napisali).

I jak rolnik, który czeka aż uschnie skoszona trawa, aby ją zwieźć jako siano i pogląda na barometr, tak Stalin (do niedawna "nice fellow, old Joe") pogląda na wskaźnik kluczowy, produkcji stali, który stoi na 61 proc. *capacity* i któremu na jej sieni grozi wielki strajk.

Na Europę nie wybiera się bynajmniej.

Coś z tego poczyna do amerykańskich głów przenikać. "N. York Times" wieści zawalenie się Planu Marshalla, w Kongresie panuje silna tendencja, aby Pakt Atlantycki nie skutkował automatycznie obowiązku zbrojenia Europy.

Te różne zastrzeżenia poczynają nurtować nie tylko kongresmanów i publicystów, ale i szarego człowieka.

Przy kiosku na *high-way* gentleman w koszuli flanelowej w cegromne kolorowe kraty tchnął na mnie aromatem coca-cola:

— Panie — wybałuszył na mnie oczy — a może czerwoni tyłko po to atakują Pakt Atlantycki, żebyśmy go tym zacieklej trzymali w paszczy, jak pies, któremu się wydiera na nic nikomu niepotrzebny patyk, kiedy tymczasem spółnik rabuje chiński śpichlerz?

— Racja. Macie wy taką pogaduszkę dla dzieci: "Latała osa koło psiego nosa — pies śpi".

— O, *yes...* — ucieszył się i zacytował coś w slangu.

— No, więc właśnie... Posłuchajcie jak to idzie:

Narobiliście po wojnie na nowo aut i lodówek, bezrobocia nie było — Stalin nic.

No to potem uzbroliliście się na nowo, bezrobocia nie było — Stalin nic.

No to potem zaczęliście fabrykować na plan Marshalla, bezrobocia nie ma — Stalin nic.

No to potem — co tu robić? — przezbroliliście się, bezrobocia nie ma — Stalin nic. Ale jak długo i ile razy można się przezbierać?

No to potem wymyśliliście Pakt Atlantycki, będziecie fabrykować broń dla Europy, bezrobocia nie ma, Stalin...

— Jakto bezrobocia nie ma? — obrażonym głosem spytała kratkowana kosczała — trzy miliony osiemset tysięcy już jest i coraz więcej będzie. W mojej fabryce dywanów we Frehold zamknęli nocną szychtę, dobrze, że miałem zasiedziałe *seniority*, to mnie z posady tkacza, gdzie miałem 80 dolarów tygodniowo przeniesiono na zamiatacza o płacy 46 dolarów. A iluż innych, z młodszym *seniority*, wyrzucono na bruk?

— No, jak tak, to zbliża się koniec bajki: "Pies — cap..."

— To co mamy robić?

Wzruszyłem ramionami. Chciałem powiedzieć: "Mniej czytać *comics* (idiotyczne awanturnicze przygody — podpisy pod ilustracjami, na których czytaniu wielka ilość Amerykanów zaczyna i kończy dziennik). Ale by nie zrozumiał. Więc tylko wyraziłem przypuszczenie, że Stalin trzyma się zasady napoleońskiej: "W wojnie ten wódz zwycięża, który lepiej potrafi wyzyskać głupstwa przeciwnika".

Amerikanom poczyna się wydawać, że właśnie robią te głupstwa. Ich sekretarz skarbu, Snyder po konferencji ze Stafford Crippsem na temat *gap* budżetowej, ziejącej w szalupie angielskiej — nie doszedł do żadnego wniosku. "Plan Marshalla" — smętnie stwierdza w artykule wstępnym "N. York Times" — "nie poskromił ekonomicznych nacjonalizmów, ale przyczynił się do ich wzrostu". W planie Marshalla pismo widzi "wielką pokusę do uciekania się do środków doraźnych, niewspółmiernych z ideologią na dłuższą metę". W "New York Daily News" J. O'Donnel stwierdza, że Plan Marshalla już zbankrutował.

Sprawa Chin, zwłaszcza, wywołuje konsternację. Miałem smutną uciechę, obserwując pierwsze nepowe głosy finansjery amerykańskiej po wkroczeniu czerwonych. Ach, jacyż grzeczni... Ach, jacyż rozsądni... Ach, jak chcą kooperować... Oni rozumieją, że stosunki ze Stanami są dla nich konieczne.

Przypomniał mi się obrazek, który widziałem w Polsce 1939 r. Nauczycielka pytała komendanta bolszewickiego, czy ma zdjęć portrety prezydenta i obu marszałków. "Ależ niech wiszą". — "A czy dzieci mają odmawiać modlitwę?" — "Naturalnie". Na takie wieści liczni burżuje, którzy już byli w Rumunii, wrócili z autami i betami.

Przeszło dwa miesiące — konsul amerykański dostał od policji po mordzie za nieprzestrzeganie prawideł jazdy z komentarzami w urzędowej prasie, że mordobicie zaaplikowano nie przypadkowo, tylko jako dokumentację, że się dominacja kapitalistów skończyła. Przemysłowcom każą płacić jakieś rozdęte remuneratione robotnicze wstecz, a na likwidację — już za późno.

Trzeba by, zaiste, nadmiernych ilości *wishful thinking*, aby utrzymać amerykańską opinię w przekonaniu, że to jest lokalna sprawa chińska, że chiński bolszewizm jest całkiem inny itp. Mao-Tse-Tung, dyktator Chin, rozwiął te złudzenia w publicznych przemówieniach, stwierdzając, że będzie prowadził politykę Kremla.

Polityka jest jasna — frontem pierwszej wagi jest AZJA.

Pamiętam, jak w 1934 r. Radek demonstrował mi pracę Instytutu dla Ludów Wschodnich (dokładnej nazwy nie pamiętam), którego był kierownikiem. Uderzyła mnie egzotyka krajów z których uczniowie pochodzą i cyfry kończących gruntowne przeszkolenie. Kształcili się tam i Rosjanie i została mi w głowie cyfra osiemdziesięciu absolwentów-Rosjan z języka japońskiego. Teraz ta długa cierpliwa praca daje rezultaty.

W Indo-Chinach, kształcony w Moskwie Ho-Chi-Min ustanowił już reżim komunistyczny przy zupełnej bezradności Francuzów. Republika Koreańska, "ostoją demokracji w Azji", już otrzymała wyrok śmierci od marionetkowej czerwonej republiki północno-koreańskiej, wiele mniejszej, ale... rozporządzającej 200.000 wyćwiczonego przez Sowiety wojska. Wyrok śmierci żąda "wolnego ludowego plebiscytu" na sowiecki manier. "Ostoją demokracji" rozporządza 50.000 wojska i podnosi się alarm, że w ciągu trzech miesięcy upadnie, jeśli w niej jeszcze nie utopią 150 milionów dolarów (wówczas, kiedy błagającą o pomoc panią Czang-Kai-Szek odprawiło się z kwitkiem) i jeśli się nie pošle wojsk amerykańskich (które w grudniu się wycofało). Dom wariatów!

*Wishful thinking*, wskazuje na Japonię i amerykańskiego Wieniawę, Mac Arthura, jako remedium na bolszewizm w Azji.

Ale należy to uznać za złudzenia. Japonia jest krajem najostrej niesamowystarczalnym na świecie. Może istnieć, albo w oparciu naturalnym o ląd azjatycki, a to oznacza jej przejście na tamtą stronę barykady, albo o pomoc amerykańską, co jest zupełnie iluzoryczne skoro się opuściło Chińczyków, skoro się przykręca śrubę na planie Marshalla do tego stopnia, że jego kierownik Hoffman grozi podaniem się do dymisji. I w Japonii śrubę się przykręca do tego stopnia, że Związek Kolejarzy uchwalił sprzeciwić się redukcjom w drodze oporu fizycznego.

Wybory w Japonii dały trzy miliony głosów komunistycznych; silnie zdyscyplinowana i zamknięta partia komunistyczna w Japonii liczy 200.000 członków, a pierwsze dwa tysiące zwracanych przez Rosję jeńców powitało spotykającego ich gen

Mac Artura śpiewem internacjonau i okrzykami na cześć Stalina.

Zamordowanie przez komunistów min. Shimoyama, atak na stację policyjną w Taira, uchwała kolejarzy — to tylko ogniwa łańcucha zdarzeń, które pozwalają ambasadorowi Paniuszkiniowi występować na Komisji Dalekiego Wschodu w roli obrońcy demokracji w Japonii.

Zobaczymy, jak będzie dojrzewać to jabłuszko.

Kiedy Stany Zjednoczone są tak zagrożone z zewnątrz, a wewnątrz przechodzą linienie w ideologii gospodarczej, w walce pomiędzy zasiedziałą *Free Initiative* (jakby w dobie późno-ka-pitalistycznej istotnie było miejsce dla swobody ekonomicznej jednostki) i rozpanoszoną *Managerial Class*, a nieuchronnie nasuwającą się koniecznością gospodarki społecznej, kiedy widmo inflacji i bezrobocia nie schodzi w dzień i w nocy z oczu i kiedy rządy w Waszyngtonie zależne są od fluktów dosyć przypadkowych (część własnych demokratów zwalcza Trumana, kongres tygodniami może być unieruchomiony przez obstrukcję), a w sprawie najważniejszej, bo obronności kraju, armia, marynarka i lotnictwo dają gorszące widowisko klótni, doprowadzające do samobójstwa jednego sekretarza obrony narodowej, do zrezygnowania jego następcy, kiedy wieści o złej (sprawozdanie Hoovera) i nieuczciwej gospodarce (zawieszenie generałów "pięcioprocentowców" w związku z dostawami) przenikają do ogółu — w potężnym, silnym i młodym społeczeństwie, schwyconym w kleszcze międzyepoki w stanie niewypierzenia i zagrożonym, poczynając grać spekulację *w i s h f u l t h i n k i n g*, które normalnie są raczej właściwe narodom bezsilnym (marzenia Katerli-Zeromskiego o aparacie niszczącym Moskali), lub dekadentckim (rachuby Francuzów na linię Maginot).

Bomba atomowa!... Kupić, zapłacić, przepłacić, skonstruować, rzucić i mieć spokój... Bomba atomowa, jak linia Maginot miała szczerzyć przykrości wojowania.

Każdego laika musiało w latach ubiegłych zastanawiać pytanie: jak to się dzieje, że bolszewicy, którzy nie mają bomby atomowej, są arogancy, kpią w żywe oczy i odnoszą sukcesy za sukcesem, a reszta globu, mogąc ich jednej nocy zmiażdżyć, jest w ciągłym odwrocie.

Naturalnie, wieszultynkiści mieli i tu gotową odpowiedź: demokracja jest zbyt uczciwa, aby użyć tego straszliwego środka zanim zajdzie ostateczna potrzeba.

Żaden uczciwy człowiek nie użyje też bez potrzeby pistoletu. Ale nie wyobrażam sobie, żeby ktoś nieuzbrojony mógł systematycznie i skutecznie sięgać raz po raz do kieszeni kogoś uzbrojonego w pistolet.

Użycie bomby atomowej byłoby stokroć bardziej usprawiedliwione jako prewencja rozpoczynającej się wojny (czym jest zajmowanie Chin), niż jako ułatwienie sobie dokonanego zadania przy kończącej się wojnie (w Hiroszymie).

Toteż poczęło się coraz niecierpliwie dobieranie się do tajemnicy bomby atomowej, którą zna w Stanach Zjednoczonych 24 osoby oficjalnie i nieoficjalnie niewiadoma ilość szpiegów (patrz rewelacje senatora Hickenloopera, kradzież substancji atomowej w laboratoriach w Chicago itd.).

Nie mogąc zwać tego muru tajemnicy, poczęto liczyć i obliczać. Potrzeba by 500 bomb atomowych, ażeby przeprowadzić zniszczenia równe tym, jakich dokonało bombardowanie Niemiec. A czy U. S. mają 500 bomb atomowych?

Specjaliści, którzy sypnęli właśnie książkami (R. E. Lapp, M. S. Blanckett) przymrużają porozumiewawczo oko: nie wiercie takiej bujdzie, gdyby ją kto wmawiał. "Bomba atomowa nie jest automobilem Forda, produkowanym na taśmie" — pisze znany analityk wojskowy, Hansen B. Baldwin, który właśnie odbył podróż po ośrodkach atomowych lub choćby ich poczekalniach.

Ale gdyby nawet U. S. posiadały 500 bomb, to co?

Po pierwsze: bombardowanie Niemiec nie było czynnikiem tak decydującym jak się zdawało, stwierdzają w swoich książkach zarówno gen. Fuller jak i adm. Dickens. Wojenny przemysł niemiecki nie był zgnieciony w sposób wystarczający.

Po drugie: Rosja to nie Niemcy. Któż zliczy zakłady pracujące na rzecz wojny na jej niezmiernych przestrzeniach. "Jest wielkim złudzeniem przypuszczać" — stwierdza H. B. Baldwin po swoim objeździe — "że bomba atomowa zapewni nam bezpieczeństwo".

A po trzecie (i najważniejsze): "Walka, aby była celowa, wymaga by jej przyświecał zdrowy i celowy rezultat" — pisze gen. Fuller.

A jakiż zdrowy i celowy rezultat uwieńczy, nawet skuteczne, zbombardowanie Rosji?

"Bomba atomowa nie jest bronią decydującą" — pisze atomowiec R. E. Lapp w swojej książce *Must we hide?* — "będzie tragedią Stanów Zjednoczonych, jeśli uświadomią to sobie zbyt późno".

Ciekawe, czy mimo tych głosów będzie trwał "maginotyzm" w opinii amerykańskiej.

Nie ma bowiem decydujących broni. W odległości wielu tysięcy lat może nam się wydawać, że epoka bronzowa pobiła kamienną, bo jej broniły niedołężne toporki, albo że żelazna zwyciężyła, przycinając bronzowe miecze jak świeczki. Ale już w bliższej odległości rozumiemy, że grecka falanga, kawaleria Hunnów, ciężkie łucznictwo pod Crecy, albo artyleria Karola VII miały tylko subsydiarne znaczenie. Chassepoty, górujące znakomicie nad niemieckimi iglicówkami, nie dały Francji zwycięstwa, bo mając za sobą nowocześniejszą broń, przeciw sobie miały wartości zrastającej się Rzeszy.

Na razie to nie Stany reprezentują nowe wartości, aczkolwiek potencjalnie przedstawiają rezerwat witalnych sił, w którym poczną się nowe idee. Należy przypuszczać, że w nowej epoce,

kiedy ta zacznie się konsolidować, Stany Zjednoczone zajmą przodujące miejsce dzięki duchowym wartościom, które do tego czasu narosną. Ale dla zbliżającej się rozgrywki nie są Stany wyposażone duchowo. Dopiero przejścia mogą z nich wykuć wspianą, nowoczesną społeczność. Stany Zjednoczone czekają na swoją stuletnią wojnę, kiedy "przegrana była ukrytym błogosławieństwem — Anglia dopiero stała się zdolna znaleźć swoją właściwą linię rozwoju" (Fisher).

Dlatego, będąc Amerykaninem, uważałbym za niecelowe pisać taką broszurę jak ta, która nie bez słuszności mogłaby być, w warunkach amerykańskich, uważana za defetystyczną. Bo Ameryka nie ma innej drogi do przyszłości, jak przez walkę — choćby przegraną.

Bo narody są jak żołnierze na froncie. Dobry żołnierz, jeśli walka przenosi się na jego odcinek — przyjmuje ją jak myśmy przyjęli w 1939 r. Ale nie lata po cudzych odcinkach. Przecież nie lecimy teraz pomagać antybolszewickim Chińczykom.

Jeśli walka przyjdzie na odcinku amerykańskim — poczekamy. Walcząc, placilibyśmy nie tylko krwią, ale i zrozumieniem swego miejsca na świecie. Dla przyszłości naszego narodu to zrozumienie jest ważniejsze, niż dziesięć bitew wygranych przez Amerykanów "w naszej obronie".

Bez pomocy polskiej się obejdzie, aczkolwiek będziemy wzywani. W dniu 1 sierpnia 1949 r., w samo pięćdziesiąt lat powstania warszawskiego, najpoważniejsza stacja radiowa *National Broadcasting Corporation* zainicjowała godzinną audycję — dyskusję: czy nie należałoby, zamiast planu Marshalla i Karty Atlantyckiej, pchnąć wszystkie fundusze za żelazną kurtynę i stworzyć milion do półtora miliona ludzi liczącą armię szpiegów, sabotażystów i agitatorów. Kiedy oponenci pytali wnioskodawcę, p. Laffon-Morse, jak uda mu się przeszarżować na tamtą stronę półtora miliona ludzi w warunkach pokojowych, odpowiedział, że pośle się tylko instruktorów, a kadry dadzą narody za żelazną kurtyną. Pan Morse, jak widzimy chce się wymigać skupowaniem słoni dla Hannibala.

Alé my — poczekamy. Doczekamy się, aż p. Morse i współprojektodawcy będą zmuszeni poniechać genialnych planów i po prostu i ordynarnie, włożyć spinacze i pomaszzerować na linie bojowe. Będziemy ich wówczas szczerze podziwować. Ich i Amerykę, która się stanie "natchnieniem świata".

Właśnie, wskutek tej swojej wiary w Stany Zjednoczone, nie jako pogromcy Rosji, ale czynnika, który po swojej porażce będzie miejscem, gdzie najżywotniej poczyna przastać siły nowej epoki — chciałbym, aby Polacy wówczas znaleźli się możliwie blisko tego kraju największych możliwości.

We wspomnianym już swoim memoriale z 1 sierpnia 1944 pisałem:

*„Tamtą wojnę Polacy zaczęli w oparciu o Austrię, skończyli w nieporozumieniach z Francją, tę wojnę zaczęli w oparciu o Francję, skończą w nieporozumieniach z Anglią, przysztą*

*wojnę rozpoczną w oparciu o Anglię, skończą w nieporozumieniach ze Stanami Zjednoczonymi”.*

Lepiej więc tego od początku unikać.

#### DWADZIESCIA PIĘĆ LAT ANARCHII?

Wbrew "czerwonej hysterii" amerykańskiej Rosja nie kwapi się do formalnej wojny, zadawalając się wojną istotną, nie wiadomo czemu przez wiszfulitkowców nazywaną *c o l d w a r* skoro armaty grają na jej szerokim froncie.

Skoro więc U. S. nastawione są defensywnie (co w wojnach ideologicznych równa się przegranej), a Rosja do formalnej wojny się nie kwapi, to sądzić należy, że używa chwytu raz już zainicjowanego przez Joffego na konferencji w Brześciu, kiedy na ścianie wobec zdumionych wymonoklowanych sztabowców niemieckich wypisał: *ni mira, ni wojny*, (ani wojny, ani pokoju).

Ta azjatycka "wydzierżka" przypomina mi obrazek widziany przed tamtą wojną w Moskwie: słabnący pijak trzyma się kurczowo latarni, ale zjeżdża wciąż w dół. Policjant, który ma prawo tylko wówczas zabrać pijanego, jeśli ten leży na ziemi, czeka spokojnie. *A ty mienia wsio taki nie w o Ź m i o s z* (a ty mnie jednak nie weźmiesz!) — mruzczał obywatel, kurczowo trzymający się słupa i osuwający się cał po calu. Policjant spokojnie czeka: będzie go miał bez zachodu.

Ale w jakiej mierze "bez zachodu"? I co w ogóle znaczy, że "będzie go miał"? I po co czekać dwadzieścia pięć lat, jak głosi punkt czwarty bukareszteńskiego "horoskopu"?

Istnieją po temu powody natury materialnej i duchowej. Powody, dla których nie można też stawiać na zwycięstwo Rosji.

Kraje satelickie, z wyjątkiem Czech — mało uprzemysłowione, pragnęłyby przerobić drogę, której taki kawał uszła Rosja. Jeśli Polska jest w 40 proc. państwem przemysłowym, a w 60 proc. państwem rolniczym, a Minc chce odwrócić stosunek procentowy, to musi znaleźć gdzieś kredyty inwestycyjne i tu może liczyć tylko na pomoc Wielkiej Protektorki. Toż samo inne państwa satelickie.

Wielka Protektorka nie może przechodzić nad tymi potrzebami całkowicie do porządku dziennego, bo dzieje jeszcze nie znają autokraty, który by na czas dłuższy postawił logikę gospodarczą na głowie — bezkarnie.

I widzimy, że Rosja cyka pożyczki i zasiłki wszystkim podobnym. Wszystko co się w Rosji dzieje jest skryte i to pozwala na daleko idące dedukcje o rabowaniu Polski. Nie wiem, czy te łatwe spekulacje myślowe nie są zbyt dowolne. Nieprzebudowanie ustroju gospodarczego satelitów równa się ich nieskomunizowaniu. "To się wywiezie ludność" — mówią nasi hurrapublicyści; mając w duszach nieskończony kompleks niż-

szości wobec Rosji, z całą łatwością wytrząchują z rękawa te setki tysięcy wagonów, które wywiozą na Kojmę dziesięć narodów Międzymorza.

Czy z również lekkim sercem do tej ewakuacji dołączą czterysta milionów zacofanych rolników chińskich?

Ledwo ukonstytuowała się nowa bolszewicka rzeczywistość w Chinach, już okazało się, że *drugije cyplata tożę kuszal' cho- czut* ("że te nowowylęgnięte kurczęta też już chcą dziubać"). Jen-Pi-Shi w swojej mowie w Peiping zapowiada w ciągu 4 — 5 lat odbudowę zniszczeń (forsa!...), a w ciągu 10 — 15 następnych lat (już tu więc tyle mamy czekać...) uprzemysłowienie Chin czterokrotne (jeszcze więcej forsy!...). Inaczej rolnik chiński zostanie rolnikiem chińskim — maszeruj tu z takim na podbój świata.

Do 1939 r. Rosja przeobrażała się nadludzką prywacją, mając do czynienia z półtora miliona ludności. Teraz ma siedemset milionów podopiecznych, a jeśli tyrady Paniuszkińskie poskutkują — dalszych sto milionów, a jeśli Korea, a jeśli Indo-Chiny...

— *Da nie wsie razem!*... — może krzyżeć Stalin do gorliwych wyznawców, jak chłop, który gramoląc się na konia, prosił o pomoc wszystkich świętych, aż hycnął zbyt silnie i przewalił się na drugą stronę.

Już pod względem materialnym porównanie ze spokojnie czekającym stójkowym nie jest ścisłe. Owszem, późno-kapitalizm słabnie i osuwa się w dół, ale czyhający na jego upadek policjant przejadł się i ma bóle żołądkowe.

Strona moralna sprawy jest jeszcze bardziej godna zastanowienia.

W czasie rewolucji październikowej obchodziłem z ramienia komitetu polskiego miasto z patrolem bolszewickim (szło o każdorazowe udaremnienie zamachów na polskie placówki jako "neutralne"). Byłem do głębi zaskoczony ideowym ładunkiem w duszach tych marynarzy. Z takim patrolem po ulicach Piotrogradu chodził Chrystus Błoka. Potem tym ładunkiem szafowano na tysiące zbrodni po Kątyń włącznie. Ostre środki, niszczące objawy, na które są skierowane, produkują wydziałyny, których nadmiar może zabić organizm, któremu miały służyć.

Poseł sowiecki w Meksyku, zbliżając się do przegranej, zmiotł pionki ruchem pół gniewnym, pół żartobliwym:

— U mnie wybuchła rewolucja, nie uznaje odstąpienia terytoriów, unieważnia logikę gry...

— A cóż pionki winne — stęknąłem, łażąc pod fotelami.

— Rewolucja nie może być cukierkowa — grzmiał spod drugiego fotela.

Ale rewolucja i bezprawie nie może trwać wiecznie. Dlatego nie przypuszczam, by Chrystus Błoka promieniował wśród so-

wiekiej biurokracji. Czapski pisze, że poeta był coraz smutniejszy, zamilkł i odmawiał deklamowania swojego utworu.

A może i Błok był cukierkowy? Ale i zaharowany całozyciowy rewolucjonista, animator frontów wojny domowej, Trocki, na dwa lata przed swym zamordowaniem pisał: "Nie jest do pomyslenia socjalizm, który nie idzie w parze z rozkwitem ludzkiej indywidualności".

A teraz — o ciężeniu materii.

Czyż może być człowiek o tak potężnych barach, który by wstrzymał w biegu Niagarę? Czyż może być dyktator o takim geniuszu, o takiej niezależności od sił działających, który by wstrzymał w biegu tradycję kilkusetletniego imperializmu rosyjskiego, przekuł charakter narodowy, przekuł dążenia i umiłowania narodowe na ogólnoludzkie, wyeliminował wszystkie bliższe cele, kazał milionom popełniać bydlęce czyny i nie zabił w tych milionach duszy?

Nie sądzę, aby w razie udania się planów Hitlera, grający Beethovena Gestapowcy zdolni byli odgrzebać w swych duszach resursy, pozwalające zbudować uczciwy *N e u e O r d n u n g*. Nie sądzę aby mogli to zrobić zwićciśki bolszewizm.

Rządcom na Kremlu może się wydawać, że mogą schować z powrotem wydobyte na czas wojny rewizyty: popów, Suworowa, apologię carów, budujących Rosję — Piotra I, Iwana Groźnego. Jak w czasie wojny człowiek rosyjski walczył nie z faszyzmem, tylko z najeźdźcą, tak samo *à l a l o n g u e* nie będzie ponosił dobrowolnych ofiar dla organizowania czterystu milionów Chińczyków w imię rewolucyjnej piosenki o wyzwaniu biedaków w grenadzkim powiecie. Do grenadzkiego powiatu ruszy albo jako ideowy Rosjan po ekspansję dla swojej ojczyzny, albo jako udziałowiec szajki rabusiów. Tak czy inaczej jednakowo nie wyjdzie to na zdrowie zegarkom grenadzkim, ani mieszkańcom grenadzkim, i tu jest gwarancja — że można rozbić świat, kończąc dzieło Hitlera, a nie być w stanie go zorganizować.

Zanik bujnej porewolucyjnej literatury rosyjskiej zdaje się świadczyć, że tam pod kotłem przestaje się buzować. Porównajmy dwie powieści Faddiejewa, najbardziej prononsowanego pisarza obecnej Rosji, prezesa Związku Literatów, delegata na wszystkie kongresy intelektualistów. Jego "Razgrom" z czasów walk domowych w Rosji, opisujący dzieje rozgromionego bolszewickiego oddziału, jest gorzki, ludzki, pałający gniewem, goryczą ogniem tęsknoty. Jego "Mołodaja Gwardia" — dzieje młodzieży komsomolskiej w czasie minionej wojny — jest to piekielnie nudna szmira, w której się poruszają szablony nieskazitelnie ideowych, nieskazitelnie bezbarwnych i nieskazitelnie rudnych komsomolców.

Ten pisarz w ciągu trzydziestu lat nie przygalał do żad-

nej Grenady, tylko do nudnego Urzędu Propagandy Trustu Bolszewickiego.

Nie ma rady: zawiodą się ludzie wyczekujący po obu stronach barykady, że im ludzie z tamtej strony przyniosą zdrowy układ życia. Ale nic ich przed tym zawodem nie powstrzyma. Bo jak powiedział lord Halifax (ale ten z XVII w.): "Ludzie zwykle dają się ponieść marzeniom. Ani im w głowie powstrzymać ich bieg, tak się lubują w tym pędzie".

Nie zawiodą się tylko ci, którzy mają mniej "wiszfułtinkowate" marzenia, którzy wybierając się osiaść w nowej epoce, liczą, jak osadnik osiadający w dżungli, że pożar międzypoki najwyżej oczyści teren, ale zbierają wszystkie siły na budowę od nowa.

Czy zaliczyć tych ludzi do optymistów, czy do pesymistów?

Wingfield-Strafford w swoim studium o cywilizacji zirytował się na ten podział: "Ze wszystkich nalepek najidiotyczniejsze, a przecież stale używane są nalepki "optymizm" i "pesymizm".

Jeśli to co się nazywa optymizmem dyktowało legendy dawniej o papierowych czołgach, a teraz o wojnie atomowej, jeśli optymizmem nazywa się bezmyślność z jaką witało się nadciągającą burzę dziejową, a teraz oczekuje się wjazdu na białym koniu, to, istotnie, musielibyśmy za Havelock Ellisem powtórzyć, że "miejscem, w którym najwspanialej rozkwita optymizm, jest dom wariatów".

Jeśli jednak optymizmem nazwiemy wiarę w człowieka w wieczny postęp ludzkości, to, mimo gromów na XIX stulecie, które gęsto rozsiałem w tym liście, trudno mi nie powtórzyć Goethego: *Edel ist Mensch, hilfreich und gut*.

Tylko, że trudności, z którymi w gruncie rzeczy szlachetna istota ludzka spotyka się na świecie są tak ciężkie, kataklizmy, które łamią złe zrosty ludzkości tak potężne, że "pozycje zdobyte przez jedno pokolenie mogą być tracone przez następne. Myśli ludzkości mogą pójść drogami, które prowadzą do zniszczenia i barbarii".

Jeżeli te gorzkie słowa wypowiada H. Fisher w króciutkiej przedmowie do swego obszernego dzieła historycznego, to znaczy, że myśl o tym specjalnie go uwiera. Bo Fisher już nie jest dziewiętnastowiecznym pisarzem, ale dzieciństwo jego czerpie soki z XIX w. Ten wiek patrzył na zbyt wiele nieprawości, by pozostać przy bukolicznej wierze Goethego w człowieka. Ale zawsze każdą nieprawość jakoś prąd dziejowy wynosił na miejsce światła i jasne: zbroczone krwią niewinnych spisy jakobińskie przemieniał w bagnety niosące ludom wolność; wyzysk — w rewolucję przemysłową; bezrobocie maszynowe — w rozkwit handlowy; ucisk kolonialny — w budowanie nowych kontynentów cywilizacji. I dlatego wiek XIX począł wyobrażać sobie postęp ludzkości jako zygzakowaną linię — od właściwego celu do niewłaściwego i z powrotem — ale ciągle wyżej: tak, jakby kto wchodził po wieży krętymi schodami, aby zobaczyć co jest za

rzeką. Im kto był wyżej, tym więcej widział, ale raz po raz wynosiły go kręte schody ku okienkom umieszczonym z przeciwnej strony. Cóż z tego, że obejmował teraz szerszy widnokrąg, kiedy patrzył w niewłaściwą stronę. Wiek XIX uspokajał: "Grunt w tym, że poziom wyższy. Idźcie dalej — dojdziecie".

Ale kiedy doszło się... do komór gazowych, stropiona ludzkość stanęła: gdzie ten poziom wyższy?

I historycy poczęli, jak Fisher, pisać gorzkie słowa.

My, "młodzi", jednak (niech mi pan pozwoli szwarcować się w waszym Klubie Trzeciego Miejsca) czujemy, że jednak ten zygzak postępu jest, tylko że nie idzie łamaną linią w górę, a jest jak spirala położona na ziemi, biegnąca po niej coraz wyższymi splotami. Każdy następny splot jest wyższy od poprzedniego, może gdzieś splot najwyższy, wyobrażalny tylko, urwie się i zakończy w wymarzonej krainie za obłokami. Ale tymczasem sunąca spirala ludzkość zsuwa się od czasu do czasu w dół, rżnie pyskiem w błoto, w to samo błoto, na tym samym poziomie, na którym leży spirala pierwsza.

To różnicę łbem w błoto zachodzi, kiedy się wali dawna epoka. Epoka, która trzaśła kończy swój wzrost z ziarna, pączkowanie i kwitnienie bukietem przekwitłych nacjonalizmów. Do swobody jednostki idą dzieje przez ostateczne jej pogńębienie w młynach totalitarnych. Widać nie tylko trzeba zburzyć wynaturzony ustrój ekonomiczny, nie tylko do gruntu wypełnić autarkie, ale i w duszach ludzkich wypalić załążki, z których wyrastały. Zdaje się jednak, że nie ma tak ostrego środka, który by wypalił w duszach ludzkich poczucie, że gruszka na miedzy dzieli go od sąsiada. Po prostu — sam człowiek musi z tym wypaleniem zginąć na rzecz swoich dzieci, które wychowały się z dała od tej gruszy na miedzy, w pojęciach eszelonów, biletinów, przerzucania ludności, planowania, racjonowania, przymusu społecznego i względności świętego prawa posiadania. "Tatusiu" — pytała córeczka mego znajomego — "skoro nie służyłeś w Polsce w wojsku, to skąd miałeś Naafi?".

I tę dopiero córeczkę — pocnie ponownie wznosić spirala. Przejście z powrotem do trosk o jednostkę będzie cechą organizmów multinarodowych. I cechą świata maksymalnie planowanego, który służy jednostce maksymalnie wolnej.

Trzeba przyznać, że po drodze tymi z nas, którzy dotychczas nie zczeźli, rzuca porządny wir i nie ma się co ludzi, panowie koło pięćdziesiątki, żebyśmy z niego zdążyli wyleźć na stały ląd.

Jest taka nowela Poe'go "Whirlpool". Morze otwiera się do dna, a po peryferiach wirującego kotła mknie łódeczka z dwoma ludźmi — na samo dno, do ilkiego gruntu wielotysiącmetrowej przepaści.

Cóż tu planować w takim położeniu? Trzeba trzymać buchy łódeczki i tyle. Dlatego segreguję i czyszczę jajka w pokorze ducha, ciesząc się, że żyję i że mam jeszcze pewne zainteresowania np. smakowitymi ogłoszeniami naszej gazety lokalnej: "Jaką radość zrobisz mamusi lub bliskim, ofiarując im na birthday

gustowną działkę zakupioną na naszym cmentarzu. 80 proc. zapłacisz po pogrzebie dopiero. Pomyśl, czy jesteś w stanie nabyć gdziekolwiek podarunek na tak dogodnych warunkach”.

*Tout est pour le mieux dans le meilleur du monde... possible,* pocieszam się ze starym kpiarzem Voltaiorem.

— Cóżś myślał, spadając? — pytał chłopaka, który spadł z piątego piętra na asfalt, potrzaskał nogi, ale je mu poskładano z kawałków, chodził bez kul i był demonstrowany przez szpital:

— Myślałem jak wylądować.

Ale ja nawet nie myślę jak wylądować.

Kokietując czytelnika “Cierpieniami młodego Werthera” (może już po spirali wchodzimy w neosentymentalizm?) o mało, a zapomniałbym go poinformować o małym drobiazgu (punkt czwarty “horoskopu”) — dlaczego ma czekać na zakończenie się bałaganu przez dwadzieścia pięć lat?

Przede wszystkim dlatego, że tyle czasu potrzeba, aby wymarło pokolenie Rzędziana z ideałami gruszki na między granicznej, które dotychczas rządzi światem.

Po drugie, że przy obecnym rozwoju technicznym i epoki prędeziej lecą i śpięcia między epokami są krótsze.

Epoka kamienia łupanego trwała nieokreśloną ilość tysiącleci, gładzonego — trzy tysiące lat, brązu — 800 lat, żelaza — trzysta lat, a epoka pary 100 lat. Dlatego sędzę, że w dwadzieścia pięć lat damy sobie radę, ale jakby kto się sprzeczał, to rzuć mogę parę lat w tę lub w tamtą stronę ustąpić.

Czy ten nowy świat będzie się zraszał dedukcyjnie, czy indukcyjnie, czy drogą pośrednią — przez różne międzynarodowe zarządy, poczynając od mniej spornych, jak lotniczy, kolejowy, pocztowy — mało mnie to wzrusza, mnie tam już nie będzie. Natomiast co można jeszcze dla Polaków w tym śmiertelnym w h i r l p o o l zrobić, to zrobić należy — przez Klub Trzeciego Miejsca, czy, po prostu, przez ludzi ucziwych.

## Cz. 2. — «Emigracja»

### DYSPROPORCJE

#### *Historyzm i możliwości*

Zatoczywszy koło, wracamy więc do odwiecznego “Słoń a sprawa polska”.

Ta sprawa teraz sama przez się nie gra, jest funkcją spraw światowych do tego stopnia, że ważniejsze jest dla Polaka zastanawiać się nad sposobem myślenia np. Mao-Tse-Tunga, niż Bieruta. Dlatego wracając do spraw polskich, wracam nie do ich ogólnego politycznego aspektu, doraźnie bez reszty pokrywającego się ze światowym, a do naszego sposobu życia na emigracji.

Jeśli dojdziemy do przekonania, że w konflikcie, który nadchodzi nie będzie ani nic do obrony, ani nic do zdobycia, to zachodzi pytanie — w jakiejże postawie moralnej spotkamy ten konflikt.

Jest to pytanie specjalnie trudne dla nas, Polaków, przede wszystkim dlatego, że straciwszy wszystko, jako jedyny aktyw z pogromu wynieśliśmy wspomnienie o naszej postawie moralnej i nader niechętnie patrzymy na każdego, kto, w naszym zrozumieniu, chce nam ten ostatni i jedyny aktyw zdeprecjonować. Poza tym — skopano nas, upokorzono i pragniemy rewanżu. Wreszcie — tkwimy po tej stronie barykady i chcemy robić dobre wrażenie, nie psuć sobie stosunków, zapominając, że dobre stosunki jednostki nie zawsze pokrywają się bez reszty z dobrem publicznym. Przed wojną dobrze odprasowani czaruse na placówkach w Niemczech uważali, że im “Smętkiem” psują dobre stosunki.

Poza tymi jednak koniunkturalnymi prawdami jest powód zasadniczy, dla którego Polaka trudno jest skłonić w procesie dziejowym do postawy, która będzie mu się wydawała bierną. Należy bowiem, dzięki swego położeniu geopolitycznemu i wynikłym z niego dziejom do grupy narodów historycznych i jako tacy trzymamy zaraz miejsce po W. Brytanii, Rosji, Francji i Niemczech, a przed wszystkimi Belgią, Holandią, przed narodami obu Ameryk, przed narodami Międzymorza i nawet przed Włochami, mimo że tyle im zawdzięczamy. Słuchając przez radio Mussoliniego po bitwie pod Monte Cassino wrzeszczącego, że ponownie po *Via Appia* ciągną na Rzym barbarzyńcy, pomyślałem, że ma nieco za szeroki pysk, bo co tam robili Rzymianie i papież, pisze się tylko w ułamku na włoski rejestr, a ja ani swoich Piastów nie wymieniłbym na jego Gi-bellińskie uganiań się, ani swoich Jagiellonów na jego książątka. I że w Polsce nie znalazłbym takiego adwokata, jak ten napotkany w Campobasso, który zastanawiał się, że jego rolnicza prowincja Molise mogłaby się wyodrębnić i stanowić niezależną jednostkę polityczną pod nadzorem wielkich mocarstw.

Słowa Piłsudskiego o Polsce, skazanej na wielkość, są ciężką prawdą i dlatego pseudo-trzeźwi Polacy, wyciągający z minionej klęski podłutką nauczki, że gwarancją istnienia Polaków jest zatarcie się, zmimikrowanie, doczepienie się do kogoś, do czegoś — są zakłamani. Niech powiedzą, że polskość nie ma się co trzymać, niech się skundlą i idą w diabły. Iluż takich mamy, którzy dzieciom nie dają rozmawiać po polsku. Ale niech nie fałszują prawdy, pouczając, że samobójstwo jest zabiegiem leczniczym, a kula strzelona w serce podziąta jak glukoza przepisana na jego wzmocnienie.

Niech mi to wolno będzie powiedzieć na wstępie tych polskich rozważań, wbrew niechęci papug nie rozróżniających megalomanii od poczucia swojej wartości.

Jeśliśmy sobie tych słów Piłsudskiego nie postawili wyraźnie, nie byłoby tematu do dalszych rozważań. Zaadoptowali-

byśmy piękny slogan o obronie kultury przed bolszewikami, slogan zapewniający spokojne życie, a w przyszłości jakieś doskonałe "Naafi". Zachowalibyśmy twarz ideową, paszport pewny i dostęp do cycka tej kultury — krowienty późnokapitalistycznej.

Ale Polak jest z innej mąki. Nie mówię tego z przechwałką, mówię to — aż żałośnie. Wciąż wzrastała dysproporcja między naszą tradycją historyczną, a naszymi losami, zamożnością, ciężarem gatunkowym wśród narodów; wciąż wzrastała rozpiętość pomiędzy pojęciem jakie Polak ma o sobie, a tym, co ten Polak realnie znaczy. Ta rozpiętość właśnie tak bardzo denerwuje świat od Dostojewskiego po Churchilla.

Hiszpanie schodzący z areny świata, zamknęli swoją wielką spuściznę w zabawnych fochach grandów bezsilnych, ale bezpiecznych za swymi Pirenejami. My, ledwo przecknąwszy się na "ziemi równej, nikomu nie bronnej", musieliśmy iść aż pod Kijów, mieliśmy ciężkie poczucie skazania na wielkość na Międzymorzu, poczucie, któremu nie odpowiadały ani realne siły, ani realne wartości.

To polskie "ani guzika", które dało tyle wynaturzeń, fanfaronady, niezmiernego frazesowiczostwa, naiwność polityczną, arogancję i hochsztaplerkę międzynarodową, równocześnie tkwiło głęboko i karnie w najprzeciętniejszym Polaku i wybuchało w tytuł dramatycznych momentach minionej wojny. Nie jestem bynajmniej zwolennikiem tezy, że żołnierz polski jest najlepszy na świecie. Nie może dać istotnie dobrego żołnierza naród, w którym nie kształcono charakteru. Ale każdy z narodów historycznych, a więc i my, ma dobrego żołnierza (każdy z innych powodów). Najdobitniej nam to zademonstrowali Żydzi. Nie jest tych narodów historycznych dużo. I patrząc na naszych żołnierzy w bitwie, rozumiałem tę więź, która łączy Polaków. Zrozumieli ją ci, co przeszli powstanie.

— Na wojnie operuje się nie tym, czym by się chciało operować, tylko tym, co się ma w rękę zarówno z broni jak z morale — odpowiedział mi jeden z bardzo wysokich dowódców A.K. na moje zarzuty co do wywołania powstania — otrzymaliśmy naród kształcony przez sto pięćdziesiąt lat niepodległościowo, powstanie i romantycznie. Doraźnie taki naród nie mógł być przeedukowany i nie można go było prowadzić wbrew jego duszy, bo nic by z tego nie wyszło.

Jakże więc teraz można temu narodowi wskazać spokojne "trzęcie miejsce" i kazać mu przeczekać w Klubie Obserwatorów.

W początkach 1946, w wagonie restauracyjnym Nizza - Paryż spotkałem przemysłowca belgijskiego, wracającego wraz z rodziną z Jasnego Wybrzeża. Udzielił mi cukru, którego w wagonie jeszcze nie dawali — on już, wraz ze swoim pierścieniem, cygarem i wymuskanymi kobietami był całkiem "po wojnie".

Jechałem z "de profundis" polskich dołów wojskowych, którym nie pozwalano wracać do Polski i z różowej mgiełki pol-

skiej wojskowej góry, która obiecywała wojnę na najbliższe-go września. A tu dyrektor kasyna w Monte Carlo, oprowadzając mnie po salach gry, zacierał ręce, że sezon się ożywia i na przyszyły rok Monte Carlo wróci całkowicie do przedwojennej formy, całe wybrzeże pucowało się i inwestowało, plakaty bolszewickie nawet wzywały rentierów i ciułaczy, aby głosowali na partię komunistyczną, bo ta jedynie będzie bronić ich interesów. Polak wyrzucony w to inne ciśnienie, łapał z trudem powietrze i wypytywał każdego, jak teraz ja tego przemysłowca:

— Jakie są u was nastroje?

— O, wszystko idzie dobrze; właśnie dowiaduję się, że już piwo pozwolono wzmocnić o dwa stopnie.

A przecież Eurazja podtoczyła się niemal pod próg jego kraju.

— Nie obawiacie się wojny?

Wytrzeszczył na mnie oczy:

— A cóż my mamy do tego jako mały naród? O to niech gło-wa boli wielkie państwa.

Któryż by Polak tak odpowiedział?

Pomyślałem wówczas o posiedzeniach "Międzymorza", na których bywałem przed tym wyjazdem do Francji. Gdzie ludzie krajów stokroć bezsilniejszych, niż Belgia, wtrąceni do ciemnicy, niewidzącymi rękami wykonywali jakieś koordynacyjne ruchy. Gdy jednak padało słowo "Wilno" lub "Lwów", obolali i skłonni do zgody nędzarze stawali się wojowniczy. Przypomniałem z Flawiusza, jak zakładnicy żydowski, wtrąceni do lochu po upadku Jerozolimy z płonącymi oczami kontynuowali spory talmudyczne, poczęte w kraju.

Powołując przykład żydowski tym ostrzej widzimy w duszach naszych rozpięcie między wielkością, a śmiesznością, które nam daje tyle poniżeń u obcych i tyle ofiar z nas samych.

Żydzi, którzy przez dwa tysiące lat, zdawałoby się, stanowili jedynie zbiorowość wyznaniową, których świat nie uznawał za naród, tylko za kastę, są, na skutek wszczepionej wiary w *Ata Bacharlanu* (wybraństwo i posłannictwo) wspólnej, zarówno wierzącym jak niewierzącym — narodem historycznym. Królewskie sny osadzone na nędzarskiej rzeczywistości sprawiły, że gdy goje z pogardą traktowali Żyda, ten Żyd miał nie-skończone poczucie wyższości wobec goja.

Coś podobnego było, kiedy oficerowie amerykańscy mówili "warto posłać jakiego Polaka po dziewczynkę" i kiedy ten Polak, jeszcze przed rokiem gotów na każdą ofiarę, "organizując" zamówienie, spoglądał z uczuciem wyższości na bogatych barbarzyńców.

Jak Żyd jest przykładem narodu historycznego, doprowadzonego do stadium patologicznego, tak przykładem doprowadzonego do stanu patologicznego pryncypu wybraństwa był obchód P e s s a c h, który widziałem u sekty Samarytanów. Jest to jedyna sekta, która zachowała żywą ofiarę. Było ich wówczas



320 na całym świecie i wierzyli, że oni są narodem wybranym, któremu Mesjasz da panowanie nad światem.

Kiedy noże zabłyśły nad siedmiu wybranymi jagniętami i kiedy pożywaliliśmy ich mięso ofiarne z gorzkim zielem pod rozgwieżdżonym niebem (lud ten na dziesięć dni Pessach emigruje pod namioty na górę G e r i z i m — Przekleństwa, z której ongi miotaly plemiona przekleństwa na rozkaz Jozuego) — jakże daleko byliśmy od trzeźwej radości z powodu dwu stopni więcej w piwie, którą Bóg pozwolił się zadawałać narodom niehistorycznym i niecierpiącym.

Czy jednak takie niehistoryczne narody odbudowałyby Jerozolimę?

Czy zdolne by były trwać na "ziemi nikomu niebronnej", gdzie "jeno gardła a piersi nasze municją naszą"?

Należy więc liczyć się z "historycznym" Polakiem takim, jakim jest: czy tam w A. K., czy tu — na emigracji.

Myślę o tyłu chłopcach prawych jak złoto: z powstania, z A. K., z Brygady Świętokrzyskiej, z Hubalczyków, z września, z przekraczanych granic, z bitew i patroli. Jestem blisko z wieloma z nich. I kiedy przyjdzie do nich agent i da środki pomsty w rękę i przyjdą do mnie, cóż im powiem? Czy może tu, co mnie powiedział wielki Polak, Dmowski, kiedy go podczas tamtej wojny pytałem, cóż więc ma robić młody człowiek, skoro mu się zabrania iść do legionów. Dmowski odpowiedział: "Czekać. A jeśli kogo dręczy bezczynność w tej wojnie — iść na pomocnika do szpitala".

Wyobrażam sobie np. wachmistrza Romana z "Hubalczyków" chłopca z pięścią mogącą zabić byka, pochodzącego ze szlachty, osadzonej przez W. Ks. Witolda na brodzie tatarskim na Berezynie w późniejszym powiecie wołyńskim, wyhodowanego na "Trylogii", towarzysza Hubala do jego śmierci, wywiadowcę A. K. na przednich liniach niemieckich w głębi Rosji, więźnia Oświęcimia, któremu wymordowano rodzinę i najbliższych kolegów — jeśli mu w trzeciej wojnie dam taką samą radę, jaką mi Dmowski dawał w pierwszej.

Albo Jurka z A. K., który uczestniczył w zamachu na Kutschere, na sztab Gestapo na Szucha, który zastrzelił na placu Trzech Krzyży pułkownika Gestapo. Teraz nudzi się, wkuwając coś na jakichś jałowych studiach. Kiedy przychodzi do mnie i strzelamy w ogródku z wiatrówkowego pistoletu, kiedy Jurek, mierząc, przyryka oko, jego jasna młodzieńcza twarz ścina się w drapieżny wyraz.

Albo tego młodego podpułkownika, z którym spaliśmy w czasie bitwy w jednym schronie, gdy nagle zjawił się, z uważanych za stracone pozycji, zapędziwszy się ze swymi ludźmi w gąszcz niemieckich bunkrów. Doszedł do stopnia oficerskiego z zawodówki podoficerskiej w Bydgoszczy, trwał w szarym zacukowanym życiu przed wojną, w czasie wojny okrył się nimbem le-

gendy, awansował, dostał dwa Virtuti, żył pełną pierśią w blasku uwielbienia, a teraz zarabia sprzątaniami banku.

Czy i im odważy się dać radę Dmowskiemu?

A przecież nie radził Dmowski głupio, a przecież nie aprobujemy decyzji powstania warszawskiego bez zastrzeżeń, przecież nie chcemy, by pobierający te decyzje mogli się chować za nastroje podwładnych, tak jak ci z 1863 r. za brankę, albo ci z 1831 r. za podchorążych. Kiedyś wreszcie bohaterstwo powinno przestać być krwawą ofiarą odkupienia za brak odwagi cywilnej, męstwo — za brak przemyślenia, improwizacja — za nieprzygotowanie, a ideowość — za "wyszultinkizm".

Jeśli tak, oceniamy przeszłość — to pocujmy się, idąc pod prąd nastrojów, odpowiedzialni za przyszłość, żeby nam nie przyniosła dalszego smutnego plonu niepotrzebnych bohaterstw do dalszych szkolnych wypisów. Musimy występować przeciw ideowej łatwiznie, dającej niepotrzebne straty w czasie wojny i wykołajenie w czasie pokoju, nawet takiego względnie pokoju, jaki przeżywamy.

Ale niech przeciw "ideowej łatwiznie" nie występują kundle z programem... jeszcze łatwiejszego życia. Nie wolno nam nic uronić z historyzmu w duszy polskiej, nie wolno tej duszy zubażać, odbierając jej poczucie imponderabiliów i zdolność do poświęceń.

Przyszedł do mnie na ostatnie pożegnanie kolega z prac jeszcze przedniepodległościowych. Wywiad na tyłach rosyjskich w 1919 r., więzienie bolszewickie, wytrwała i wbrew wszelkim nagonkom praca nad tzw. "Radami Ludowymi" na kresach, usiłującymi wciągnąć w orbitę walki o prawa socjalne biedotę rolną bez różnic narodowości, członek Sejmu Wileńskiego, długoletni działacz wśród Polaków w Niemczech, uczestnik wyprawy do Narwiku. Pisał do mnie przez cały czas wojny listy, w których, wbrew wszystkiemu, starał się wierzyć — do końca. Teraz... przyszedł do mnie żegnać się na zawsze. Historycyzm przepalił mu duszę, jak kiedyś Towiańczykom. Wstępował do kontemplacyjnego zakonu. W oczach jego boleśnie pogięta miedzyepoka, w której majaczyło ukrzyżowane ciało storturowanej ojczyzny nagle nabrała jasnego zrozumiałego wyrazu: Bóg walczy z Szatanem. Nie ma niezaangażowanych w tej kosmicznej walce. Każdy z nas jest uwiązany na niewidzialnej nitce, której drugi koniec znajduje się w ręku Bożym lub szatańskim.

Żegnając się, patrzył na mnie z rozdzierającym smutkiem, nie jak na tego bliskiego człowieka, od którego na całą doczesność oddali mur kontemplacyjnego klasztoru, ale jak na tego, którego nie zobaczy w wieczności. "Gdybyś był murzynem, urodzonym daleko od źródeł prawdy, może znalazłbyś miłosierdzie. Ale tobie była dana w twoim katolickim domu cała prawda..."

I ja żegnałem tego bliskiego dzielnego człowieka, chłonnego na życie, z którym łączyły mnie zainteresowania automobilowe, fotograficzne i wycieczki w odległe kąty świata, — z uczuciem duchowego zmiądzenia. Tragedia życiowa obróci jego żywot

ność, jego zdolności organizacyjne, jego zdolność poświęcenia — w kontemplację.

Tragedia dziejowa te same wartości innych przemienia w spekulację.

Jak nie dać marnieć temu płomieniowi dusz i jak nim pokierować — celowo?

Należy za wszelką cenę utrzymać historycyzm w duszach emigracji, odczyszczając jego wynaturzenia.

### KRÓLEWIĘTA

Wynaturzenia emigracji, niezależnie od przyczyn koniunkturalnych, biorą również początek w charakterze narodowym.

Kultura poszlachecka, oparta na przywilejach, produkuje człowieka, który nie wierzy własnym siłom. Stąd — oglądanie się na angielski skarb państwa, obozy, kombatanów, stąd przestrost organizacji, stąd potrzeba możliwie niekosztownego szymmla ideologicznego, który by uprawniał do pozostawiania w społeczności emigranckiej choćby w rapciach ze sznurka i w łapciach, ale z prawem do kreski wyborczej, do beneficjów, choćby skromnych, które ktoś gdzieś kiedyś dać "musi", bo przecie ten ktoś gdzieś nie może zezwolić żebyśmy zginęli.

Polak — nie chce się poczuć sam. Raźniej mu czuć za plecami magnackie królewęża, których klamki można się uchwycić. Czy te królewęża, to rząd, który ma jakieś resztki w kasie, czy — ditto — jakiś generał, czy — ditto — jakaś partia, instytut, instytucja, drukarnia, kombatananci.

Stąd rozrost aparatury wydawniczej, kolporterskie, księgarskie jak chmury dworaków różnych królewężek, stąd dwa dzienniki jednokierunkowe w Londynie, utrzymywane aż do ostatnich możliwości jednego z nich, stąd trzy konkurujące ze sobą instytucje kolporterskie, wszystkie powołane za ten sam grosz publiczny, stąd przedziwne dzieje kolejnego kupowania i marnowania drukarń za ten sam grosz publiczny bezprawnie przyaresztowany w kasetkach różnych królewęż, stąd wymierzenie każdej z tych instytucji, tylko tyłu pieniędzy, aby się utrzymało szczupłe grono z ich żonami i nie-żonami.

Stąd główne zagadnienie: "etat", a nie: "człowiek". Człowiek wydaje się tani, bardzo tani, gdy żłobek najmarniejszy drogi, bardzo drogi. Kiedy konfiskowano "Kulturę" i podcinało jej istnienie, na moją uwagę, że nie możemy pozwolić na zamknięcie jedyne go pisma mającego ambicje rozpoznawcze, jeden z dygnitarzy z rozbrajającą naiwnością powiedział:

— Owszem, "Kulturę" należy zostawić, tylko dać ją innemu człowiekowi do prowadzenia.

Przypomniało mi się, jak w czasie tamtej wojny, jedno z pism polskich w Ameryce, przedrukowywujące ciąg za ciągiem powieść Sieroszewskiego, ukazującą się w "Tygodniku Ilustrowanym", zostało bez dalszego ciągu. "Owszem, należy ten odcinek zostawić" — zdecydował podobno wydawca — "tyl-

ko dać go innemu człowiekowi do kontynuowania".

Naturalnie, że przy takim nastawieniu, tych żłobków przeważnie nie prowadzą indywidualności, a często też nie prowadzą ich ludzie pierwszej klasy moralnej.

.....  
 .....  
 ..... \*)

Daję przykłady ze swego odcinka, na którym mógłbym je mnożyć wielokrotnie, jak wielokrotnie mnożyć by je mogli inni — każdy opowiadając o swoim odcinku. Podobno po dworach ministerialnych z opancerzonymi funduszami, partyjnych z przyaresztowanym groszem publicznym działały się stokroć bardziej gorszące rzeczy.

Ale przecie nie o to mi idzie, żeby pisać oskarżycielskie akty. Można by przejść koło złodziejaszek, kombinatorów i synekurów wżruszywszy ramionami: czy to, na prawdę, coś tak niezwykłego, że w chwili rozgromu słabsze charaktery ratują się jak mogą?

Toteż, jeśli piszę o sztabach królewęż,\*\*) to tylko żeby i z tej strony unaocznic jak i od nich idzie fala ubezmysłniania, "ubierniania" emigracji.

Otacza te sztaby szerokie koło emigrantów, którzy muszą jakoś żyć — nie tylko materialnie, ale i ideowo. A te rzeczy nie są tak łatwe do rozdzielenia. Jeśli kto redaguje pismo, które bez subwencji się nie utrzyma, jeśli kieruje organizacją, instytutem, zakładem, to trzykroć się zastanowi, zanim coś takiego wydrukuje, powie, podpisze, ogłosi, zanim w jakiejkolwiek sprawie zajmie stanowisko, które się nie podoba jego subsydiodawcom. A subsydiodawcy to nie tylko kombinatorzy. Często — wiszfulinkiści, którzy nie mogąc sobie poradzić z zagadnieniami międzyepoki, postępują jak zmęczona matka, która woli byle czym zamknąć dziecku gębę, niż odpowiedzieć na krępujące pytania. Góra polska — zmęczona a będąca, jak cała ludzkość, w ciemności — woli dołom wisnąć lalkę z jaskrawych łatwo ześcibanych optymistyczną nitką gałganów, byle oczyścić swoje sumienie, że przecie dało się jakąś treść duchową. Dół polski

\*) Autor w tym miejscu przytacza szereg konkretnych przykładów nadużyć.

\*\*) Chciałbym wyraźnie odciąć się od przypuszczeń, że atakuję w tym ustępie czy w innych gen. Andersa, człowieka, którego zasługi bojowe są powszechnie znane, za to może niedosyć uświadomiana jest rola, jaką odegrał jego wola przy wyprowadzeniu Polaków z Rosji. Jestem szczęśliwy, że mogłem widzieć wojnę pod tym świetnym dowódcą. Nie wiem w jakim stopniu przedstawia materiał na męża stanu. Umysłowość wojskowa jest po temu zwykle złym przygotowaniem, ale historia daje liczne wyjątki. Wiem jedno, że spotkał go los każdego autorytetu na emigracji: prób tworzenia koło niego własnego podwórka. Kiedy jednak uderzył szkodnika po łapie, szkodnik chowa się pod nogi protektora, wznosząc jęgot straszliwy, identyfikując się z protektorem i insynuując, że zasłania go własnym ciałem, podczas kiedy w rzeczywistości jest odwrotnie: protektorowi może nie nastarczyć autorytetu na zasłanianie głupstw podwładnych.

— zmęczony, pokancerowany, zawiedziony — z ulgą się dowiadamuje, że byle udać, że się tą lalką, tym truchłem ideowym interesuje, to już nie będzie wyklęty, to już będzie wisieć przy jakiejś imaginatywnej ideologicznej kłamce.

### *Orgia fikcji w cieniu lipy ideologicznej*

Przy tej wątłej postawie duchowej jesteśmy jak słabowity chłopaczek, którego fantazję opychają nic nie kosztującymi cpowiadaniem o czerwonoskórych. Cwałuje w marzeniach na dzikim mustangu w pogoni za Komanczami, potępia bolszewików, rządy reżimowe w Polsce, jest wyzywający w stosunku do tych wszystkich przeciwników, którzy go nie osiągną.

Stronnictwa ogłaszają nieugięte uchwały, związki drukują krwiożercze odezwy, księża płynnie mówią patriotyczne kazania, poeci cwałują „ostrząc w zanadrzu miecz Wallenroda”, publicyści wysilają się na maksimum sarkazmu, Nike im ciągle polatuje nad pobjowiskiem, a wróble w głowie.

Ale niech by przyszło psa przepędzić z drogi, to pogromca Komanczów woli udawać, że go nie widzi.

Czyż nie takim jest np. postępowanie Zw. Pisarzy (ja cytuję ze swego odcinka, czytelnicy niech docytują ze swoich), który nie protestuje na trwonięnie grosza publicznego przez zakładanie równorzędnych wydawnictw, drukarni, instytucji kolportażowych, nie protestuje przeciw konfiskatom przez Polaków polskich wydawnictw ideowych, ale za to jest bardzo śmiały w ściąganiu w marzeniach Komanczów, choćby przez zaskoczenie Bogu Ducha winnych uczestników zgromadzenia uchwałą nie pisania do kraju, której, jako patriotycznej, nie wypadało nie podpisywać.

Uchwała, dostatecznie skompromitowana, żeby się nad nią rozpisywać (Zarząd był zmuszony oświadczyć, że nie obowiązują one członków Zw. Pisarzy), przypomina uchwałę starych pańien, które przysięgły nie wychodzić za mąż, nim ojczyzna nie uzyska wolności i chodzą w nimbie poświęcenia. Mówię to nie dlatego, żeby w Związku nie było utalentowanych pisarzy, aczkolwiek ani tamtoczesny jego prezes, ani wiceprezes, ani sekretarz nie skalali się, mimo pięknego przedwrześniowego wieku, żadną książką, ale dlatego, że było jasne, że i tak możliwość pisania do kraju zostanie ucięta i że należało przeprowadzić proces zdzierający maskę z reżimu, który za wszelką cenę chciał udawać liberalizm i demokrację. A tymczasem, póki się da — pisać do braci, których twarze się nam zamglają, pisać póki się da...

Piszący te słowa na swoim odcinku przeprowadził taki proces: pisał w pismach krajowych o rocznicy Monte Cassino, o kapelanach wojskowych, o obronie Westerplatte, o wrześniu i o Hubalczykach, o kresach, o polskiej z ducha szkole, o Polsce, jaka mi w pamięci została, pisałem do ostatniego tchu, póki się dało, aż doczekałem się okólnika zabraniającego nie

tylko moje rzeczy drukować, ale i „przedrukowywać, chociażby bezpłatnie”, doczekałem się drugiego zarządzenia zabraniającego recenzji o moich książkach, choćby to była ... książka o sionizmie, doczekałem się trzeciego, kasującego ulicę mego imienia, doczekałem się zakazu drukowania już złożonego i przełamanego studium o mnie i smakowitej wiązki obelżywych wzmianek i artykułów. Mogę więc powiedzieć: chciałem pisać do kraju, robiłem wszelkie wysiłki, ale uniemożliwił to reżim, a nie własna polska uchwała.

Ale proces pojedynczego pisarza z reżimem nie ma większego znaczenia. Zawsze można wytłumaczyć, że dany autor gdzieś komuś ukradł jakiś zegarek i że dlatego tępi się go indywidualnie. Jeśli się jednak nie będzie drukować książek emigracyjnych pisarzy w ogóle, trzeba się przynajmniej do zakazu w czambuł. Taki zakaz nastąpił, ale z tej strony, co z tamtej strony prasa reżimowa skrapliwie pokwitowała. Związek pisarzy w Polsce, w odpowiedzi uchwalił nie wydawanie pisarzy emigracyjnych. Wspomniałem widowisko robione polskimi rękami.

Zanim przyjechałem do Londynu i zobaczyłem rodzime polowanie na Komanczów, dane mi było zaobserwować to polowanie u obcych. W Rzymie, przed wyjazdem, wziąłem na film z życia emigracji rosyjskiej — właśnie rosyjskiego emigranta. Był wielce pomocnym c i c e r o n e, wstawiając fachowe komentarze: *Tiepier napjutsia* („teraz się schłaja”), *widno po mordie dał’ pridiotsia* („Widać, że trzeba będzie uskutecznić mordobicie”).

Pierwsza część — to obraz świetności dworu carskiego. W polskim filmie reżyser miałby paletę mniej barwną: minister przecina wstęgę na mostku przez Wkrę; ministra wita na dworcu w Tomaszowie Mazowieckim komenda „Strzelca” w mundurach; ministra wita w gmachu starostwa miejscowe Koło Ligi Morskiej i Kolonialnej w marynarskich mundurach (twarze te same); ministrowi są przedstawiani urzędnicy starostwa (twarze te same); minister z salonki żegna przedstawicieli miejscowego społeczeństwa w czarnych marynarkach i spodniach w paski (twarze te same).

Druga część filmu, to wnętrze nocnego lokalu „Bałajka” w Paryżu, którego właścicielem jest b. ordynans b. Wielkiego Księcia. Sam WKsiążką jest żygolakiem w lokalu, generał-gubernator szatniarzem, księżna kwiarcarką.

Człowiek by wolał nasze polskie, uczciwsze i produktywniejsze, tapicerskie i zegarmistrzowskie farchy, ale każda praca jest pracą: ze współczuciem się patrzy na starego generał-gubernatora biorącego napiwki.

Kiedy jednak rozjeżdżają się ostatni goście — „Bałajka” wyprawia doroczny bal — jest to rocznica *Tiezo-Imianin Jewo Impieratorskawa Wieliczestwa* — ichni Trzeci Maj.

Na szerokiej amfiladzie schodów ukazuje się w mundurze przy pełnych orderach gen-gubernator, za nim żygolak jako

pułkownik Lejb-Gwardii, kwiaciarka w balowej sukni ze wstęgą św. Anny przez ramię, a właściciel lokalu, który funduje imprezę, zamieniwszy smoking na przynależny sobie mundur szeregowego z namaszczeniem odbiera palta i przyjmuje od swego szatniarza napiwek.

Zapytałem po przedstawieniu Rosjanina, jak wyewoluował ten świat fikcji. Okazało się, że dwumilionowa emigracja nie wytworzyła pospólnych wartości. On, na przykład, mieszka z dwoma innymi utytułowanymi, wszyscy szoferują. Każdy swój dzień powszedni traktują „na niby”, co jak przemijającą maskaradę. Tak już zaczynają drugie ćwierćwiecze swojej emigracji.

— A jak spędzacie czas w niedzielę?

— Cóż, w niedzielę popijemy sobie. Nasi starszakiowie, to w wolny czas sobie popolitykują (p o l i t i k u r a z w o d i a t).

— Na jaki temat?

— Mało jest tematów? Szereg lat kłócili się o legalizm: kto ma prawa pierwszeństwa do tronu. A ot, ostatnio, był sąd popularny, złożony z najwyższych dostojenstwem. Umarł gubernator kijowski, a było obyczajem, że generał-gubernatorstwo kijowskie zawsze otrzymywał albo gubernator charkowski albo podolski. Ponieważ zdarzyło się, że obaj ostatni gubernatorzy tych gubernij jeszcze żyli, więc wybuchł spór.

Kiedy jechałem do Londynu, zapytywałem siebie, jak też wyglądać będzie wnętrze polskiej emigracyjnej „Bałajki” w dzień świąteczny i pozatapicerski. Byłem na herbacie u chargé d'affaires Rosji przy rządzie angielskim z tamtej wojny. Miałem wrażenie, że zwiedzam grobowiec Tutankamena: już w hallu stał olbrzymi sztandar carski, zwisła dwugłowa orły, ściany od sufitu po podłogę uwieszono były carami, Wielkimi Książkami, Wielkimi Księżnymi. Pijąc herbatę bardzośmy się oburzali na obecnego pretendenta do tronu za jego mariaż z wdową po milionerze amerykańskim.

— Ale ta wdowa urodziła się w Rosji jako księżniczka rosyjska. I pochodzenie więc jest przyzwoite i dolary... jeszcze przyzwoitsze.

Bardzo miła nobliwa starsza pani podniosła rasową głowę i spojrzała na mnie ze zdumieniem:

— *Pomitułtie, kakże my budiem przedstawlatsia pri dworcie... kakoj to amerikansze.* (Jakżeż, na Boga, będziemy się prezentowały na dworze.. jakiejś Amerykance).

Kiedy wychodziłem z grobowca, rozumiałem, że to już emigracja z patyną, że u nas jeszcze wszystko jest płynne, ale czy i o ile w innym stylu będzie tężeć?

Kiedy nasz „konspiracyjny rząd” w liczbie szesnastu mieli bolszewicy postawić przed sądem pokazowym, przypuszczałem, że sąd ostatecznie się nie odbędzie, bo tym razem bolszewicy trafią na ludzi zachodnich, którzy nie dadzą się do kajania spreparować. Okazało się, że zrobili co chcieli — bez żadnych

tortur i zastrzyków. Jest na emigracji min. Stypułkowski, jeden z tych szesnastu. Jeśli zaprzeczy, chętnie uzasadnię swoje twierdzenie.

Po doświadczeniach więc takich jak ten proces miałem już mniej złudzeń. Wszelakoż ciekaw byłem jak się odbywają polskie zabawy w walkę z czerwonoskórymi.

Jak zwykle, w pierwsze dni witano mię serdecznie — powitaniami z mównic na odczytach, tuszami w teatrzykach.

*May I have personal word?* — jak mówi w środku audycji Gabriel Heatter, załatwiają swoje sprawy — mam smutne doświadczenie tych powitań: że mogę rozprężyć się i chodzić w świetle przyjaźni ludzkiej nie dłużej, niż tydzień. Po tamtej wojnie, w pierwszy dzień mego przyjazdu do Warszawy, rzucili się z radosnym powitaniem endecy i Piłsudczycy. Dałem endekom artykuł o Piłsudczykach, Piłsudczykom o endekach i ci i tamci wydrukowali, i ci i tamci potem doszli do zgodnego wniosku — «świnia» i cały honorywek się skończył. Po powrocie z Meksyku artykuły: prokatolickie drukowałem w «Kurierze Warszawskim» i antyklerykalne w «Epoce». I znowu — świnia (potem i te i tamte ukazały się w jednej książce). **Thank you.**

Zadebiutowawszy w Londynie felietonem o przyjeździe do Londynu z pijanym i kradnącym transportem wojskowym, skwapliwie cytowanym przez pismemko ambasady warszawskiej, wiedziałem, że już maluczko, maluczko po tych powitaniach poczną chodzić po Picadilli za świnie (i rzeczywiście...), śpieszyłem więc coś niecoś wyrozumieć o tych tu ludziach, wiedząc z doświadczenia, że czego się w pierwszym tygodniu życzliwości nie da wykorzystać, to już się potem zamknie.

Naprzód zrobiłem ankietę wśród pisarzy. Jeden z nich, notowany, i słusznie, na giełdzie literackim w Polsce wysoko, czytał mi fragmenty przygotowywanej przez siebie książki, które wydały mi się stokrotnie słabsze, niż to co dawniej pisał.

— Czy pan będzie to drukował po polsku?

Zrobił pogardliwy gest:

— Ach... Może... Naturalnie... po tym jak wyjdzie w innych językach: panie, przekona się pan, świat zadrzy...

Drugi, którego książki miały dużą poczytność w Polsce przed wojną, oświadczył mi, że za pięć lat będzie miał wille w Amazonce, a za siedem lat — nagrodę Nobla.

— Jakoś ten londyński świat stwarza na mnie wrażenie, jakby ludzie mieli dywagację błędniaka — zwierzyłem się starymu londyńczykowi — od dzieł jednego świat zadrzy, na drugiego tylko czeka Nobel...

— A trzeci mówi, że jego żona, literatka, tylko dlatego nie dostała Nobla, że on jako działacz nastawiony jest antyrosyjsko. Ale co tam pisarze — to lud wrażliwy, łatwo brodzący w fikcjach. Ot, zobacz pan naszych polityków.

Otóż miałem sposobność, w te pierwsze szczęśliwe dni powitań być zaproszonym na parę konwentykli o szerokim wachlarzu ludzi. Siedziałem, odrętwiały, aż do ostatniego undergroundu, kibicując przez 4 — 5 godzin niezrozumiałej partii jakiegoś politykierskiego mah-jonga:

Po głębszym sondowaniu okazało się, że prawica P.P.S. gotowa byłaby przyjąć w zasadzie postulaty sformułowane przez lewicę Kuncewicza, pod warunkiem, że się przewentyluje...

— A ilu ludzi liczy prawica P.P.S.? — pytam szeptem sąsiada.

Wymienił mi z namaszczeniem trzech ludzi.

— A lewica Kuncewicza?

— Trzyma się tylko na legendzie...

— Ale ktoś w niej jest, duchy nie redagują postulatów.

— Pewno ktoś jest i redaguje — zgodził się z logicznym wywodem sąsiad.

W tej chwili wszedł nowy uczestnik. Odstawił pękata tękę i przyjmując filiżankę herbaty z rąk gospodarza, odgarnął spoczone włosy z gestem zmęczenia:

— Nie uwierzaj mi panowie, to moje szóste posiedzenie dzisiaj.

— Ale też, jeśli da się sklecić porozumienie, będzie to pana historyczną zasługą, więc jakież ostatnie wiadomości?

— *Zachodzą nowe trudności ze strony Stronnictwa Demokratycznego, które przy ustalaniu wytycznych dla swego reprezentanta, przy ustalaniu platformy porozumienia, rozbiło się na dwa obozy — Iksa i Ygreka, przy czym zważywszy precedensy, związane ze smutnej pamięci fiaskiem konferencji porozumiewawczej i koincydencji, które wśród szerokiego ogółu może dotąd wywoływać ta sprawa, należałoby raczej postuluować umiarkowane poparcie Ygreka, z zachowaniem wolnej ręki i nie wchodzeniem w kompromisy, ale to naturalnie tylko o tyle, o ile zgodzi się na poprawkę c w punkcie piątym, zgłoszoną przez paryską odłam Stronnictwa Pracy.*

— W imię mego stronnictwa muszę oświadczyć — zabrzmiał nacechowany siłą i stanowczością nieugiętą głos z kanapy — że jeśli sprawy zostaną skierowane tym kanałem, będziemy musieli z żalem stwierdzić, że nie widzimy dla siebie żadnej możliwości brania udziału w dalszych pracach porozumiewawczych i będziemy musieli odwołać się w sprawie dalszej taktyki do naszych mocodawców w kraju.

Znowu złowrogą cień rozbicia zmroził zebranych. Do przedstawiciela, który wygłosił ultimatum, a teraz ciągnął z tacy największą kanapkę z miną w dalszym ciągu Mucjo-Scewolską i nieugiętą, skierował gospodarz głos nacechowany powagą.

— Ja wiem, jak stronnictwo pana w tym punkcie zawsze zaznaczało swoją nieugiętą postawę. Nie traćmy jednak nadziei — zatrzepotał w kierunku przybyłego działacza — że opinia wyrażona przez pana prezesa da się może, bez ujmowania znaczenia jej zasadniczej treści, tak się oszlifować, a raczej przekonstrować, rozumiecie panowie, po prostu przez zmianę układu szyku słów, że przy pewnej dobrej woli ze strony panów, za którą przemawia powaga chwili, będą panowie uważali za zgodne ze swoim sumieniem wziąć na siebie ciężar odpowiedzialności bez odwoływania się do swoich mandatarjuszy. Panowie pozwolą, że na chwilę usuniemy się do sąsiedniego pokoju z obu panami i przekonferujemy.

— O, z redaktora jest mistrz sztuki kompromisu — powiedział z zachwytem mój sąsiad; zobaczy pan, już oni tam coś wysmażą; czasem zdawałoby się, że już tak sytuacja wisi na włosku...

— A ilu członków liczy Stronnictwo Demokratyczne?

— Pięciu — wymienił nazwiska. — Po rozłamie pan X i pani Y wystąpili, a trzech panowie pozostali stanowią stare stronnictwo.

— Tak, tych jest mniej — rozważam — ale jest kobieta, to przynajmniej będą się mogli rozmnażać.

Tymczasem z sąsiedniego pokoju ukazał się promieniejący gospodarz i obaj pozostali panowie — jeden z krnąbrną, a drugi z melancholijną miną.

— Obaj panowie zgodzili się moje sugestie poddać pod rozważania swoich Komitetów Wykonawczych. Zaklinam tylko panów, żeby to było prędko. Wszak za trzynaście dni będzie rocznica kryzysu. Proponuję zebrać się...

Zaszeleściły kartki terminarzy. Jak wyranżerowane kokietki przechwalają się sukniami wyciąganymi z naftaliny, samooszukując się, że mogą stwarzać sensacje dnia, podczas kiedy zdrowym normalnym mężczyznom jest najzupełniej wszystko jedno co te czupiradła na siebie upstrzą, tak ci panowie profesorowie, redaktorzy, prezesi, radcy — dalibóg śmietanka, dalibóg to, co mieliśmy najlepszego (jak przecież dobrymi pisarzami byli i ci bzdurzący o Noblach i Amazonce), — poczęli mruczendo przebiegać nieskończone ławice poterminowanych posiedzeniami dni, wzajemnie błagając, żeby przystali by coś odwołać, dali się gdzie zastąpić, bożąc się, że to niemożliwe.

Gospodarz znowuż przeszedł sam siebie. Wyeliminował trudności po kolei. Zostało dwóch nieustępliwych tytanów, z których jeden mógł tylko w piątek za tydzień, a drugi tylko w środę za dwa tygodnie. Ci dwaj nazajutrz mieli się porozumieć z gospodarzem telefonicznie, decyzja jednego bowiem mogłaby ulec zmianie po otrzymaniu wiadomości z Paryża, na które jutro czeka, a drugiego, o ile zajdzie pewien fakt, co do którego prosił, byśmy nie nalegali na bliższe szczegóły, chodzi bowiem o dyskrecję wobec pewnej grupy ludzi, która na razie itd.

◆  
Z początku podejrzewałem tych ludzi, że się tak wyżywają umownie. Ostatecznie gra w szachy jest też grą umowną, a przecież ciekawą i nikt jej nie potępia. Zakładamy, że wieża ma zasięg taki a taki, a laufer inny, wysilamy się na szereg kombinacji odciążających głowę od trosk codziennych. Potem pakujemy pionki do jednego pudełka i nie powstało nam w głowie, że od tego czy tak postawiliśmy wieżę czy inaczej, zmieni się coś w życiu. Wieczór galowy w "Bałałajce" był taką partią szachów.

Ale z przerażeniem coraz dobitniej konstatowałem, że ten polski mah-jong nie jest grany "na niby", że uczestnicy uważa-

li, że po to zostali na emigracji, że ten mah-jong jest ... ich misją.

Z przerażeniem też skonstatowałem, że rząd i n c o r p o r e i mah-jongiści wszyscy razem wzięci w kupę, którzy zostali by "zaświadczać", "nie dać się zabić" itp — nie wydawali nawet najmniejszego biuletynu choćby na powielaczu w języku angielskim. Wszedłszy do lokalnego koła Tow. Katolickiego Polsko-Angielskiego, zobaczyłem, że ciężar roboty dźwiga parę Angielek przy daleko posuniętej polskiej abstynencji.

Mah-jongiści ... wydawali kilkadziesiąt polskich pism i komunikatów za te same biedne pieniądze z jednego źródła, usilnie przekonywali sami siebie i grali w mah-jonga, grali w mah-jonga...

Te pisma polskie jednak, poza wspominkami, należało wypełniać jakąś treścią. Wszelkie fikcje lubią mieć akcesoria. Chłopcy polujący na Komanczów noszą indyjskie pióropusze. Emigranci — w dziewięciu dziesiątych ludzie, którzy albo nie mogli, albo nie śmieli wracać, albo sądzili, że tu będą mieli lżejszy chleb — na gwałt musieli sobie posprawić takie pióropusze. Znane to zjawisko, że brzydka kobieta, której nikt nie chce, tłumaczy, że bez miłości nie chciałaby wyjść za mąż, grafoman — że nie może znaleźć wydawcy, bo za nic nie obniży poziomu, zły urzędnik — że nie awansuje, bo nie jest wazelinierzem, zły doktor — że nie uprawia blagi, a zły kupiec — bo za nic nie będzie paskarzem.

Dlaczegożby więc pułkownik, urzędnik, którzy nie przydatnego na tę sytuację nie umieją, prokurator, policjant, dwójkarz, pisarz, którzy wracać nie mogą, pan Iks, który wracać nie chce, bo ma tu inną kobietę, pan Irek, który był już na Kolumbie i obawia się powtórki, robotnik, który znalazł znośny zarobek, dlaczegożby oni wszyscy nie mieli sobie też stworzyć ideowego uzasadnienia, że pozostają na emigracji, aby "trwać na posterunku", "zaświadczać swoim istnieniem", "stanowić żywy protest", "nie dać zabić się sumieniu świata".

Życie w cieniu ideologicznym jest przyjemniejsze, człowiek sam sobie wydaje się lepszy, a przy tym rachunek jest prosty: skoro już się pozostaje na miejscu, to przybicie sztyldzika ideologicznego nic nie kosztuje, a że ojczyzna na tym dodatkowo zarobi — to tym lepiej.

Przybijające sztyldów, umieściwszy je nad każdym ideowym opłotkiem, pytają:

— Ludzie drodzy, a gdybyśmy tak jeszcze co pożytecznego dla ojczyzny miłej wymyślili, co nie pociągnie waszego kosztu?

Myślicie, że pytani im odburkną: "Jak bez kosztu, to niech tam".

Bynajmniej. Pytani są chłopaki szemrane, zgrane w emigranckiej szopce. Więc odpowiadają:

— Dla ojczyzny — wszystko... Po to tu jesteśmy, żeby istnieniem swoim itd.

Wtedy — zaczyna się druga lipa — lipa nieugiętości i nieulekłości wobec wszystkich mocy, które... nie mogą szkodzić.

## J A S K R A W E Ś W I A T Ł O

### Arogancja wobec Anglików

Naprzód — Anglia. Okazało się — można psioczyć.

— W czasie wojny Abisyńskiej — opowiadali bywalcy — widzieliśmy w Hyde Parku Abisyńczyka, który na zakończenie swego przemówienia publicznie podtarł się sztandarem angielskim.

— I co? — pytali działacze z Odrzywołka, którym nie wolno było skrytykować nawet starosty (Paragraf 154 Kodeksu Karnego, art. 3. Statutu o Trybunale Administracyjnym, punkt o swobodnym uznaniu w pragmatyce służbowej, uprawnienia Prezesa Rady Ministrów w sprawie Berez, etc., etc.).

— I nic...

Oszaleli ze szczęścia — próbowali. Szło jak po maśle. Popularność u czytelników rosła. Ja sam w pierwszych tygodniach po przyjeździe wyglądałem się z artykułem w "Wiadomościach" pt.: „*Chuck'im out, the brute*". Potem, zaproszony na konferencję w sprawie opornych do *Foreign Office* tłumaczyłem ich nastroje przekonaniem, że Anglia wpierniż zdradziła Polskę, a teraz zdradza jej żołnierzy, deportując opornych do Niemiec. Zostałem na to — poczęstowany papierosem. Po ukazaniu się I tomu pamiętników Churchilla, sądziłem że, wobec paraliżu wszelkiej propagandy zewnętrznej przez absorbującego mah-jonga, dobrze będzie, jeśli będziemy reagować masowo na różne nieprzyzwoitości na własną rękę i, posyłając Churchillowi moją "Golgotha Road", załączyłem list:

Sir,

*It is very easy to insult Poles nowadays.*

*But I think, you are the last man to do that distasteful task after so cheerfully causing the bloody Polish effort and accepting to lightheartedly the agreements of Teheran and Jalta.*

*Let me send you in sad homage my booklet*

*Yours sincerely.*

Na co w imieniu p. Churchilla Honorable Secretary, p. Odd powiadomił mi, że p. Churchill kazał mi za książkę, opisującą cierpienia Polaków, spowodowane niedotrzymaniem umów przez alianców — najserdeczniej podziękować.

Poczułem się jak wtedy, kiedy mię w *Foreign Office* — poczęstowano papierosem.

Podczas, kiedy na Anglików nasze jeremiady wiele nie działały (są oni bezsilni jak i my w walącej się epoce), w tej wielotyłowej polskiej samoprzekonywującej się prasie przyczyniły się waleń do wytworzenia specyficznego ghetta. Począyna-

jąc od naszych pań, które się nie mogły nadziwić brudowi Angielek i ich złemu gustowi, poprzez panów, którzy nie mogli się dosyć napomstwiać złej kuchni, aż po publicystów, którzy pouczali nie mających politycznej wyobraźni Anglików jak mają postępować z Rosją (mimo gorliwego czytania prasy polskiej, dotąd nie dowiedziałem się, mimo wszystko — jak?) — wszystko zgodnie zaganiało emigrację do ghetta.

Zdobywszy sobie, po początkowych odmowach, prawo uczestniczenia w trzydniowych weekendach politycznych w specjalnym college w starym zamku Ashridge, gdzie można było słyszeć najteższe głowy Anglii i brać udział w dyskusjach — pragnąłem tam wprowadzić Polaków i napisałem w tej myśli felieton. Od redaktora pisma otrzymałem maszynopis z powrotem wraz z listem:

*Drogi Panie Melchiorze,*

*Jestem tak zavalony materiałem aktualno-politycznym, że obawiam się, że nie zdążyłbym w terminie wydrukować wraz z Drogiem Pana. Myślę, że znajdzie Pan dla nas coś mniej aktualnego.*

— Dlaczego pan właściwie nie przyjął artykułu? — spytałem przy okazji redaktora.

— Panie, ja tak nie cierpię tych Anglików — odpowiedział redaktor, który redagował pismo skrajnym, osobistym poświęceniem, a więc niewątpliwie leżało mu na sercu jak to pismo urabia umysł.

— Pan przecie powinien przeciwdziałać wytwarzaniu się gheta.

— Każda emigracja wytwarza ghetto.

— A czeska?

Ale tylko gniewnie ruszył ramionami. Czesi — to też tęgie świntuchy, niewarci, by się coś o ich życiu na emigracji prze-wiadywać.

A więc — wszystko, byle nie aktualność... Po tysiąc razy jak kto uciekał we wrześniu, jak siedział w obozie, jak się uczył w szkole, jeszcze jeden przyczynek ppłk. Grom-Blyskawicy: co Marszałek powiedział pułkownikowi Młot-Obuchowi o generale Szybkim-Prędkim, a jak już tego materiału zabraknie — jak żarli, jak się pieniali sto i dwieście lat temu.

Czy ja mam żal do tego redaktora? Całym sercem szanuję jego całościową pasję i pracę. Czy można, w ogóle, mieć do kogokolwiek pretensję w tej zwiariowanej międzyepoce? Czy krytykujący sam potrafiliby coś sensownego zrobić na miejscu krytykowanych? Czy, krytykując, byliśmy w stanie pouczać Trumana, gdy mu się plan Marshalla nie udaje, Anglików, gdy im brak dolarów, Polaków wreszcie, gdy im się nie podoba Anglia, Ameryka, Niemcy, Rosja, rząd warszawski, rząd londyński, lewica demokratów, prawica Stronictwa Pracy i centrum Kuncewicz? A co im ma się podobać?

Pewnego razu jechałem z Tel-Aviv do Jerozolimy wspólną

taksówką. Towarzysze drogi umieli po polsku i cały czas trwała ożywiona rozmowa, w której jeden tylko pasażer nie brał udziału. Po godzinie drogi okazało się, że pochodzi z Polski, ale tyle przecierpiał na uniwersytecie od kolegów, że brzydzi się polską mową.

— Ale po niemiecku, by pan też nie zgodził się mówić? — zapytałem — no, i, rzecz prosta, po angielsku po tych krzywdach mandatowych; i po rosyjsku po pogromach; i po ukraińsku po obecnie trwających rzeziach; i po rumuńsku — po niesłychanych pogromach; właściwie i po francusku po wsadzeniu Żydów do obozów przez rząd Vichy i po węgiersku — ditto. Nawet po żydowsku nie — bo jakże siebie wzajemnie wyklinacie.

Poprawiłem się na siedzeniu z zadowoleniem, że tak odparowałem tę żydowską neurastenię.

A teraz przyszła kryska. I obrażone na cały świat redakcje żądają — mniej aktualnego materiału.

#### *Chamstwo wobec kraju*

Chłopcy więc polujący na Komanczów-Anglików ustroili się w groźny pióropusz z kurzych piór uproszonych u kucharki; uzupełnia go tomahawk z dziaduniowego cybucha — wrzask na "Administrację Warszawską".

Leje się wrzaskliwy potok dowcipów, uragań, natrząsań o nadmiernej ilości cudzysłowów.

"Marszałek" Żymierski "zarządził", aby w ustępach koszarowych wisiał "papier klozetowy".

O ile marszałek istotnie nie jest marszałkiem, to w każdym razie zarządzenie jest zarządzeniem, a papier papierem.

Całe życie w Polsce, jej wysiłki, pracę, przemiany, tak cudzysłowiono czytelnikowi, że biedak stara się wciągnąć powietrze dalekiej ojczyzny cienką rurką korespondencji z krajem. "Wujek Kazio chory..." — o Boże, a więc siedzi w więzieniu. "Ubuś jest dokuczliwy..." — no tak, to o Urzędzie Bezpieczeństwa.

Ale jak wyssać przez te coraz rzadsze ogólniki wiadomości o tym, co się robi z milionami polskich hektarów, motorów i muskułów. Czyż szanująca się prasa nie uważa za poniżej swojej godności umieszczać rzeczowe artykuły o tym, co się dzieje w polskiej "Szkole", w polskiej "reformie rolnej", "odbudowie", w całej wziętej w cudzysłowy "Polsce"? Emigrant kupuje, dławiąc się, piśmanko ambasady, redagowane przez byłego żargonowego publicystę Singera. Emigrant jest jak chłopak umierający z głodu, stojący przed tarasem restauracji, z którego goście dają mu ostrygi; je te ostrygi, dławiąc się z obrzydzenia, bo nie może trafić na uczciwe ręce, które by mu dały kromkę chleba naszego powszedniego.

Jeśli ostrygami są wiadomości o Polsce, pływające między wzmiankami o dobrowolnym połączeniu P.P.S. z P.P.R., o entuzjazmie, normach, wyścigu pracy, to stokroć bardziej ośliz-

głe ostrzygi musimy zjadać w wiadomościach obcudzysławiających Polskę.

A publicyści, którym Nike wciąż polatuje nad pobojuwiskiem, a wróble w głowie, pomachują cudzysławem — tomahawkami w stronę Polski.

Ach, jacyż dzielni!...

Ach, jacyż nieulekli!...

Ach, jacyż nieprzejednani!....

### *Ostracyzm wobec współemigrantów*

Nieulekli wobec Anglików, nieprzejednani wobec reżimu warszawskiego, rozglądają się, kogo by naprawdę, a nie w marzeniach mogli użreć i widzą... Polaków na emigracji.

To mi wyprawa wojenna!...

Jak obyczaj każe, należy się namalować na nią w najjaszawsze kolory. Więc do piór orlich ze zdechłej kury i tomahawka z cybucha przybywa gama malowideł, wyssanych z lakierowanego palca emigracyjnych Pustowójtówien i z lipsztyków nieprzejednanych Emilij Plater.

Teraz już stoją, pomalowani w pasy "Kultury Zachodniej", romby "katolicyzmu", trójkąty "demokratyzmu", kropki "wolności", zygzaki "liberalizmu". Gotowi wznieść straszny bojowy krzyk.

Polacy na emigracji są zależni moralnie i materialnie, nie mają oparcia w zacusławionej Polsce, liżą się z ran i z nie-szczęść, bronią przed niedostatkiem i upokorzeniem, więc sądzicie, o mężni, że kurzy ogon, cybuch i lakier do paznokci na nich wystarczy.

Zreszta tak niewiele przecie od nich wymagacie.

"Łatwiej się znajdzie usprawiedliwienie dla złodzieja, jak dla najuczciwszego człowieka wrogiej idei" — pisze polski bez cudzysławu pisarz Andrzejewski w książce wydanej w kraju.

— Wyroki? Nadużycia? Nieróbstwo? — ale wszak stoi pan na stanowisku niepodległościowym?

Naturalnie, że stoi. Stoi jak cholera. Gra w bridża i zaznacza, że pogardza Bierutem. To się nazywa — "zaznacza stanowisko".

Kiedy tydzień powitalny minął, kiedy tydzień wyczekiwalny przeszedł, odwiedził mnie z obolałą twarzą członek rodu. Pustawo już się poczynało robić, więc ucieszyłem się ludzkiej twarzy.

— Siadaj — powiadam — mam jeszcze jedną whisky z Włoch.

A ten — a to, a owo — a wreszcie: że czy ja wiem, że się ludzie niepokoją, bo "nigdzie nie zaznaczyłem".

— Czego?

— Stanowiska.

— Względem kogo?

— No, względem Rosji i reżimu.

— Puknij się w głowę. Nie początkuję z pisaniem, więc nie widzę potrzeby zajmowania stanowiska, chyba bym je zmienił

Bolszewikiem nigdy nie byłem, kraj mi zrabowali, nie wracam; wydano mi jedną książkę o bolszewickich draństwach w czasie tamtej wojny po angielsku i japońsku, drugą o bolszewickich świństwach w czasie tej wojny po angielsku w Ameryce, po włosku i po francusku. Pracuję dzień i noc nad trzecim tomem o Żydach, kończę dwutomowe "Ziele na Kraterze" — czego się czepiacie?

— Widzisz, nasze sfery polityczne uważają...

— Ja wiem, już mnie częstowano mah-jongiem. Przyjrzałem się już zasadom gry. Wymaga się od mas, niekosztownej zresztą, "karności narodowej", która zapewnia błogi spokój przy grze. Wówczas można odwrócić się od niekłopotliwych owieczek i wyżywać się na przemysłnych konwentyklach z secesją Demokratów, która ma się zapłodnić manipulując z centrum Kunciewiczza. Nie, dziękuję, jestem niepalący, ale rezerwuję sobie prawo zapalenia cygara.

— Jakiego znowuż cygara? — członek rodu rozłożył ze zniecierpliwieniem ręce.

— Mówię o tym panu w przedziale, który uprosił, żeby wszyscy nie palili, żeby wszyscy wzięli na siebie dobrowolną karność niepalenia (czy jak w danym wypadku nie myślenia), a sam wyciągnął najparszywszego gatunku fiakerską Virginia i zasmroził powietrze.

Ten wrzask o "jednolity front ideowy emigracji" zgodnie wznoszony przez jej skłóconych leaderów idzie pospółu z pocmokiowaniem, że przynajmniej jesteśmy wolni, mamy swobodę myśli — nie tak, jak "tam".

Swoboda myśli!...

Konfiskaty "Kultury", wrzaski zupełnie nieprzytomne, w których kalumniatorzy zupełnie przestali czuć ciężar gatunkowy słowa, na Florczaka, Bobkowskiego, Czapkiego, Jantę-Półczyńskiego, więc na wszystkich, którzy usiłowali "spojrzeć" — wspałała atmosfera "wolności myśli".

— Czemu więc pan nie spróbuje napisać tego, o czym mówimy — spytałem zdolnego młodego pisarza.

Uśmiechnął się smutno:

— Pan wie, że mam posadę w instytucji społecznej? I małe dziecko?

Nie wiem czy i ilu próbowało, czy też "wolność myślenia" wprowadziła tak zszumlowaną jednolitość, że nawet nie próbują, że z góry wiedzą, czego redakcje nie przyjmą. I ja tę wiedzę nabyłem i, po siedmiu artykułach odrzuconych w trzech pismach, przestałem pisać.

"Kundlizm", poszczuty przez czołowy organ jako "plyczna" w felietonie per wielkie "nie wolno wyciągać ogólnych wniosków" — przez jakichś belfrów publicznie (dosłownie) palony; trzeci tom "Monte Cassino" przykonfiskowany w sprzedaży przez cztery miesiące; przez cały dwuletni pobyt w Anglii wzięłem raz tylko udział w jakimś wieczorze autorskim, w tym właś-



nie miodowym powitalnym tygodniu; potem byłem przez wszystkie odczytowe imprezy w Londynie bojkotowany; z reportażów zawierających rozmowy po wrześniu z Beckiem, Smigłym i członkami rządu raz mi umieszczono okrucich w sprawie potrzebnych redakcji komentarzy. Poza tym, albo mi ich drukować nie chciano, albo właśnie z przyprawkami; cykl mój o "opornych" poszedł tylko w swojej "grzecznej" części; kiedy jeden z redaktorów umieścił recenzję o "Monte Cassino", wycinając starannie wszystkie ustępy, w których recenzent podkreślał moje krytyczne uwagi — tłumaczył mi to z rozbijającą szczerością: "Co pan chce, nie mogę przecież zamykać sobie źródła, które by było w stanie wesprzeć pismo"; inny, zwracając mi maszynopisy, oświadczył: "Nie chce pan chyba, żebym wszystkich miał przeciwko sobie?"

Rozumiem tych redaktorów. Tylko czy im się nigdy ten kaganiec na pysku nie sprzykrzy, czy nie marzy im się inny, gorzej, który by nieśli w ciemniach międzyepoki przed rzuconą na świat częścią historycznego i tak śmiertelnie sprowincjonalnianego i zakoftunionego narodu?

Gdzie Związek Pisarzy, gdzie związki, gdzie stowarzyszenia, gdzie ludzie walczący o tę wolność, czujący potrzebę, czujący smak tej wolności, kiedy nawet nawoływania do włączenia się w prąd myślowy angielskiego otoczenia uważane są za niepotrzebne, kiedy stan istnienia ghetta emigracyjnego uważany jest za naturalny, a w ciszy ducha i pożądany (bo się wynarodowia...)

Na wyjeździe poszedłem na imprezę urządzaną przez Związek Pisarzy na temat "Literatura w kraju". Ponieważ przez dwa lata Związek w swych imprezach zajmował się krajem, wyzywając się nieraz w elukubracjach z Bożej łaski deklamatorów, które nic na bieg wypadków nie mogły wpłynąć, a ani jednej jego imprezy nie pamiętam, którą by poświęcić swemu pierwszemu obowiązki na miejscu — obronie trwonionych resztek kulturalnych przez spryciarzy z orszaków poszczególnych królestw, więc zabrałem głos w dyskusji.

Próbowano bezskutecznie mnie z tych zebrań wypłoszyć,\*) co się udało w stosunku do Kuncewiczowej i do Zofii Kossak,

\*) Redaktor jednego z pism odmówił recenzentowi zamieszczenia sprawozdania o «Wrześniu zagwianym», motywując, że... nie jestem autorem emigracyjnym. Dlaczego? — bo ja wiem: albo, że nie podpisałem uchwały bojkotującej czytelników w kraju, albo, że nie czułem się królikiem wobec pytona i mówiłem z Borejszą jak partner, albo, że nie dosyć «zaznaczałem» czy «oświadczałem», czy nie zdradzałem zamilowania do mah-jonga... Bo ja wiem...

Wiem tylko, że ostracyzm tego redaktora nie pozwolił zasygnalizować dzieła o wrześniu tu, gdzie tyłu jest wrześniowców, tu, na tej pustyni kulturalnej, na której książki polskie nie wychodzą.

Inny redaktor, szukając, czyżby mnie najskuteczniej unieszkodliwić, wyraził z powodu «Bitwy o Monte Cassino» pogardę dla autora tego dzieła, frymcarzącego krwią żołnierską, kupczącego kośćmi z poboju przez... umieszczenie podobizn poległych.

piętnowanej w przemówieniach czołowego historiona jako "agentka".

Okazało się, że próbowano mnie wypłacać nie bez kozery, bo powiedziałem, że emigrancyjni pisarze wyglądają na tych rozważaniach pełnych zgorzkniałego krytycyzmu\*) o literaturze w kraju jak panie w łóżach, przyglądające się przez lorgnony i krytykujące. Czasy są ciemne i literatura powinna szukać dróg. A cóż sami emigracyjni literaci robią poza krytykowaniem literatury w Polsce? Gdzież są ci, którzy padają, krwawią się, szukając ścieżek w wykotach? Czy przynajmniej dają koleżeńskie wsparcie tym, którzy czują ten obowiązek? Czy interweniowali, na przykład, w sprawie konfiskaty "Kultury"?

W tym miejscu prezes nie wytrzymał i zamachał pulchnymi rączkami:

— Proszę pana, ma uprawnienia, kto daje pieniądze...

Spojrzałem ze zdumieniem na groteskowego prezesa: do tych pieniędzy przez szereg lat dokładałem się z poborów w wojsku. Spojrzałem po sali — zobaczyłem szereg "udziałowców": Herlinga-Grudzińskiego, obsługującego stację nadawczą na straszliwym wzgórzu 593; Bielatowicza, tkwiącego na punkcie obserwacyjnym na Głowie Węża, na której ani jeden jard nie pozostał nie tknięty pociskiem; Olechowskiego, zasypanego przez eksplozję na Drodze Saperów; Kuszelewską, która straciła w bitwie córkę; Pełczyńską, która straciła w bitwie syna; im też odliczano z ich żołdu; pewno na sali było więcej takich, a po za salą — ze setka tysięcy.

Ale... prezes Zw. Literatów nie chce widzieć tego jedyne go w swoim rodzaju Tow. Akcyjnego, które właściwe udziały płaciło krwią mężczyzn i śmiertelnym bólem matek, nie chce widzieć tych pytań, zadawanych sobie samotnie nocną godziną "za co?", nie chce, nie rozumie zupełnie, że ci ludzie pytają "gdzie idziemy?", że walczą o sens swego istnienia, groteskowy prezes zaciera pulchne rączki i mówi: "Pieniążki się dało, panie szanowny...

Po tym d i c t u m prezes wkrótce ustąpił.

Wybory, które nastąpiły, są niezmiernie charakterystyczną ilustracją tego wszystkiego, co w tej rozprawce piszę. Wybrano poetę B. Nie tego B., który każe "milionom walczyć, tysiącom umierać", tylko tego B., który w zanadrzu "miecz ostrzy, bacząc, aż luny zapłoną".

Czy głosowano chętnie na ten zanadrzowy miecz? Na trzydzieści oddanych głosów *było dwadzieścia białych kartek*. Trudno o silniejszy wybuch niemej rozpacz, że ani idei nie ma, ani ludzi, którzy ją reprezentują i na których można by głosować. Bo przecież i tych dziesięciu nie głosowało z entuzjazmem na pocket-Wallenroda. Przynajmniej od jego z nich

\*) Referat Herlinga-Grudzińskiego był chwalebny wyjątkiem.

miałem list: "Dałem głos, bo B. jest tak leniwy, że się równie łatwo nie wygłupi.

Za cenę, żeby tylko emigranci pozostali karni, zwarci, gotowi... w gębie, obniżono skalę wymagań od emigracji do zera.

Cóż jest przedmiotem nicowania emigranta? — czy nie "zezujecie na reżim warszawski". Ileż chłodnych spojrzeń otrzymanywał ten kto odprowadził na dworzec wracającego do kraju a to doktora, a to inżyniera, kiedy górnikom mówiłem, że lepiej kopać w Polsce, niż w Anglii.

Ale czy się nicuje — co ten pan "trwający" itd. robi, czy nauczył się angielskiego, czy stara się umeblować swój hrubieszowski, albo radomski łeb, czy podgląda jakie też tu ulepszenia są w jego fachu?

Czy się otacza szacunkiem, powszechnym uznaniem — tych nielicznych, co przerobili jakąś celowo podjętą pracę, czegoś dokonali, czymś polski dorobek wzbogacili? Wiemy do znudzenia o tym i owym pisarzu karierowiczu, który pojechał do kraju — czy wie kto o pisarzu-benedyktynie, Pietrkiewicz, któremu Anglicy wydają antologię stu kilkudziesięciu angielskich i polskich pisarzy, ugrupowanych epokami, tłumaczonych — Anglicy na polski, Polacy na angielski przez samego autora. Czy Pietrkiewicz "zaświadcza", "trwa", "wykazuje" — czy też jest u nierobów solą w oku, pospółu z podejmującą rozległe zamierzenie literackie Zofią Kośsak? Ale prawda, Zofia Kossak (do której wyrobienia politycznego wolno nie mieć zaufania) "zezowała na reżim" i o jej pracy pisać nie wolno, o pracy Pietrkiewicza nie warto (ten znowuż "zezował na faszyzm"), za to wolno zalewać ludzi wypocinami ankiety, w której pan Prztyprztycki ustala, że w klasie czwartej... nie... w piątej dostał dwójkę z matematyki — chociaż, ostatecznie, zdaje się, że w czwartej.

Panie Prztyprztycki — ja wiedziałem, że pan na nic nigdzie "nie zezuje" (chyba na "prace zlecone"), aż tu nagle okazuje się, że pan zezuje na Panteon Narodowy, że już się układa w nim ze swoją biografią, że i pański "but prawy powieszają w Sybilli, a nad straconym lewym będą żale", jak nieutulony będzie żal, jeśli z całą pewnością nie da się ustalić, kiedy to, właściwie, otrzymał pan tę dwójkę, świadczącą o genialności już w tak wczesnej młodości (bo zdaje się, jednak, że, ostatecznie, w czwartej klasie...)

Cóż się dziwić, że na emigracji nie ma kultu pracy, kiedy nie ma opinii. Gdyby wpisowe do tej emigracji było droższe, byłaby i opinia.

Prawo do nazywania się emigracją polityczną powinni mieć tylko ludzie twórczy — tych stać by było na płacenie stawki. Człowiekiem twórczym, emigrantem politycznym może być zarówno pisarz szukający nowych wartości, jak robotnik, szukający form gromadzkiego polskiego współżycia, nie tylko polityki, ciągle uczący się spraw świata, ale i ex-wojskowy, który po

swojej tapicerce chodzi na kursa, na odczyty, czyta.

Ale stawkę, której należałoby wymagać od emigranta politycznego obniżono do możliwości tłumy, który nie może wracać i szuka azylu, któremu się, po prostu, często nie chce wracać i szuka wsparcia, a któremu się schlebia, że spełnia postępowanie. Od tłumy tego wzamian za podporządkowanie się nic się nie wymaga. Zakłamanego stosunku liderów i masy nie może łączyć rzetelna wartość — opinia. Dlatego opinię zastąpiła jej namiastka — ostracyzm.

## WSTYDLIWY CIEN

Jak należało oczekiwać — pod nieprzewietrzaną budowlą załęgła się pleśń. Ta pleśń, to kompleks niższości wobec wszystkiego, na czym wyżywa się fikcja emigranckiej "nieustępliwości".

Kompleks niższości wobec Anglików.

Kompleks zastraszenia wobec Rosji i jałowości wobec reżimu.

Kompleks załapania wobec Polaków w kraju.

### 1.

#### *Kompleks niższości wobec Anglików*

Trudno jest zaobserwować kompleks niższości w pożyciu z Anglikami, bo Anglicy nie lubią upokarzania ludzi, tak drogiego, kulturze wschodniej.

W Polsce na posiedzeniu jakiejś Rady Nadzorczej ktoś wzdychał:

— Zachód... Świat... Co za rozmach... Choćby taka afery Kanału Panamskiego?... Jeśli nawet nieuczciwość, to co za skala ludzi...

— E, proszę pana dyrektora — wtrącił obrażony za Polaków skromny buchalter — ludzie by się u nas znaleźli, byle tylko kanał był.

Nie wątpię, że i na emigracji znaleźlibyśmy wielu podskakawców, gdyby był kanał. Tymczasem jeśli i był — to sklepiony.

Czasem bowiem natykał się człowiek na oznaki, że jednak dosyć tego paskudztwa płynie — rurami krytymi. Uderzająco powtarzały się relacje ludzi, co do których mam pewność, że nie mają ani arogancji, ani giętkiego karku: Anglicy rozpoczęli konferencję nieposzlakowanie grzeczniej i zupełnie nie licząc się z naszą opinią, w środku konferencji stwierdzali, że Polacy są "non-cooperative", kończyli konferencję bez zdawkowych grzeczności, z którymi ją rozpoczynali, ale wyraźnym szacunkiem dla strony przeciwnej. Widać przywykli do Polaków miękkih w zamkniętych ścianach i aroganckich na placu publicznym — idealna kombinacja... dla Anglików.

Że tej arogancji naszych artykułów nie traktowali Anglicy jako poczucie godności zrozumiałem, kiedy mi redaktor pis-

ma, w którym umieściłem cykl artykułów o naszych górnikach w Anglii, powtórzył o tych artykułach opinię angielskiego urzędu — "how dignified". A przecież te artykuły nie były takie nieprzejednane, starały się jednak być rzeczowe.

Jeśli tylko arogancja wobec Anglików dochodzi do tego miejsca, w którym należałoby wyciągnąć z niej logiczne, ale nieprzyjemne wnioski — natychmiast zamienia ją u arogantów "zdrowy rozum", "poczucie rzeczywistości" itp.

Jest zrozumiałe, że przedstawialiśmy zbyt małą siłę, by wymóc inną politykę wobec Rosji. Ale to nie znaczy, że nie byliśmy w ogóle partnerem na taką skalę, na jaką nas było stać.

Anglikom nie warto by było walczyć z Rosją o Wilno i Lwów za cenę utracenia naszych kilku dywizji. Ale na pewno nie warto im było, ani uchylać się od pomocy wrześnieowcom, ani od zawarcia dwustronnej umowy demobilizacyjnej, ani od przekazania w całości Funduszu Społecznego, ani nie trwałoby przy żądaniu ustąpienia gen. Sosnkowskiego (a więc zdezwauowania rozkazu N. 19), ani nie czułyby się nasz rząd tak samotny i bez oparcia, gdyby Anglicy byli postawieni przed konkretną perspektywą rozbrajania nas przemocą. Z całą stanowczością stwierdzi każdy, co był z naszym żołnierzem blisko, że ze strony tego żołnierza byłby kompletny posłuch. I każdy, co zna historię angielską i mentalność tego narodu wie, że nie dopuściłby on do kłopotliwych ekscesów przy sprawach nie mających dla niego większego znaczenia.

Ale cóż, kiedy nasza arogancja nie posuwa się po za granice wygody. Zabawny rząd dusz się wytworzył: ceniący symbol, kiedy naród płacił i "realną politykę", kiedy zapłata wypada bliżej i w krótkim terminie.

Ważny okres późniejszy, pekapeerowski, kiedy już byliśmy bez broni.

Byli wiceminister oświaty, b. szef wydziału oświaty 2-go Polskiego Korpusu, podpułkownik Alexandrowicz, protestował, że wrześnieowców nie przyjmuje się do P.K.P.R., nie zgadzał się, by ci nasi towarzysze broni, którzy cierpieli najwięcej, mieli być Polakami drugiej klasy, bo nie byli na żołdzie angielskim. Wyłączenie ich tym samym rzucało cień na naszą przeszłość żołnierską — nigdy bowiem nie uważaliśmy się za kondotierów, nigdy nie uważaliśmy się za najemne wojsko, nigdy nie byliśmy (tak sądziliśmy) w służbie obcej. Ppułkownik Alexandrowicz nie chce mieć tego cienia na swojej służbie żołnierskiej, nie przyjmuje ochłapa z tak hańbiącego tytułu, zrzeka się P.K.P.R., mając sześćdziesiąt kilka lat bierze pracę chłopca ogrodniczego.

Są tacy jego koledzy, którzy, nie chcąc podpisać zobowiązania na słuchanie cudzego króla, nie ulegli się gróźb, nie ugięli się, zostali zesłani do Niemiec, jak stoją, bez żadnej odprawy, pod nadzór niemieckich policjantów.

— Nie wyślecie już dalszych partii — powiedziałem do urzędnika *Foreign Office*.

— Jak nas kto nie lubi — wydał usta — to go nie zatrzymujemy.

A jednak ci pozostawieni sobie "oporni" okazali się partnerami na skromną miarę swoich żądań — dalszych partii nie wysłano.

Pporucznik Ulatowski poszedł jeszcze dalej, niż prof. Alexandrowicz — nie zgadzał się na rejestrację, żądał, żeby go nie traktowano jako siłę roboczą, sprowadzoną do kraju, tylko jako emigranta politycznego. Raz po raz dawano mu więzienie i czas do namysłu, raz po raz, samotnie walczący człowiek, wracał na więzienną pryzę.

Sam był Alexandrowicz, sam był Ulatowski, sami byli pozostawieni sobie "oporni". Póki pisałem reportaże z ich obozów, póty mi je drukowano; kiedy chciałem wyciągnąć wnioski, wszystkie redakcje były na głucho zamknięte.

Ani nie jestem pewien, czy logicznie były wyprowadzone wywody Ulatowskiego, ani nie przeoczą, że do "opornych" spłynęli Niemcy i kryminalne szumowiny, ani nie uważam, żeby godny najwyższej czci odruch ppłk. Alexandrowicza dał się rozciągnąć na sto tysięcy ludzi.

Ale to przecież tam, u nich, schroniły się resztki oszalałego, pokrwawionego, niepodległego ducha.

Czy wsparli się o polską opinię?

Czy też musieli za Łozińskim ("Prawem i Lewem") powtórzyć:

*„Nie można, niestety, dawać kredytu słowom aktorów tej nieśczęsnej gry społecznej i politycznej... Między tą cnotą w usciach, a egoizmem w duszach leży przepaść cała, przewiązana girlandami frazesów obywatelskich”.*

Panowie z wielkim pyskiem, dzikusy bezkarne, podcierające się, jak ów Abisyńczyk, sztandarem angielskim, deklamatorzy Wypiańskiego — cościeście nagle wody w usta wzięli?

Bo — realizm?

W takim razie, czy można prosić o jedno? — O zaprzestanie maskarad, panowie paradebauerzy?

Jeśli tylko pojawi się — nie kanał, ale najmniejszy kanalik — miał rację poczciwy buchalter — znajdują się ludzie.

Kiedy po całym churchillowym zaświnieniu, już po wojnie, znalazła się córka Churchilla nad Como, otrzymała bukiet od naszych oficerów. Bukiet miał symbolizować Polskę, był więc czerwono-biały. Gdyby córka p. Churchilla była w towarzystwie przyjaciół Moskali (bo to był jeszcze początek 1946 r. i w pismach oglądaliśmy Churchilla w mundurze angielskim i moskiewskiej papasze, fotografowanego tak niedawno w Jałcie) — miałaby ułatwione zadanie odstępując czerwone pół bukietu dla nich.

W parę lat po zakończeniu wojny przyszły dla naszych woj-

skowych jakiegoś zapóźnione odznaczenia amerykańskie. Ambasador amerykański zarządził ich nadanie kuchennym wejściem, (w mieszkaniu prywatnym), dano do zrozumienia, że obecność gen. Andersa byłaby krepująca. Lotnicy na "paradę zwycięstwa" nie zjawili się w swoim czasie. Ale teraz sklepionym, ukrytym kanalikiem dekorowani pobiegli. Wszyscy. Między nimi bardzo rzetelni ludzie. Tym gorzej.

Po co pobiegli?...

Kiedy po bitwie pod Monte Cassino spadły pierwsze odznaczenia angielskie, gen. Juin, dowódca francuskiego Korpusu Ekspedycyjnego odmówił, uzależniając przyjęcie od zgody gen. de Gaulla. A przecież ręce przypinające order nie były splamione zdradą wobec jego własnego narodu.

Ale wtedy jeszcze nasi wojskowi sobie mówili: za rok we wrześniu... Za rok pod Kijowem... Za rok opóźniające działania na Sycylii...

Co mówią teraz, biegnąc po te fatalaszki przez kuchnię, w pekapeerowskich mundurach, znamionujących służbę Jego Królewskiej Mości, biorąc odznaczenie z rąk rządu, który nie uznaje legalnego polskiego rządu, któremu oni przysięgli wierność?

Po cóż to robią? Za cenę "dobrych stosunków"? Dlaczego Piłsudski nie rozgrzeszał się ceną dobrych stosunków, kiedy uchylał się od austriackich orderów? A przecież tam mógł być usprawiedliwiony realiami — szło o uzbrojenie legionów i o usamodzielnienie ich Komendy.

Może ci, zwykle jakże hurrapatriotyczni, powiedzą, że Piłsudski był romantyk, dadzą za przykład realizm Anglików? Ale Churchill nie przyjął po wojnie Orderu Podwiązki, motywując, że order ten udzielany jest emerytom politycznym. A przecież Churchill otrzymałby ten order, uświęcony wspólną tradycją, z rąk prawowitego króla, we własnym kraju, wsparty o własne, potężne stronnictwo. Nie chciał jednak niczym zmniejszać swojej niezawisłości. A ileż tej niezawisłości mieć muszą ludzie skazani na strasliwą samotność, na brzemień okrutnej odpowiedzialności, ludzie, którzy reprezentują naród powalony, któremu odmówiono wszystkiego.

Pierwszego sierpnia 1944 r. pisałem w powoływanym już memoriale:

*„Umysłowość wojskowa dąży do rozcinaania sytuacji i do znajdowania prostych form działania. Trudno rozumie, że magazynowanie wojska może być szkodnictwem (Nb. — wówczas trwał ożywiony werbunek jeńców z armii niemieckiej), że decyduje jakość a nie ilość, że trzeba wyrzec się wyraźnego rozkazodawstwa.*

*Ta umysłowość wojskowa jest wystawiona teraz na wielkie tentacje. Nieodpowiedzialne boczki angielskie łudzą mirażem przyszej wojny, co odpowiada nadziejom i tęsknotom tej wojskowej umysłowości. W ten sposób może wytworzyć się paradoksalna sytuacja, że ci panowie będą więcej radykalni i pa-*

*triotyczni w stosunku do rządu londyńskiego, niż ludzie świadomi. I trzeba będzie ten słaby rząd ostaniać wszelkimi siłami przed bardzo patriotycznymi hasłami antyrosyjskimi i żołnierskimi — w zrozumieniu, że te patriotyczne hasła skończą się na kondotierzyźnie.*

Napisałem już w jednym miejscu, że Anglicy nie byli w stanie dotrzymać sojuszu z Polską.

Mam jednak głębokie obrzydzenie do Churchilla za formę, w jakiej to zrobił.

Jeśli się obiecało komu walczyć do końca, a jednak bandyci wydali się zbyt silni, to przynajmniej asystuje się biernie, nie dogadując, kiedy zdradzonemu przyjacielowi odbierają zegarek, za całą pewnością wystarczy pozostawiony budzik, nie tłumacząc, jak ów karczmarz ("Księgi Pielgrzymstwa") poranionemu w jego obronie gajowemu, że bandyci musieli go napaść, bo był kłótliwego charakteru itd.

Polak z przerażeniem patrzył na straszliwy bezwstyd męża stanu, który zabranie 52% ziemi sojusznika nazywał *improvement of frontier* — poprawką granicy, podyktowaną strategicznym bezpieczeństwem Rosji.

Pamiętam, że kiedy, w wykładzie dla 350 spadochroniarzy angielskich zaraz po mowie Churchilla z lutego 1944 r. za-produkowałem im ogromną sylwetową czarną mapę Rosji Eurazjatyckiej po Ocean Spokojny i przyklepioną do niej kuleczkę Polski malowaną jasnym kolorem i powiedziałem, że względy strategicznego bezpieczeństwa kolosa wymagają prze-połowienia kuleczki — sala parsknęła śmiechem. A przecież to ich własny naród tak okłamywał Churchill w przededniu powojennych rozgrywek.

Churchill więc jest dla nas symbolem Teheranu, Jałty, promotorem, obrońcą i rajfurem macherki dziejowej. Wszystko nam jedno, że chciał uderzać przez Bałkany, że ciążyła wola Roosevelta. Ameryka nie dawała nam gwarancji. Churchill tych macherek bronił, Churchill je usprawiedliwiał, on to Mikołajczykowi bił pięścią w stół, aby go skłonić do zdrady, on Andersowi, kiedy nasz Korpus był potrzebny, mając w tece układ Teherański zaprzędający Polskę, śpiewał hymny o zachodniej kulturze Polaków i obiecywał... Hamburg, on to Andersowi po zabawie proponował, aby zabrał sobie swoje dywizje, on, spotwarzając własną ofiarę, pisał o Polakach w swoich pamiętnikach stylem paszkwilanta, on, kiedy rozległ się protest Supera i innych, dał zadosyćuczynienie w formie wyrażenia wiary, że Polacy znowu chwycą za broń, kiedy tego będzie potrzeba. Takie zadosyćuczynienie z tych właśnie ust możemy tylko odczuć jako ponowną zniewagę.

I cóż nas znowuś spotyka? Ci, którzy za zadanie swego życia uważają protest przeciwko rozbiorowi Polski, urządzają obchód w Instytucie im. Sikorskiego z udziałem Churchilla, cynicznego tego rozbioru propagatora, wykonawcę i zachwalacza.

Nie wyobrażam sobie, żeby w naszych uroczystościach narodowych uczestniczyli w swoim czasie Metternich lub Stackelberg, a przecież oni nas nie zdradzili, nie wykorzystali, zaświniając następnie.

Tymczasem tu ci, którzy potępili słusznie Mikołajczyka, że ułatwił światu zbrodnię, łączą się w obchodach z człowiekiem, który dokonał szatańskiego chwytu, podając temu światu zbrodnię owiniętą w oszukańcze opakowanie. Trudno o jaskrawszy dowód kompleksu niższości.

Więc gdzież cały ich sens istnienia na emigracji, które ma być wyrażeniem protestu? Jeslibyśmy nawet nie przywiązali większego znaczenie do tej nieustannej deklamacji o nieustępliwości, do tej szopki zgrywającej się w umownych fikcjach — to i w szopce obowiązuje jakaś logika: wiemy, gdzie szablon ma być komiczny, a gdzie patetyczny. Ale ta emigrancka szopka staje na głowie: nagle król Herod poczyna niańczyć dzieciątko, które chciał zarzącać, diabeł śpiewa hosannę pastuszkowie proszalnie nastawiają Herodowi puste kobiałki, a Oblubieniec jako gospodarz stajenki pośpiesza usadzić go na mównicy.

I tylko poczciwy osiołek, któremu na razie nie każą przedzierać się przez żadną zieloną granicę i byczek, którego na razie nie pchają na żaden bunkier — dmuchają jak dmuchały w opuszczony żłobek w nadziei, że ciepłem własnej krwi i oddechu przechowają i do wzrostu pobudzą to Dobro Wieczne, które nie da się ani zniszczyć, ani zakłamać, ani sprzedać, ani nabyć.

W promieniu jego najświętszego ciepła nie zimno jest w stajence wygnańczej. W promieniu jego najświętszego ciepła nie drętwieją dusze w kompleksie niższości.

## 2.

*Kompleks bezwładu wobec bolszewizmu*

Kompleks niższości wobec Anglików jest dublowany przez kompleks niższości nie tylko wobec Rosji, ale i wobec reżimu rządzącego w kraju.

Polska w minionym dwudziestoleciu nie mogła znaleźć swego oblicza. Narodziła się ponownie na dawnym szlaku historycznym w straszliwej nędzy. W perzynę obrócono niemal dwa miliony budynków, zaprzestano całkowicie uprawy na więcej niż czterech milionach hektarów, zniszczono cztery miliony bydła, wywieziono dziesięć tysięcy najcenniejszych maszyn, z pozostałych zdarto sto tysięcy ton miedzianej armatury i ponad milion metrów pasów rzemiennych. Jeszcze w 1921 r., w trzy lata po tym, kiedy świat zakończył wojnę, koło miliona ludzi gnieździło się w siedemdziesięciu pięciu tysiącach chlewów, stodół i nor w ziemi.

Linie kolejowe, szosy i spławy tego zlepku trzech państw były niepowiązane, centra gospodarcze uplasowane w myśl po-

trzeb innych organizmów, dawne rynki kontynentalne (Rosja i Niemcy) zamknięte, stosunków na świecie żadnych, floty handlowej żadnej.

Kiedy zachód dostawał odszkodowania aż do pociągów szumiących pszczelinami ulami włącznie, kiedy w Niemcy pakowano olbrzymie kredyty, Polska została sama, rządzona przez garść ex-legionistów, nie mających do końca pojęcia o gospodarczych i światowych zagadnieniach, wspomaganych radami typowo prowincjonalnej galicyjskiej biurokracji, rekinów reprezentujących obce kapitały i Żydów.

A zagadnienia przyszły na miarę wielkiego mocarstwa. Podczas, gdy pozbyte tego typu zagadnień państwa bałtyckie lekką ręką dokonywały reformy rolnej, dla nas, w nieokrępej Polsce, była to wiwisekcja dokonywana na elemencie szlacheckim sparszywiałym, ale wtedy jeszcze w głównej mierze reprezentującym ciągłość historyczną, nastarczającym na wszystkie zapotrzebowania myśli polskiej od konserwy aż po radykalnie ludowe z Poniatowskim i Kosmowską i radykalnie robotnicze z Jodką, Daszyńskim i Moraczewskim włącznie.

Podczas kiedy Finlandia mogła spokojnie dorabiać się na swoim drzewie, Estonia na lninie, Litwa na nabiale i Łotwa na bekonie — my mieliśmy dywersję ukraińską na południu, bolszewicko-białoruską na północy, 800.000 Niemców, trzy miliony Żydów, brak mieszczaństwa, przemysł w obcym ręku, nieprzewarstwienie wewnętrzne i poczucie, że musimy się zdobyć na mocarstwowość, bo zginiemy — stąd politykę dumpingową, stąd owe sławne polskie węgiel i cukier, pięciokrotnie tańsze zagranicą.

A wszystko to działo się — w zmieniającym się świecie. Polski Copik biegnący z wywieszonym językiem za magnitogorskimi i dniprostrojowymi St. Bernardami, polski komarzy brzęk Ozonu wobec ryków norymberskich, sprawiać by mogły wrażenie komiczne (i ileż tych natrząsań się było po 1939 r. w prasie zaborców), gdyby nie przeczcucie tragedii.

Tragedia polegała nie na naszej biedzie, na naszych trudnościach, tylko na tym, że ta bieda, przełamana o konieczności geopolityczne (wraz z Kopem i innymi ukrytymi pozycjami — 60% budżetu państwowego szło na wojsko, kiedy w obecnej reżimowej Polsce — 8%) nie pozwoliła na wytworzenie żadnego stylu.

Naprzód, rzecz zrozumiała, dominowało poczucie radości:

*Choćby figowe drzewo nie zakwitnęło i nie było urodzaju na winnicach, choćby i owoc oliwy pochybił i role nie przyniosły pożytku i z owczarni by owce wybite były, a nie byłoby bydła w oborach — wszakże ja w Panu weselić się będę, rozraduję się w Bogu zbawienia mego. (Hab. III).*

Próbowano, po prostu, tę żywą patriotyczną radość z odzyskanej niepodległości przekuć w kapitał stały. Ale radowanie się w permanencji bez zrozumienia sensu rzeczy, które się pełnią, jest cechą idiotów — stąd rozumiałe ośmieszenia po-

krzykiwań o "radosnej twórczości". Stworzenie zaś sensu istnienia w przede dniu międzyepoki, w której zapadną się suwerenności, a znaczyć będą konglomeraty, było niemożliwe. Jeśli Copik Kwiatkowskiego mógł się wydawać śmieszny, to Matuszewskiego adamsmithowskie wydziwianie na niego sprawiło wrażenie jakby dziewiętnastowieczna ballerina w trykotach wżęglowała ze swymi puentami na salę, na której odchodzi wariacki dżig.

Z taką spuścizną nieporozumień znaleźliśmy się na emigracji. Winimy siebie i położenie geograficzne, ze starannie maskowanym poczuciem niższości patrzymy na dokonania Rosji, nie rozumiejąc, że na zatarcie naszego stylu jeszcze większy wpływ niż geopolityka wywarła międzyepoka.

*Do świadomości ogółu Polaków jedna sprawa całkowicie nie dotarła. Przeczyli ją wśród własnych poświęceń i bohaterstw. Taka niezależność polityczna o jakiej myśleli i myślą Polacy już nie istnieje. Walczyli o coś, co właśnie wtedy, gdy składali temu najwyższe ofiary, zapadło się niepowrotnie w przeszłość. Historia wyprzedziła ich. Chodzi teraz o coś więcej, niż o Polskę. I żadne straty z lasów nie odwrócą historii. To wszystko daremne. Walka o fikcję, o zagubiony i niepowrotny cień.*

Tak pisze Andrzejewski, pisarz katolicki, którego po raz ostatni widziałem na bankiecie wydany z okazji przyznania nagrody jego książce pt. "Ład Serca". Siedziałem przy księdzu Korniówiczu z Lasek, mając naprzeciwko ojca Kolbe, który wziął na siebie śmierć głodową w bunkrze, by ocalić bliźniego (patrz sprawozdanie z Dachau Morcinka).

Nie, nie możemy nie liczyć się z atmosferą, z której wyszedł ten pisarz.

Ktoś mi zabrał, niestety, "Sprawy Polaków" Osmańczyka i nie mam możliwości skonfrontowania z tym, co tu piszę, jego wielkiej kilkaset słów liczącej dedykacji, kiedy mi książkę przesyłał. Ta dedykacja jest przejmującym listem na tamtą stronę barykady od człowieka, który w moich oczach stawał pierwsze kroki, od człowieka, który przed wojną poszedł z całą świadomością na ciężką i niebezpieczną pracę wśród Polaków w Niemczech. Książkę dobrze pamiętam — cała ona wyrasta z bolesnego i zdumionego odkrycia tegoż samego co i u Andrzejewskiego: "taka niezależność polityczna, o jakiej myśleli i myślą Polacy — nie istnieje".

Książka Osmańczyka przypomina mi obraz Van Gogha: łan połamanego burzą przejrzałego zboża, nad którym, niesione wicherą, kłębi się czarne ptactwo w zwałach chmur. Obraz ponury — a przecież czuć taką dynamikę słońca za chmurami, że obraz wieści jeden wielki blask, kiedy ptaki i zwały chmur przeleca i łan zapali się złotem (panów malarzy przepraszam za zastanawianie się nad tematyką).

Przy bolesnym skrzywieniu ust Andrzejewskiego i Osmańczyka, w ich oczach widać pierwszy blask — przeczcucia.

Może, naturalnie, kompleks niższości zasyczeć, że obaj pisarze poszli na łatwy chleb, ale jak długo można wszystko tłumaczyć w tak prostacki sposób? Czy nie należałoby pomyśleć, że ci trzydziestokilkoletni ludzie tkwiący w kraju, mają więcej uczuloną obserwację, niż tkwiący na obczyźnie sześćdziesięciolatki, stanowiący jądro "bezkompromisowej" publicystyki?

Co ta publicystyka pozytywnie przynosi poza psioczeniem? Ta publicystyka w ogóle nie ma pozytywnych zagadnień, poza życzeniem, żeby Moskal sobie już poszedł i żeby oni mogli wrócić i żyć spokojnie. Z trudem wyszukując — jakimże to zagadnieniom pozytywnym ta publicystyka służy, znajdujemy aż cały organ "Lwów i Wilno", który już w tytule samym wskazuje cele.

I cóż w nim spotykamy poza ciekawymi publicystycznymi artykułami p. Mackiewicza bądź na tematy ogólno-światowe, bądź na tematy techniki emigranckiego mah-jonga? Same wspominki o żarciu, picciu, polowaniach, roztkliwianie się kraj-obrazem, poklepywanie po ramieniu sympatycznych "tutejszych". W Związku Obrony Kresów Wschodnich siedzą panowie szlachta. Prawosławny Sawczuk, wracający w ogień z modlitwą, by Bóg duszę jego uratował; prawosławny Białorusin Siemienuk, padający przy nadludzkiem trudem wwindowanym dziale, żałujący, w pełnej świadomości konania, że za mało walczył, pytający swego dowódcę, "czy nasi pobiją?"; prawosławny Białorusin Bułak, już ranny, własnym ciężarem rzucający się na minę, by dać atakującym dobieć do bunkra — czyżby do tego Związku należeli? Czy należał do niego te tysiące ich kolegów, którzy pozostali przy życiu — prawosławnych i unitów i rzymskich katolików, Białorusinów, Ukraińców i Polaków? Czy ich kto do tego zaprosił? A gdyby zaprosił — cóżby zrozumieli w tym dziwnym organie, marzącym o dobrym przedwojennym żarciu?

Kiedys otrzymałem od Pawła Monicza, chłopca ze wsi Cerkiewnej pod Szczorsami list, który jest tak wskaźnikowy, że go przytaczam w całości:

*„Nie mogłem wytrzymać i do końca przeczytać pańskiego dzieła, aby nie zwierzyć, że byłem w złym zrozumieniu o wszystkim mnie otaczającym.*

*Rumienie się ze wstydu, przetrząsając w pamięci swoje błędne domysły, wirujących w ciemnej głowie. Szukałem zawsze winnych poza sobą, a siebie liczyłem zawsze oszukany, skrzywdzony, poniewieranym przez wszystkich, nawet tych, którzy spełniali swój obowiązek. Nie wiedziałem, że płaceniem przez ojca podatku za swój grunt wspomagamy tym rozwojowi państwa, budujemy lepsze jutro dla takich samych jak ja. Myślałem, że nasz podatek idzie tylko na pensje urzędnikom. Nie widząc rozwoju w swej wsi, nie mogłem tak nie myśleć, a wytłumaczyć o tym nie było komu. W roku 1927 zbudowany*

został na rzece Niemen duży most. Przedtem, wiosną, prom nie chodził i nie można było przejechać furmanką. Lecz ludzie nie widzieli w zbudowaniu mostu wygody dla siebie, lecz mówili tylko, że zarobit inżynier. Ciemnota rozpościera swoje skrzydła nad naszymi wsiami, z czego korzystają szkodeczne elementy”.

Teraz dziesiątki tysięcy Moniczów przeczytało nie przypadkowo otrzymaną książkę, ale chłonęło cudownym skrótem przybliżoną przed oczy Wielką Księgę Dziejów w męczeńskiej drodze przez Eurazję, w bojowym szlaku przez ćwierć globu, przemierzonym w żołnierskiej ofierze ramię w ramię z polskimi kolegami.

“Szkodeczne elementy” całkiem teraz opanowały wieś Cerkiewną, której “Lwów i Wilno” ma bronić. Ale czyż Paweł Monicz znajdzie tam cośkolwiek o naszym dorobku na kresach? Czy też, znowu “wytlumaczyć o tym nie ma komu”?

Prawda, że była to “Polska B” i redaktor ma z dużą dozą słuszności lekceważenie dla tego dorobku. Ale jeśli tak, to w imię czego chce wracać do Wilna? W imię przyszłości? A gdzie tej przyszłości wizja we “Lwowie i Wilnie”?



Nie chodzi o “Lwów i Wilno”. To pismo jest tylko łyżką tej samej wody zaczerpniętą z emigracyjnego kubła. W całej naszej prasie, w ogromnej masie wspominków, rzecz dziwna, nie ma wspominków o tym, co się tworzyło w minionym dwudziestoleciu. A przecież dużo pracy było w Polsce. A przecież wielu z tych, co tę pracę pełnili, jest między nami. Nie napiszą o tym za nic w świecie, aby się nie natknąć na sarknięcie: — “co się wygłupiasz?”

Wrzesień 1939 r. był też naszym olbrzymim wysiłkiem, a przecież z powodu mego “Września Żagwiącego” nieraz natrafiałem na to sarknięcie. To nie są sarknięcia niezdrowe — dyktuje je poczucie tego jak daleko nasze możliwości stały od istotnych potrzeb i troska, abyśmy sobie nie zaciemniali wzroku megalomanią.

Ale cóż, kiedy na polu emigranckim, pielonym z megalomanią surową ręką dziejów, rozrósł się pasożyt, który widziałem na Bliskim Wschodzie: nawierzchnię liści ma purpurową — to arogancja i ostracyzm, spód bladej — to niewiara w przyszłość dwudziestolecia, niewiara w siebie w teraźniejszości, niewiara w przyszłość — kompleks niższości. Kompleks niższości wobec Rosji, kompleks niższości wobec jej ludzi, jej metod, jej satelitów, jej osiągnięć, jej agentów, jej przemian. To wszystko trzeba jedną czarną szybą przesłonić, zamazać, odciąć, bo jeszcze by się kto skusił, bo jeszcze kogo bolszewicy i reżimowcy przekonają, bo jeszcze kogo uwiodą. Pisarz, który by miał

możność tam pojechać i wrócić, wróci na pewno z duszą zastrutą.\*)

Ludzie, którzy rzekomo reprezentują wielkie wartości kultury zachodniej, są obrońcami katolicyzmu, tradycji, dorobku wieków, liberalizmu, demokracji i tyłu wspaniałych rzeczy — nie czują się partnerem. Czują się jak królik, który nie powinien spojrzeć w oczy pytona, bo sam mu polezie w gardło.

Będąc z kilkuletnim dzieckiem w ogrodzie zoologicznym Whipsnade, zostałem w *Bird Sanctuary* podprowadzony przez dozorcę do krzaka, w którym miał pokazać gniazdko z piskletami sikorki.

Dziecko wyrwało się naprzód, podbiegło, zajrzało w krzak, wyciągnęło rączkę i cofnęło ją nagle z przestraszeniem.

Zajrawszy, zobaczyłem najmniejszą z odmian sikorek, sikorkę szarą, jak roztoczywszy mikroskopijne skrzydełka nad dziećmi, podniósłszy mikroskopijny dziobek, wydawała groźny syk przeciw tym groźnym istotom, zaciemniającym nad nią niebo i sięgającym po życie ich dzieci. Kto wie, czy gdyby nie ten syk, dziecko nie uszkodziłoby gniazda zanim zdążylibyśmy zainteresować.

Pomyślałem sobie, że niezależnie od tego jak jest fizycznie słaba — jest partnerem w walce o to co kocha. Cóżby jej pomogło, gdyby zamknęła oczy i usiłowała — nie patrzeć.

### 3.

#### *Kompleks załapania wobec kraju*

Jeśli poczucie niższości wobec Anglików, jeśli poczucie niższości wobec Rosji i każdego zjeżdżającego Borejszy jest rzeczą przykrą, to najboleśniejszą jest ta tak wychwalana, uświęcona, wysublimowana pokora wobec kraju, liczenie się z “wołą kraju”, czeplanie się fikcyjnych mandatów z kraju. I znowu — tak jak tam niezłomność, tak tu ta pokora jakże pięknie jest wymalowana!... Oto my... cóż... w puchach... niegodni... gdy kraj walczył... my jego sługi... to kraj sam zdecydował... Tak, tak, panie dobrodzieju, czy pan z trefów chodzi?

Wojna nas pouczyła jak piekielne kłamstwa mieszają w ka-

\*) Brak wymiaru rzeczywistości w ocenie tego czegoś straszliwego jest właściwy umysłom, które, zdawałoby się, powinny mieć proporcje w myśleniu.

Kiedy mnie reżim warszawski zapraszał na zwiedzenie kraju, między innymi miałem wizytę b. wysokiego asa naszego przedwrześniowego wywiadu, który mnie zapewniał, że z życiem nie wróć — Bezpieka zaaranżuje wypadek samochodowy, lub coś w tym rodzaju.

Kiedy do Ameryki postanowiłem jechać na «Batorym», chcąc choć w ten sposób dotknąć jedyne dostępne mi skrawka Polski, odwiedził mnie były wysoki dygnitarz M.S.Z., twierdząc z całą stanowczością, że z «Batorym» mnie nie wypuszczą i odwiozą do Gdyni.

Nie chodzi tu o różnicę w ocenie moralnej zabójców Trockiego, porwawczy Kutiepowa i tyłu innych. Ręce Katyńskie jednakowo oceniamy. Tylko chodzi o zmysł rzeczywistości, o poczucie proporcji, które mać — kompleks niższości wobec bolszewickiego pytona.

dzi ludzkości i nie możemy się nadziwić, że łągarstwa grubymi rękami szyje są brane za dobrą monetę.

Ale zajrzyjmy w emigrancki młynek kłamstw, jak skutecznie pracuje. Czyż wrzucona w niego arogancja nie wypływa jako niezależność, lub jako nieustępliwość, ostracyzm — jako opinia, brak odwagi cywilnej wstrzymania powstania — jako bohaterstwo, wiszfultinkostwo — jako ciężyzna, a wreszcie chęć ulżenia sobie — jako poddanie się woli kraju.

Jeśli kraj każdą minutę każdej doby drżał pod gniotem ucisku, a nam nic nie groziło i nic nie brakowało, to nawet żadne Monte Cassino, ani Falaise nie mogły zrównać wkładu. Ale od tych czasów im się fizycznie polepszyło ( w stosunku do rządów Gestapo), nam pogorszyło, a duchowo i im i nam jest tak samo ciężko. Poza tym — iluż na emigracji znalazło się akowców, wrześniowców, deportowanych, więźniów politycznych — tych najczynniejszych i tych, co byli najaktywniejsi. A i przedtem — ileż najlepszej młodzieży przeszło granice, ileż dusz wykuwało się w bitwach i pochodach. Jeśli wszystko to nakrywa zbutwiałym wierzchem Zaleszczycka waliza mah-jongistów, to nakrywa niesłusznie: nie ma żadnych danych przypuszczać, że skład ideowy emigracji jest gorszy, niż skład ideowy kraju.

Na to korzający się wobec kraju mówią, że cóż, że tamci siedzą na ziemi, a my... wiadomo... oderwani...

To my, w Klubie Trzeciego Miejsca możemy tak mówić, ale wy?... Jakim prawem?... Przecież tu "oddechamy atmosferą wolności", przecież tu "możemy myśleć", przecież tu "jesteśmy u źródeł wielkiej zachodniej kultury — matki naszej", przecież tam, w kraju, "atmosfera zafałszowana", przecież tam "wzrok narodu odwracany mirażami odbudowy, mirażami ziem zachodnich — od istotnej rzeczywistości, jaką jest niewola".

Więc jakże? Więc dlaczego deklamacje o woli kraju? Uprzymiarniamy sobie, każdy z nas z osobna, swoich korespondentów z kraju: czy w listach matki-staruszki, siostry, przyjaciela, kolegi nie drży utajone pytanie: "co myślicie, drodzy? Co będziecie robić? Co nam radzicie?", czy też płyną i pouczenia? Owszem, ja od pewnej kategorii korespondentów otrzymuję i pouczenia. "Przeżywamy bezkrwawą rewolucję; nie jest to miły proces, zwłaszcza, że poczęty obcą przemocą, ale konieczny" — pisze jeden; "ofiary są, nie wszystko może nam się podobać" — pisze inny — "ale nie ma wielkich dzieł bez ofiary, a w Polsce pełnią się wielkie dzieła". Mógłbym cytować naręczami, ale po co? To, według was, karierowicze. Im przecie nie ślubujecie pokory, ich "bezwstydnym lokajskim wynurzeń" nie uważacie, słusznie zresztą, za wolę kraju. A tamci, którzy wam się podobają? Iluż najbliższych, których kochamy, których nie zobaczymy już nigdy — na was ma podniesiony wzrok. Ileż otrzymujemy żarliwych listów — "nie przysyłaj paczek, napisz co myślisz, co będzie?" Widzimy ich, tych drogich nam nad wszystko, jak biegną do siebie z naszymi ostroż-

nymi listami, wczytują się w ukrytą treść, rozszyfrowują polewane słowa — całą siłą miłości, całą siłą wspomnienia ("on zawsze tak mówił, kiedy chciał powiedzieć, że...", "on takiego wyrażenia w tym sensie nigdy by nie użył"). Czy nie tak są czytane nasze listy?

Obrzucali Mikołajczyka powóz kwiatami, odprzęgali z tego powozu konie, bo wiózł tego, który od was przyjechał.

Umacniali się żarliwą modlitwą duszy:

*„Może ten człowiek, przeciągany triumfalnie rynkiem krakowskim uda, że nie widzi kamienia, na którym ongiś przysięgał Kościuszko — udamy i my, że go nie widzimy”.*

*„Może nie wyciągnie złotego rogu, który niewątpliwie dzierżą ręce braci na Zachodzie — będziemy udawali, że nie czekamy na hasło”.*

*„Może uda, że zagubił czapkę z piór — niech mu z tym łeż będzie, podeprzemy”.*

*„Na wszystko pójdziemy, na mękę czekania, na trwanie, na bezsilne patwienie, na codzienną pracę — bo wy tam, w błasku swobodnego świata, czuwacie”.*

I nagle — tacy wspaniali, tacy niezależni od Anglików, tacy jasnowidze wobec Rosji, tacy nieubłagani wobec reżimowców, tacy pełni ostracyzmu dla emigrantów mah-jongiści zacierają rączki, certują się przed progami: "Ależ gdzie tam... Ależ my niegodni... Ależ rodacy szanowni... pierwszy kroczek..."

Pierwszy kroczek! Już raz go dali krajowi — przy decydowaniu o wybuchu powstania Widząc chyba, jak tu sprawy stoją. Czy nie?...

Nie, nie okłamujcie nas. To nie kraj od nas żąda podporządkowania, to wy sami, żeby osłonić swoją nicotę i bezsilę. Obniżyliście tak wpisowe do emigracji politycznej, zabrnęliście w tak komicznego, niepojętego dla normalnego człowieka mah-jonga, tak rozdrapaliście grosz publiczny dla podwórkowych celów, tak odcięliście duszę emigracji od myślenia, tak wywindowaliście się na wieże podniebnych fikcji i załgań, że jeśli tylko trzeba będzie złązić do jakiejś decyzji, trząść się zaczniecie i bełkotać: niech kraj pomoże złązić na grunt realny.

I to jest trzeci i najbardziej bolesny wasz kompleks niższości — wobec kraju, który chcecie wyzwolić.

Kraj nie pomoże wam, bo kraj będzie musiał bić się z tamtej strony barykady.

Pomoże wam — obcy drugi oddział. I neo-Churchill, który przyrzeknie neo-Hamburg, czy neo-humbug.



## Klub Trzeciego Miejsca

Kończę ten list, napisany jednym ciągiem, który się rozrósł w istną broszurę. Tak się rozrósł, aż, ze starego narowu, poprzedziłam go podtytułami, jak kiedy kucharka doda ornament na cieście, gdy je "wydaje na stół".

Pomyślawszy, że a nuż ten list zostanie wydrukowany, doznałem ściśnienia serca. Nie dlatego, że ma luki myślowe — nie ma ich tylko w komunałach; nie dlatego, że łatwo wyśmiać, naciągnąć i poprzekręcać obrazowy styl pisania, którego literatura polityczna unika — bo uważam, że to niebezpieczeństwo warto jest ponieść wzamian za możliwości trafienia do serca i wyobraźni czytelników w tej straszliwej międzyepoce, kiedy rozumowanie nie wystarcza, a tabliczka czterech działań arytmetycznych nagle daje mylne rozwiązanie.

Nie dlatego, że obfitują momenty osobiste — bo nie tkwiąc w żadnych władzach, pędząc tryb życia na skutek pracy w domu bardzo wyizolowany, w wielu wypadkach mogłem swoje twierdzenia ilustrować tylko dostępnymi dla mnie faktami z życia mego i najbliższego otoczenia.

Ale dlatego doświadczam ściśnienia serca, że dla wielu ludzi, których tak bezwzględnie krytykuję mam wyrozumienie; i dlatego, że pisząc, wołam piórem wspierać jak rozwalać. Ta moja dośrodkowa predyspozycja przejawia się nawet, kiedy piszę o obcych: o Żydach w "De Profundis", o bolszewikach w "Opierzony Rewolucji", nawet o Niemcach w licznych ustępach "Smętka". Jeśli więc myślę, że swoim piórem mogę przyczynić się do rozbijania, nic dziwnego, że obracam pióro z namiętnością. Ale zrobiłem rachunek sumienia dokładny.

A więc, poczynając od ludzi, dla których mam wyrozumienie:

To co napisałem, jest zbudowane w pewnej części na wypowiedziach w cztery oczy, listach przyjaznych, aktach dobrej woli w stosunku do mnie. Staralem się zakamuflować nazwiska, ale jeśli którego z nich nie odcyfruje czytelnik, to zawsze odcyfruje zainteresowany. Idąc za tokiem książki, przytwierdzając jej w myśli, trafi nagle — na siebie. Będzie uważał, że postawiłem mu zniekształcające zwierciadło i w tej że chwili przejdzie do zwartego szeregu przeciwoobrony mah-jongistów, kundli, histrionów, tropicielei Komanczów, belfrów narodowych, niobizujących leniów, dziadów demonstrujących kalectwa przed kościołami, bridgistów, operowych Wallenrodów, synekurzystów, złodziejasków, agentów czynnych i agentów potencjalnych, kondotierów in spe i wieszczów próbujących wlotów na wytchłych pęcherzach. Przyłączy się do nich, korzystając z mojej dyskrekcji, aby jako "osoba niezainteresowana" potępić "obiektywnie" to, co napisałem.

Przyjaciele — nie róbcie tego. Nie ze względu na mnie —

w deszcz nie ma znaczenia dodatkowa strużką wody. Ale ze względu na siebie — nie zamykajcie sobie możliwości wstąpienia do Klubu Trzeciego Miejsca. Żadna was tam kariera nie spotka. Nie dożyjecie w tym klubie jego czasu. Ale jedno wam ten klub może dać — otwarcie okien. Jeśli was dusi astma mah-jonga, to jej się pozbędziecie. To wam obiecujemy łatwo. Jeśli was dusi położenie Polski — to recept nie znajdziecie. Ale znajdziecie jedno: jesteście, jak górnicy, którzy kuli w kopalni, aż się zawaliły ściany jej. I niektórzy mówili, że wybawienie za cienką ściankę i nie frasowali się; i mijali dni, a kiedy panowała ciemność, poczuli zasypiani majaczyć, a byli, co w skrytości mówili: otośmy zgubieni. Ale znaleźli się, którzy powiedzieli: "Wiemy, że za tą ścianą, u której darmo czekacie, jest noc i będzie noc. Ale pójdźmy dalszą drogą i zobaczymy czy wyjścia nie ma. Od ojców bowiem to wiemy i od ich ojców ojców, że przysypiany nie ma czekać, tylko iść, aż obaczy światelko. I od ojców to czucie mamy i od ojców ojców w jakiej stronie calizna, a w jakiej przejście. Prawda, że od wieków takiego zasypiania nie było; a przecież pójdźmy a próbujmy!"

Nie lekceważcie tej oferty. Zastanówcie się. Podeprzyjcie ludzi, których pisanie jest potępione, bo wiedźcie, że potępiają ich rozporządzający piśmami, stowarzyszeniami, głosnikami — że nie potępia ich uczciwy człowiek na emigracji.

Czy znaczy to, że kierownicy tej emigracji, do których zaliczacie siebie są gorsi, niż ogół tej emigracji? Teraz, kiedy szumowina rządząca przez lata wojny spłynęła? Kiedy wśród was mamy mniej ludzi przypadkowych, a więcej takich, którzy wykazała się mogąca całożyciowym świadectwem pracy i poświęcenia?

Znaczy więc to tylko, że w sytuacji ponad ludzkie siły trudno wam było, a często niemożliwie nie dać się spychać w dziedzinę fikcji, skoro w dziedzinę fikcji zepchnięto niepodległość, której całe życie służyli jedni z was, solidarność międzynarodową świata pracy, która była przedmiotem całożyciowej wiary dla innych, braterstwo, dobroć, uczciwość, poświęcenie. Jakże się dziwić, że idąc za tymi "fikcjami", będąc im wierni, doszliśmy do ślepego kąta starej epoki, w którym szalejąca międzyepoka ustawiła wam stoliki do mah-jonga.

Specjalnie z ciężkim sercem pisałem o prasie, bo tu moich ostrych słów nie dało się zakamuflować, mimo, że — z jednym wyjątkiem, którego nie udało mi się pominąć — nie wymieniałem tytułów ani nazwisk.

Jeśli dla prasy tej mamy słowa potępienia, to dla ludzi, którzy ją dźwigali, przede wszystkim musimy znaleźć wyrazy zrozumienia i serdecznego braterskiego współczucia.

Nieraz powtarzamy, że nasz osąd względem postępowania ludzi, którzy przeszli tortury musi być powściągliwy, bo nie znamy właściwej miary bólu fizycznego, bo nie znamy granicy wytrzymałości.

Ten, mniej więcej, stosunek, winniśmy mieć do naszej pracy emigracyjnej.

Miałem to "szczęście", że przez lata wojny nie dano mi w tej prasie emigracyjnej pisać, ten wielki zaszczyt, że do pracy kierował własnoręcznie podpisane listy premier, zabraniając drukować moich artykułów, że na Middle East wysyłał w tym samym celu depesze minister wojny, że pomniejsze pieski, czując wiatr, z własnej inicjatywy rozspypywały zamówiony nieopatrnie i złożony już przez zecera artykuł traktujący o najobojętniejszych sprawach, że usłowano zesałać mnie do Afryki, grożąc odebraniem miesięcznego sześciofuntowego "bilietingu", że zabroniono prywatnej inicjatywie wydać (w marcu 1940 r., kiedy świat nie rozumiał, co znaczy uderzenie niemieckie, a my leżeliśmy zapluci po *achtzehn Tage Feldzug in Poland*) "Zagwiącego Września" po polsku, jak również po francusku i angielsku gotowych już tłumaczeń, że do końca nie akredytowano mnie jako korespondenta wojennego, napisanie więc "Bitwy o Monte Cassino" było nadużyciem, które nie wiem, czy mi minister wojny darował.

Odcięty od publicystyki, nie stanąłem, jak inni, w tej straszliwej izbie tortur, kiedy, dzień po dniu, ręce aliantów i wrogów zdzierały z Polski purpurę, kiedy "Wiadomości" szarpały się, wbrew pogrózkom swoich i obcych, walczyły do ostatniego naboju, do ostatniej możliwości, aż do samej chwili zamknięcia. Kiedy Zygmunt Nowakowski całym natchnieniem pisarskim, chłostą, goryczą, żalem, pomstą, krwią serdeczną kładł się na progu ludziom, przekraczającym próg czwartego rozbioru. Kiedy Mackiewicz, sam zupełnie, skazany na jedno-niówki, borykał się racami swego talentu — jednodniówkami tytułowanymi nazwami miesięcy. Kiedy nieustępliwego proniemieckiego Studnickiego (obecnie publicysta emigracyjny) Niemcy musieli izolować, broniąc się przed jego piórem, piórem pisarza samotnego przez całe życie. Kiedy Grydzewski — pasja najszlachetniejsza — wolał druzgotać dzieło tej swojej pasji, niż ustąpić.

Mnie tego wszystkiego oszczędzono. A gdybym mógł pisać, czyż miałbym czoło ich wówczas pouczać? Kiedy spadały, cios za ciosem, wiadomości o Katyniu, o pakcie z Rosją, o The-ranie, o Jałcie, o zdradzie!... o zdradzie!... o opuszczonym powstaniu. Jakież by czoło trzeba mieć wówczas, aby pouczać (wtedy!...) o międzyepoce, o fałszywym torze, o nieaktualności hasła niepodległościowych w dawnym ujęciu, o "trzecim miejs-cu"? Czyż można wyobrazić, żeby w takich chwilach naród nie protestował, rozumował? Żeby nie wzdał się wał niepo-wrotu półtora miliona ludzi? Żeby wraz z narodem nie protestowali jego pisarze?

Ale z nimi — nie byłem. Należę do "smutnych pół rycerzy żywych".

I jak cześć mamy dla ciężko okaleczonych inwalidów, tak cześć powinniśmy mieć dla tych zdartych w walce publicystów.

Jeden z nich przysłał mi odpis pisma do jednej z emigranckich redakcji, w której uprzedza, że jeśli się okaże prawdą, że podpisałem umowę wydawniczą z "Czytelnikiem", to on odmawia współpracownictwa.)\*

Czy miałem się oburzać? Odpowiedziałem listem pełnym szacunku, powiadając, że "z prawdziwą przykrością muszę zdecydować się na zerwanie naszej znajomości osobistej. Proszę wierzyć, że pobierając tę decyzję, daleki jestem od chęci dotknięcia Pana. Chciałbym jedynie na przyszłość nie zamącać sobie pracy odpowiadaniem na tego rodzaju korespondencję".

\* Sądzę, że to będzie nasz najwłaściwszy stosunek do tych ludzi o poszarpanych nerwach: nie rzucać na nich kamieniem, ale stanowczo sprzeciwić się, by nam pracę mącili.

Skoro się było zmuszonym nie oszczędzać i ludzi, w gruncie rzeczy, sobie bliskich, należałoby powtórzyć za Kochanowskim: "Przyjacielowi więcej, niż prawdzie chcieć służyć, zda się przeciw przystojności".

To — ludzie. A sprawa?

Skoro się bije w pisma i instytucje emigranckie, podkopuje się kredyt dla liderów, kiedy, w przede dniu rozgrywki, nawołuje się do neutralności, a w zamian daje się sformułowania, które tak zdają się nie wystarczać, jak nie wystarczała rada Dmowskiego w czasie pierwszej wojny?

Toteż trudno było napisać tę rozprawkę nie zrobiwszy najrzetelniejszego rachunku sumienia na jaki było autora stać. Wynikiem tego rachunku sumienia jest, że emigracja w tej formie duchowej reprezentuje nie wiele i reprezentować będzie z roku na rok coraz mniej. Jeśli zaś reprezentuje wartości godne utrwalania, to się o te wartości broszura pojedynczego człowieka rozbije i przez to samo te wartości pogłębi.

Reprezentują coś — Polacy na emigracji. Nie masą swego istnienia. Rosyjska dwumilionowa emigracja nic masą swego istnienia nie reprezentuje, chociaż stoi za nią zagadnienie szóstej części globu, chociaż, przynajmniej do 1927, wpływ jej na rządy, a przynajmniej wywiady był głębszy, niżby można przypuszczać. Ich ambicje "kontynuowania legalizmu" i rozważania kto ma prawo do tronu nikogo dziś nie interesują.

Nasza obecność po tej stronie barykady jest szacownym symbolem, ale jeśli wietrzenie tego symbolu ma być hamowane, to musi on być podbudowany zsumowaniem ciężarów gatunkowych poszczególnych jednostek. Nadmierne przywiązanie wagi do

\*) Wystarczyło mi, po prostu, spytać, aby się dowiedzieć, że odmówił zgody na ponowny przedruk «Smętka». Zgody tej zresztą na pewno był udzielił, gdyby nie obawa, że pod tą propozycją może tkwić ukryte subsydium, był to bowiem czas, kiedy p. Borejsza zapraszał mnie na wy-cieczkę do kraju, gwarantując auto do rozporządzenia, fotografa, sekretar-kę, nie stawiając żadnych zobowiązań wydawniczych i nie sprzeciwiając się, bym zebrany materiał drukował na emigracji.

znaczenia legalizmu jest tylko jednym z zabiegów, aby odciążyć poczucie odpowiedzialności za swój ciężar gatunkowy każdego z nas i obniżyć wpisowe do emigracji politycznej.

Te wieczne kłótnie dookoła symboliki mogą skończyć się w dosyć nieoczekiwany, a w gruncie rzeczy jedynie logiczny sposób, kiedy z chwilą wybuchu wojny alianci zdecydują, kto jest wodzem narodu.

Ten wódz będzie miał fizyczną możliwość karania za uchylanie się od wojska, będzie więc miał posłuch z poczucia dyscypliny obywatelskiej.

Ten wódz będzie miał pieniądze i będzie wielbiony z serca.

I będzie miał pierwszorzędną *pedigree* "nieprzerwanie legalnej kontynuacji" ze wszystkimi polskimi i alianckimi pieczęciami.

Kiedy byłem na pogrzebie prezydenta Raczkiewicza, widziałem honorowy oddział pekapeerowych barakowców z bronią wypożyczoną na tę uroczystość przez Anglików. To czepianie się fikcji wniosło niepotrzebny popiół upokorzenia. Panowie Zaleski i Arciszewski nie podali sobie ręki nad grobem. Pano wie z "miniatury" byli ubrani pro forma w takie krawaty, kapelusze, spodnie, jak właśnie trzeba.

A skromny Polak uczestnik lepiej by się poczuł, by nie małpowano tym, czym się małpować nie godzi — żołnierzem, nie zamartwiłby się, gdyby komu zabrakło sztywniaka i żeby, po prostu, stanęła nad grobem skupiona gromada ludzi. Nie radców, nie ministrów, nie generałów z "miniatury" — a ludzi, naturalnego wymiaru ludzi.

Czy postępuję nieodpowiedzialnie, pisząc to wszystko? Przecież — piszę, czy nie piszę — kiedy zagrzmią dwa złote rogi, pójdą Polacy za nimi. Po cóż więc oburzenie? I tu i tam "jednostki kierownicze" będą miały znaczenie, stanowiska, pieniądze. Mało tego — i tu i tam będą one po swojemu w pewnym stopniu potrzebne. Daj nam Boże, żebyśmy po tamtej stronie wyprodukowali jak najwięcej Polaków-komisarów, administrujących "grenadzkimi powiatami" i kolekcjonujących grenadzkie zegarki, a po tej Polaków-unrowców, podkradających konserwy.

Będziecie mieli to wszystko. A że ta broszura obciąży was nieco odpowiedzialnością, to i lepiej.

My — kandydaci Klubu Trzeciego Miejsca wiemy, że każdy czyn jest lepszy, niż bezczyn. Że śmierć nie tylko każdego legionisty walczącego po złej nawet ideologicznie stronie, ale każdego nawet kondotiera kupionego przez tę stronę jest ważniejsza, niż śmierć stu biernych Polaków w obozach koncentracyjnych. My więc nie będziemy was klęli...

Ale chcemy skupić tych, którzy z neutralności nie będą robić zastony dla bezwładu. Którzy cały ciężar odpowiedzialności za cały naród będą nosić na sobie, na plecach, w dniu codziennej i nieustępliwej pracy, nie składając go w przechowalniach legalistycznych, partyjnych, kombatanckich czy innych aż do

momentu, kiedy któryś tam złoty róg da znać, że czas siadać do wagonu.

Nie wiem, ilu się takich ludzi znajdzie, gotowych ciężko płacić. Ale wiem, że tylko na nich i na ich duchownym spadku spocznie cały ciężar tego, co wniosą Polacy w nową epokę.

Melchior WAŃKOWICZ.

R. D. 3

Lakewood, New Jersey.

U.S.A.

Przedruk nawet w wyjątkach wzbroniony.

Copyright by Melchior Wańkowicz and Kultura.

## „POLSKA WIERNA”

jest najstarszym i najpoczytniejszym

tygodnikiem społeczno-religijnym

Polaków na Obczyźnie

Cena pojedynczego egzemplarza ..... 15 Frs.

Prenumerata kwartalna ..... 180 Frs.

Zamawiać: 263-bis, rue St-Honoré — PARIS 1<sup>er</sup>  
C.C.P. 4955-03

## EASTERN QUARTERLY

niezależne pismo w języku angielskim, poświęcone sprawom Europy Środkowej i Wschodniej oraz sprawom Bliższego i Środkowego Wschodu. — Numer za pierwszy kwartał 1949 roku zawiera m. in. artykuły:

**Tendencies towards integration and regional federal movements, The soviet militarism, Estonia, The Cominform and Jugoslavia**, oraz szereg ciekawych recenzji, jak również kronikę ważniejszych wydarzeń politycznych.

Cena: 3/- za pojedynczy egzemplarz (post free, Air Mail extra), prenumerata roczna 12/-.

WYDAWCA: The Morven Press Limited, 32, Bolton Gardens, London, SW 5.

**P O L S K A**  
**PLACÓWKA KSIĘGARSKA W ARGENTYNI**  
**SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ**  
w **BUENOS AIRES, Av. Leandro N. Alem. 641**

zapewnia emigrantowi stały dopływ dobrej polskiej lektury oraz najpoważniejszych polskich czasopism wychodzących na emigracji, m. in. **KULTURY**, **WIADOMOŚCI i ORŁA BIAŁEGO**.

CURZIO MALAPARTE

# HISTORIA JUTRA

*(Storia di domani)*

Przełożyła **ZOFIA HERTZ**

INSTYTUT  
PARYŻ



LITERACKI  
1 9 4 9

## Rozdział pierwszy

Kiedy ciężkie kraty więzienia *Regina Coeli* zamknęły się za moimi plecami, powiedziałem sobie: "Tym razem koniec".

Po trzymiesięcznej, bez wytchnienia, ucieczce przed inwazją sowiecką poprzez Europę, po tylu wzruszeniach, tylu przygodach i tylu niebezpieczeństwach skończyć w *Regina Coeli* wydawało mi się zakończeniem najbardziej śmiesznym i żalnym. Dozorca więzienny, znający mnie od wielu lat, nie wydawał się zdziwiony zobaczywszy mnie znowu: uśmiechnął się do mnie, nie wiem czy ze współczuciem czy ze złośliwością i poprowadził w górę, po schodach 4-go skrzydła; wszedł na ostatnie piętro i zatrzymał się przed celą nr 461. Była to ta sama cela, w której byłem zamknięty przez tyle miesięcy w 1933 roku, zaś akurat naprzeciw niej była ta, gdzie kilka lat później odnalazłem Alicata, Cesariniego Sforza i dwóch braci Puccini, Montagnani'ego, który został potem wiceburmistrzem Mediolanu oraz innych komunistów pierwszego i ostatniego okresu. Kogoż tam znajdę tym razem? Dozorca otworzył drzwi, odsunął się na bok i powiedział: "Proszę wejść". I wszedłem.

Na sienniku siedział człowiek, którego w pierwszej chwili nie mogłem rozpoznać, ponieważ odwrócony był plecami do okna. Ale gdy tylko moje oczy przyzwyczały się do szarego, brudnego półcienia celi, poznałem w moim towarzyszu Alcida De Gasperi. Dawny Prezes Rady Ministrów siedział z głową spuszczoną, skulony, ręce miał zaciśnięte na kolanach. Obejrzał mnie od dołu do góry i zdawało mi się że mnie przeszywa na wylot, uśmiechając się ponuro. "Cóż on ma do mnie?" — pomyślałem. Przestałem się przejmować, nie zależało mi na tym, czy on ma coś przeciwko mnie, czy nie, byłem mimo wszystko przyjemnie zdziwiony. Spojrzałem na niego i roześmiałem się. Po raz pierwszy widziałem go z bliska. Nigdy dotąd nie miałem z nim nic do czynienia, ni w dobrych ni w złych czasach i nie widziałem żadnej przyczyny, by mógł mieć coś do mnie. Roześmiałem się i De Gasperi podniósł głowę przyglądając mi się uważnie.

W tym momencie, gdy poruszył głowę, zrozumiałem, że przyglądał mi się tak badawczo nie wskutek jakiegoś złośliwego podejrzenia, ale ponieważ jedno szkło w jego okularach było stłuczone, dotknął ich żeby mi się przyjrzeć, zmrużył oko i całą siłą wzroku przerzucił na drugą soczewkę, która mu pozostała. Przywitałem go uprzejmie, powiedziałem swoje nazwisko, na jego dźwięk, De Gasperi zaczerwienił się.

Montagnani — komunista, szwagier Togliattiego.

De Gasperi — szef stronnictwa demo-chrześcijańskiego, obecny premier.

— Pan tutaj? — powiedział, i wydawał się bardziej zadowolony niż zdziwiony. — Myślałem, że Pan jest na wolności, w Paryżu — dodał i zapytał mnie w jaki sposób udawało mi się przez tyle czasu unikać szponów rosyjskich, gdzie ukrywałem się w ciągu tych trzech straszliwych miesięcy i w jaki sposób skończyłem we Włoszech, w Rzymie, w tym miejsu.

Opowiedziałem mu pokrótce moje przygody, mój marsz bez wytchnienia poprzez Francję z Paryża aż po Pireneje, tłum uciekinierów przed zamkniętą granicą przez Anglików i Amerykanów, wreszcie aresztowanie w Rzymie na skutek donosu jednego z trzech moich najdawniejszych, najwierniejszych i drogich przyjaciół i smutny kres w *Regina Coeli*.

— I Panu Bóg pomoże — powiedział De Gasperi, obejmując mnie ze wzruszeniem. Potem chciał bym mu opowiedział co zaszło we Francji.

— Zanim opowiem co wydarzyło się we Francji, odrzekłem, powiedz mi, jak stoją sprawy we Włoszech. Tymczasem, aby zacząć, opowiedz mi wszystko o sobie, od chwili, gdy już nie ma żadnego powodu, by zaczynać od siebie.

— Zaczniemy wszakże od ciebie — powiedział De Gasperi, uśmiechając się słabo — od chwili, gdy jest wiele powodów, by zaczynać od ciebie. — I dodał, że w całych Włoszech wszystko poszło tym trybem, jakim zawsze idą rzeczy u nas: Włosi, jako naród zręczny, w porę nastawili uszu, i tym razem nie dali się zaskoczyć wypadkom. W kilka chwil stali się komunistami.

— A czym mieli zostać? — powiedziałem. Włosi są narodem o zdrowym rozsądku.

De Gasperi dotknął okularów, przesunął wolno ręką po twarzy i patrząc na mnie dobrymi oczami krótkowidza, opowiedział, że w pierwszych dniach było trochę zamieszania, że wielu niewinnych, jak to zwykle bywa, straciło życie i opinię, specjalnie w dolinie Po, w Toskanii i Apulii i że najbardziej nikiemni i skompromitowani ukazali się, jak zwykle, jako najbardziej nieprzejednani i surowi. Potem wszystko wróciło do normalnego stanu dzięki szybkiej interwencji Rosjan, którzy rozbroili i rozwiązali Gwardię Czerwoną Longo oraz zesłali do więzień najbardziej zapalczywych komunistów. W chwili gdy wszyscy stali się komunistami, cóż do roboty mieli komuniści? Ochoczość tej uniwersalnej zmiany frontu głęboko zdumiała Rosjan: cóż za naród, ci Włosi! Biedni Rosjanie nie wierzyli własnym oczom. Całe Włochy w kilka chwil tak się zaczerwieniły, że sam Secchia wydawał się wyblakłą różą.

— A więc Togliatti miał rację, zapewniając, że komunizm we Włoszech nie jest kwestią siły, ale zręczności? — powiedziałem.

— A we Francji? — zapytał De Gasperi.

— Francuzi, jak zwykle, byli o wiele mniej zręczni od nas.

Secchia — komunista wyszkolony w Rosji, jeden z kandydatów na przywódcę Partii.

Togliatti Palmiro — prof. filozofii, szef włoskiej partii komunistycznej.

Najpierw nie zrozumieli co się stało i w ten sposób stracili kilka drogocennych chwil. Naród francuski został wprowadzony w błąd naiwnym przekonaniem, niewinnie podtrzymywanym przez propagandę optymizmu, że Rosja Sowiecka nie ośmieli się zająć Francji ani zniszczyć wielkiej demokracji francuskiej i że, gdyby nawet zajęła Francję, będzie miała szacunek dla uczuć narodowych i wolności demokratycznej narodu. A w rzeczywistości czy przypadkiem nazwa *Vichy* nie jest częścią najbardziej ważną nazwiska *Vichynski*?

— Ale proletariat francuski — zapytał De Gasperi, — jak przyjął wojska sowieckie?

— Tak samo jak we Włoszech i w całej Europie: z wielkimi manifestacjami entuzjazmu, mając nadzieję, że w ten sposób uda mu się odukc na tych reakcyjnych elementach drobno-mieszczanskich, które kilka lat przedtem, w podobnej koniunkturze, współpracowały z niemieckimi okupantami. Ale jakież było rozczarowanie i oburzenie proletariatu francuskiego, gdy się spostrzeżono, że właściwie idzie prosto o okupację niemiecką! Chcę powiedzieć o okupację Niemców pod maską Rosjan. Gubernator sowiecki Paryża, marszałek von Paulus...

— Von Paulus? Hitlerowski feldmarszałek, pokonany pod Stalingradem? — wykrzyknął De Gasperi.

— On we własnej osobie, — odpowiedziałem, — i cóż w tym dziwnego? Ale zostawmy na razie Francuzów i powróćmy do Włochów. Chciałbym wiedzieć dlaczego twój Rząd nie zrobił nic aby zażegnać niebezpieczeństwo inwazji bolszewickiej?

— Zrobiłem wszystko, co jest w ludzkiej mocy — odpowiedział De Gasperi przytłumionym głosem, — ale cóż można zrobić z historią Włoch?

— Historia Włoch? Czyż do tej chwili nie możesz zrozumieć jeszcze, co to jest historia Włoch? Czy chcesz, żebym cię jej nauczył w kilku słowach?

— Będę ci bardzo wdzięczny — odpowiedział De Gasperi ze smutnym i ironicznym uśmiechem.

— W 1918 — powiedziałem — Włosi nareszcie stali się pełnoletnimi. Powrócili z wojny w długich spodniach. Przyszedł Mussolini i zmusił ich do włożenia krótkich porteczek. Gdy Mussolini upadł, Włosi wrócili z radością do długich spodni. Potem przyszedłeś ty i kazalesz im znowu włożyć krótkie. Przyszli Rosjanie i Włosi na nowo wciągnęli długie spodnie, myśląc... Ale źle obliczyli i Rosjanie od razu zmusili ich do powrotu do krótkich spodenek. Od wieków historia Włoch jest historią krótkich i długich spodni. Cóż więc dziwnego, że oscylując między długimi a krótkimi spodniami, Włosi nie wiedzą już sami co robić, a jeśli nawet coś robią, to czy chociaż wiedzą co robią? To jest także twoja wina, drogi Alcide: żebyś pozostawił Włochów, tak jak ich zastałeś, w długich spodniach, być może, że Rosjanie nie zajęliby Włoch.

— I ty myślisz — rzekł De Gasperi — że ja nie rozumiem twojej historii Włoch? Moim błędem było to, że wierzyłem, że uda mi się za jednym zamachem skończyć z tą sprawą krótkich i długich spodni. Cała moja polityka zmierzała w rzeczywistości do tego, by włożyć Włochom spódnice. Ale nie udało mi się. Rosjanie na pewno uszanowałyby naród w spódnicy.

— Rosjanie — powiedziałem — gwizdzą nawet na sutanny.

— Ach! Nawet ja to zauważyłem, westchnął De Gasperi.

— A co z Papieżem?

— Ojciec Święty — odpowiedział De Gasperi zgrzyzionym głosem — jest więźniem w Watykanie, chroniony żelaznym ogrodzeniem i kordonem sowieckich żołnierzy; ale poza tym zdaje się, że Rosjanie mają zamiar go uszanować — przynajmniej na razie. Europa zachodnia jest w swojej wielkiej części katolicka, a narody Ameryki południowej żywią dla Papieża synowskie uczucia. Byłoby wielkim błędem Kremla, gdyby znieważył uczucia religijne katolickich krajów, zajętych przez wojska sowieckie i zaryzykował popchnięcie Południowej Ameryki, w tej chwili neutralnej, w ramiona Waszyngtonu. Wskutek tego, polityka rosyjska nie zaniedbuje żadnego środka, aby przekonać międzynarodową opinię publiczną, że stosunki pomiędzy Watykanem a ZSSR układają się serdecznie. Dowiesz się zapewne zanim minie kilka tygodni, że świat uwierzył, iż Papież przeszła się na stronę Rosji sowieckiej...

Następnie De Gasperi cichym głosem opowiadał mi dalej, że władze sowieckie usiłowały przekonać Ojca Świętego, aby wyszedł z Watykanu i by, niesiony w lektyce po ulicach Rzymu, udzielił swego błogosławieństwa apostołskiemu ludowi rzymskiemu. Papież naturalnie odmówił, nie mając zamiaru być przedmiotem żartów polityki sowieckiej, i odpowiedział, że od chwili, gdy został więźniem spodziewa się, że będzie traktowany jako więzień, dodał przy tym, że zgodziłby się błogosławić lud rzymski tylko w tym wypadku, gdyby okupacyjne wojska sowieckie, choćby na kilka godzin, opuściły miasto.

Władze rosyjskie udały, że odmowę Papieża przyjmują dobrodusznie; jednakowoż kilka dni potem ogłoszono oficjalnie, że w najbliższą niedzielę Ojciec Święty wyjdzie z Watykanu i niesiony ulicami Rzymu, udzieli błogosławieństwa apostołskiego ludowi.

I rzeczywiście następnej niedzieli, Papież opuścił Watykan w lektyce, otoczony swoją Gwardią Szlachecką i gęstym poczem Szwajcarów, przyjmowany przez nieprzebrany tłum ludzi, kleczących na Placu Świętego Piotra i w Borghi. Cisza pomiędzy Świętym Piotrem a Zamkiem Świętego Anioła była po prostu przeraźliwa. Od niepamiętnych czasów nie było w Rzymie takiej ciszy jak ta: ciepła, drgająca, jak olbrzymia bestia zaczajona w tłumie. Tylko gdzieś dawał się słyszeć od czasu do czasu zdławiony jęk, wstrzymywane łkanie, odosobniony płacz dziecka.

Ale ni stąd ni zowąd, przy wejściu do dei Borghi, najpierw jakaś stara dewotka, potem jakaś kobieta ciężarna, potem jakiś braciszek, potem grupa mieszczan, a następnie wszyscy zaczęli szeptać i mówić, jeden do drugiego, coraz głośniej: — To nie jest On! to nie jest On! — aż nagle cały olbrzymi tłum kleczących podniósł się krzycząc i wrzeszcząc pod niebiosa, że ten to nie Papież, ale przebrany Rosjanin. I najbardziej spokojni przewrócili żołnierzy papieskich, którzy okazali się także Rosjanami przebranymi za Szwajcarów, fałszywą Gwardię Szlachecką i rzucili się jak wilki na Ojca Świętego, zrzucili go z lektyki, skopali i opluli. Bóg jeden wie co stało by się z tym nieszczęsnym Papieżem, gdyby nie to, że wzięwszy nogi za pas, ukrył się za bramą Watykanu.

— Szał ludzi był tak wielki — zakończył De Gasperi wzruszonym głosem — że jeszcze drzę na myśl co by to było, gdyby fałszywy Papież okazał się Papieżem prawdziwym.

— To by sobie na to zasłużył! — wykrzyknąłem.

— Posuwasz się za daleko — odrzekł De Gasperi — w każdym razie ten Papież był Rosjaninem przebranym za Papieża i zasłużył sobie na lektycę. Ale gdyby to był Ojciec Święty we własnej osobie!... A wiesz, jaką korzyść wynieśli Rosjanie z tej maskarady? Otóż dzisiaj, jeżeli Togliatti ośmielił się przemawiać publicznie, tłum przyjmuje go śmiechem, nie wiedząc, czy to prawdziwy czy fałszywy Palmiro. Taką samą historią jak z Togliattim dzieje się z Longo czy z innymi komunistycznymi Secchiami. Są zmuszeni do pokazywania się w towarzystwie oficera przy wszystkich publicznych wystąpieniach, gdyż to potwierdza tłumowi ich prawdziwą tożsamość. Bez względu jednak na te sposoby, Włosi ciągle coś podejrzewają; zresztą nie jest rzeczą łatwą odróżnić Togliatti'ego przebranego za Rosjanina od Rosjanina przebranego za Togliatti'ego.

Uśmiełem się serdecznie z tego zabawnego opowiadania i nawet De Gasperi roześmiał się uprzejmie, przecierając oczy dłonią. A gdy tak śmieliśmy się, siedząc w ciszy na sienniku, zachód słońca gasił niebo nad dachami i kopułami Rzymu, a z brudnych zaułków, otaczających *Regina Coeli*, wznosiły się najpierw niewyraźne, a potem coraz głośniej niezliczone dźwięki, tysiączne upragnione odgłosy: płacz dzieci, krzyki dziewcząt, śpiewy intonowane surowymi głosami rzymskimi, szczekanie psów, muzyka radiowa i gramofonowa — wszystko to wznagało o tej wieczornej godzinie, smutek i gorycz w duszy więźnia.

— Gdyby Rosjanie nie mieli wspólników w Watykanie — powiedziałem głośno, aby przerwać smutek tej godziny — to myślę, że nie mogliby przeprowadzić takiej maskarady?

— Niestety, nie ma żadnej wątpliwości, że Rosjanie mieli wspólników w Watykanie, — odpowiedział De Gasperi. — Kiedy nadejdzie dzień, że można będzie wiedzieć...

— Zdrajcy na stopniach tronu Świętego Piotra? — wykrzyknąłem.

— Niestety, zbyt późno odkryto prawdziwą partię komunistyczną także w Watykanie, i to bardzo silną, o wiele potężniejszą od amerykańskiej.

— Nigdy nie miałem zaufania do biskupów — wtrąciłem.

— Tym razem sprawa dotyczy purpury kardynalskiej — powiedział De Gasperi i zamilkł.

— A Einaudi? — zapytałem po długiej przerwie.

— Einaudi? Jaki Einaudi?

— Einaudi, Prezydent Republiki.

— Ah, o nim mówisz! — wykrzyknął De Gasperi i dodał: — Cóż miał robić? To jest pocziwiec. Inny w jego sytuacji byłby uciekł pod pretekstem ocalenia Włoch. Ale Einaudi myślał, że dla ocalenia Włoch trzeba, by każdy pozostał na swoim posterunku. I dlatego sam się nie ruszył. Zamknęli go w Kwirynale, razem z żoną, synami i synowymi. No i czeka.

— Na co czeka?

Longo — komunista, zwolennik terroru.

Einaudi — prof. ekonomii, liberał, obecny prezydent Włoch.

— Czekaj aż go wyrzucą.  
 — A czy go wyrzucą?  
 — Dlaczegoż mieliby go wyrzucić? Przecież to jest uczciwy człowiek. Rosjanie nie wyrzucili nawet Republiki, która jest mniej uczciwa od niego.

— Nasza Republika nie jest zbyt republikańska — powiedziałem. — Gdyby to była Republika naprawdę republikańska, to możesz być pewny, że Rosjanie zabraliby już przynajmniej jej połowę.

— Kiedy byłem szefem Rządu — powiedział De Gasperi — wszyscy mi zarzucali, że nie stworzyłem Republiki prawdziwie republikańskiej. Jak widzisz — miałem rację. Ta przynajmniej do czegoś służy.

— A do czego?

De Gasperi machnął niezdecydowanie ręką i nic nie odpowiedział.

— A ty — zapytałem po kilku chwilach — w jaki sposób się tutaj znalazłeś? Czy zaarrestowali cię Rosjanie?

— Rosjanie? Jacy Rosjanie? Ah, racja! Nie, mnie nie Rosjanie zaarrestowali.

— Gotów jestem założyć się, że ciebie kazał zaarrestować Scelba.

— Scelba? Czy wierzysz, że to był Scelba? — zapytał De Gasperi, patrząc na mnie dziwnym wzrokiem — dlaczego właśnie on miałby zaarrestować właśnie mnie.

— A cóż ma zrobić dobry minister spraw wewnętrznych? — odpowiedziałem — kiedy mu zwali się na głowę rewolucja albo inne nieszcześcia tego typu i kiedy już sam nie wie co ma począć? Wtedy arestruje głowę Rządu.

— To, że zostałem arestowany, jest pewne, ale nie mogę uwierzyć i nie uwierzę, że to stało się na rozkaz Scelby. Trzeba mieć dużo wyobraźni, aby arestować ludzi, a Scelba jest człowiekiem pozbawionym wyobraźni. W każdym razie nie zostałem arestowany przez Scelbę.

— A więc przez kogo?

— Arestrował mnie Badoglio — rzekł De Gasperi cicho.

— Badoglio? — w jaki sposób? kiedy? gdzie?

— Byłem w moim biurze, w Viminalu — ciągnął De Gasperi — zajęty czytaniem raportów prefektów, omawiających groźną sytuację, jaka powstała we Włoszech w związku ze zbliżaniem się wojsk sowieckich do granicy na Brennerze. Nagle zatelefonował do mnie Badoglio, prosząc mnie, bym natychmiast przyszedł do niego. Mówił, że jest chory, że leży; przeproszał że nie może sam przyjść do mnie, co było nie tylko jego życzeniem, ale obowiązkiem. Mówił, że idzie o sprawę bardzo nagłą i największej wagi, o ratunek dla Włoch. Jego prośba i nalegania zdziwiły mnie. Badoglio nie zajmował żadnego rządowego stanowiska: był po prostu zwykłym obywatelem. Rozumiejąc jednak, że w tych tragicznych okolicznościach nie mam prawa zlekceważyć żadnej rady czy sugestii, niezależnie od kogo by pochodziła, gdyż mogła być ona wskazówką dla mojej działal-

Scelba — chrześc.-demokrata, obecny min. spr. wewn.

Badoglio — szef sztabu za Mussoliniego. Dokonał przewrotu w 1944 r. arestrując Mussoliniego.

ności politycznej i mogła wyjść na dobre narodowi włoskiemu — zdecydowałem pójść do niego natychmiast. W kilka minut później przekroczyłem próg willi Badoglia, na Via Salaria. Z najwyższym zdumieniem znalazłem go nie w łóżku, ale na nogach, w ubraniu — jak mi się zdawało — podróżnym. W kącie gabinetu zauważyłem kilka walizek, ustawionych na podłodze. Badoglio przyjął mnie bardzo serdecznie i oświadczywszy że według niego moje zadanie jest skończone, zapytał jakie powziąłem decyzje. Mogłem mu na to pytanie nie odpowiedzieć, ale uznałem za właściwe zwierzyć mu się, że zwołałem do Viminalu, na popołudnie, Radę Ministrów i że wieczorem oznajmię Izbie dymisję swoją i mojego Rządu. Jeżeli Izba ponownie udzieli mi votum zaufania, dodałem, pozostanę na swoim stanowisku; jeśli mi odmówi — odejdę. "Mówi się dużo o gabinecie Togliatti'ego" — zauważył Badoglio. — "Jedynie Togliatti — odpowiedziałem — jest zdolny do przeprowadzenia układów z Rosjanami". Życzę ci wszystkiego najlepszego. Tymi słowami zakończyłem dziwną i zbędną rozmowę.

Badoglio z największą uprzejmością towarzyszył mi do bramy willi, przed którą pozostawiłem mój samochód. Jakież było jednak moje zdziwienie, gdy spostrzegłem, że moje auto znikło, a na jego miejscu stoi ambulans. — Mam wrażenie, powiedział Badoglio, kładąc mi rękę na ramieniu, że dla twego dobra... To mówiąc wpechnął mnie silnie do ambulansu, który natychmiast odjechał z wielką szybkością. I oto jestem tutaj.

— Badoglio jest niepoprawny — wykrzyknąłem. — To prawdziwe szaleństwo. A gdzież on teraz jest?

— Kto? — zapytał De Gasperi, pocierając ręką czoło.

— Badoglio.

— Tego samego wieczoru uciekł z Rzymu, jak zwykle, do Bari.

— Do Bari?

— A dokąd miał jechać? Tam przynajmniej znał drogę.

— I cóż on robi w Bari?

— Nic. Czekaj. Rosjanie pozostawili go w spokoju, mając nadzieję prawdopodobnie, że nie dziś to jutro może się im na coś przydać. To jest maniak. Gdy tylko widzi jakiegoś premiera, od razu kombinuje, w jaki sposób i kiedy go zaarrestować.

Nagle usłyszeliśmy, że ktoś puka do ściany celi.

— To Scelba, powiedział De Gasperi. Nudzi się, biedaczek. Marzy, żeby poplotkować. Ale ja nie znam się ani na więzieniach ani na więźniach i nie umiem porozumiewać się stukaniem.

## Rozdział drugi

— Pozwól, że ja się tym zajmę — powiedziałem do De Gasperi'ego i zbliżyłem się do ściany — na tych rzeczach znam się o wiele lepiej, niż ty. Kostkami palców zacząłem stukać rytmicznie w ścianę, posługując się alfabetem, używanym w więzieniach włoskich.

— Czego chcesz? — zapytałem.

— Ja nic — odpowiedział Scelba — a kto ty jesteś?

— Jestem Malaparte.

— I ty tu wpadłeś? Nie myślałem, że jesteś aż tak głupi, wystukał Scelba.



— Nie wszyscy mogą być tak inteligentni, jak ty — rzekłem, dodając jednocześnie, żeby wziął szklankę, oparł ją dnem o ścianę i mówił cicho do środka. Żeby usłyszeć moją odpowiedź, wystarczy, jeżeli przytknie ucho do krawędzi szklanki.

— I cóż ty robisz w więzieniu? — zapytał Scelba głosem, który wydawał mi się jasny i lekko ironiczny.

— Myślę o tobie, mój drogi.

— Dziękuję. Jesteś naprawdę uprzejmy!

— Wpakowawszy taką masę ludzi do więzienia nie wierzysz, że aresztanci myślą o tobie?

— To prawda, — zauważył Scelba — ale tym razem to nie ja wsadziłem ciebie do więzienia.

— Co za szkoda!

— Rzeczywiście, wielka szkoda — rzekł Scelba — jutro rano zobaczymy się w czasie spaceru i porozmawiamy. Ale na razie powiedz mi co słyhać z zewnątrz?

— Pada deszcz.

— Więzienie jest najlepszym parasolem — zaśmiał się Scelba. Ja także zacząłem się śmiać, myśląc o Scelbie, mówiącym do szklanki, żeby go nikt nie usłyszał.

W tej samej chwili zadźwięczał dzwonek na ciszę.

— Dowiedzenia, do jutra — powiedziałem.

— Dobranoc — odrzekł Scelba.

De Gasperi, patrząc na mnie swymi dobrymi oczami, uśmiechnął się:

— Scelba to jest człowiek, który wie, jak żyć w więzieniu. Wydaje się, że się na to urodził, aby siedzieć. — Potem zaczął się wolno, wolniutko rozbierać: wygładził marynarkę, kamizelkę i spodnie i złożył je na kraju siennika z taką samą pedanterią, z jaką układał swoje papiery na biurku, w swoim biurze na Viminalu. — Scelba jest spokojny — zauważył — i nie traci ducha. Widzimy się codziennie rano, w czasie spaceru; stale mówi o swoim bliskim uwolnieniu. Ale mam wrażenie, że się ludzie: komuniści śmiertelnie są na niego zawzięci.

— A cóż tu mają do gadania komuniści? — powiedziałem — od chwili, gdy przyszli Rosjanie, komuniści przestali się w ogóle liczyć. Podnosili wysoko głowy dopóki Rosjanie byli daleko, ale teraz oni także cienko śpiewają, może nawet cienie niż my.

— Wierzmy w Boga — powiedział De Gasperi i klękając na sienniku złożył ręce i zaczął się modlić w ciszy. Twarz jego w tej chwili wypiękniała: czerwona światło elektrycznej żarówki, zawieszanej nad drzwiami, akurat pod krzyżykiem, nadawało jego twarzy ten bladej ton, jaki mają święci na freskach Giotta. Klęknałem również udając, że się modłę. Mówię "udając, że się modłę", gdyż nie umiem się modlić gdy jestem w niebezpieczeństwie albo w więzieniu. Nie przez dumę ale wskutek swoistego wstydu. Modłę się tylko wtedy, gdy jestem wolny i gdy nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo, wtedy, gdy modlitwa nie wygląda na słabość. W danym momencie myśli moje nie zwracały się do Boga. Myślałem o tchórzostwie i nikiemności ludzkiej. Myślałem o długich miesiącach, które spędziłem w tej samej celi, tyle lat wcześniej i serce moje drżało.

Kiedy De Gasperi, skończywszy się modlić, życzył mi dobrej nocy, a następnie wsunął się pod koc, ja także wyciągnąłem się na sienniku: ale słoma była wilgotna, pełna węzłów wielkich

jak pięści, kocy były zimne i ciężkie, nie mogłem zasnąć. Także i De Gasperi nie mógł spać, ruszał się ciągle wdychając i jęcząc; w końcu obrócił się w moją stronę i przepraszając że nie daje mi spokoju, zapytał, czy to "naprawdę prawda", że Rosjanie w okupowanych krajach Europy mają komunistów za...

— Za psi pazur? Ależ oczywiście, — odpowiedziałem. Władze sowieckie stworzyły we wszystkich krajach Europy zachodniej rządy koalicyjne, w których komuniści stanowią mniejszość i nie mają żadnego znaczenia.

— We Włoszech tak jest, skonstatował De Gasperi — ale nie wierzę, że i w innych krajach... A więc tak samo jest i we Francji.

— Naturalnie, we Francji również.

— A Thorez?

— Thorez? Wysłano go do Moskwy, do szkoły dla komunistów, uczy się francuskiego.

— Francuskiego — wykrzyknął De Gasperi — chcesz powiedzieć, rosyjskiego?

— Ależ nie, właśnie francuskiego, ale takiego francuskiego, jakim mówią Francuzi, a nie komuniści francuscy.

— Teraz rozumiem — powiedział De Gasperi — dlaczego wielu przywódców komunistów włoskich, jak na przykład Terracini, Moscatelli i innych wysłano do Moskwy: na pewno, aby nauczyl się włoskiego. A co robią intelektualiści francuscy?

— Są tak samo skończeni jak i wszyscy intelektualiści komunistyczni w wszystkich krajach Europy zachodniej: siedzą w więzieniach. A we Włoszech? Jak skończyli różni Vittorini, Bontempelli, Guttoso, Sem Benelli, Titta Rosa...

— Wszyscy zamknięci, jako faszyci — odpowiedział De Gasperi.

— Jako faszyci? Czyżby również i Elio Vittorini?

— Naturalnie, on również. Rosjanie nie biorą na serio skrucy i nawrócenia się intelektualistów. Prawdziwi intelektualiści komunistyczni siedzą, a także i Francesco Pastonchi.

— Pastonchi — wykrzyknąłem — ależ Pastonchi nie był nigdy komunistą, raczej wprost przeciwnie!

— Jeżeli Rosjanie zamknęli go jako intelektualistę komunistycznego — odpowiedział miękko De Gasperi — to, bez względu na pozory, on był intelektualistą komunistycznym.

— We Francji również wypadki potoczyły się mniej lub więcej tak samo jak we Włoszech. Francuskich intelektualistów komunistycznych zamknięto, siedzą: Montherlant, Claudel i François Mauriac.

— Claudel? Montherlant? Mauriac? — wykrzyknął De Gasperi.

— Zaręczam ci — odpowiedziałem — że nie mam zamiaru uczyć Rosjan kto jest prawdziwym intelektualistą komunistycznym.

Terracini — senator, komunist, trochę frondujący.

Vittorini Elio — pisarz socjalistyczny, zbliżony do partii Nenniego.

Sem Benelli — dramaturg.

Bontempelli — literat, liberat.

Francesco Pastonchi — literat.

— A co z Aragonem, z Elouardem? — zapytał lekko De Gasperi.

— W więzieniu jako trockisto-faszyści.

— Niemożliwe! A Sartre?

— I on także!

— A André Gide?

— W więzieniu jako zwolennik De Gaulle'a — odpowiedziałem.

— Ależ to nie do wiary! — wykrzyknął De Gasperi.

— Rosjanie mają swój system patrzenia na wszystko — powiedziałem — a system ten bardzo różni się od naszego. Któżby na przykład mógł pomyśleć, że André Malraux...

— Malraux? A cóż z nim — zapytał De Gasperi, wznosząc się na łokciach — rozstrzelano go?

— Ależ nikomu nawet się nie śniło, jak najbardziej żyje.

— Ah — westchnął De Gasperi — i zarumieniwszy się z radości opadł na siennik.

— Rosjanie pozostawili go w spokoju. Zaofiarowano mu tekę Ministra Propagandy w nowym rządzie komunistycznym, ale Malraux uważał, że sobie z nich zakpi, mówiąc, że czuje się niezdolny do objęcia takiego stanowiska. Zdaje się, że Rosjanie pozwolili się przekonać, pozostawiając go od tej chwili w spokoju. I dzisiaj Malraux, wściekły że go nikt nie prosi i nikt mu się nie narzuca, miota się po Paryżu jak dzikie zwierzę po klatce.

— Nie rozumiem polityki rosyjskiej — powiedział De Gasperi, — ale muszę wyznać, że tak samo nie rozumiem polityki amerykańskiej. Ciągłe stawiam sobie pytanie, dlaczego Amerykanie nie usiłowali przeszkodzić zajęciu Europy zachodniej przez wojska sowieckie.

— Ponieważ polityka amerykańska bazowana jest na przestarzałym micie *wolności* — powiedziałem. Amerykanie wspomniałomyślnie uznali, że ich misją w tej wojnie jest nie obrona, ale uwolnienie Europy.

— Szlachetna misja, godna tego wielkiego i wolnego narodu — zauważył De Gasperi.

Cień akcentu retorycznego (o zło nie do uleczenia!), jaki wy czułem w słowach De Gasperi'ego, nie podobał mi się, ale mówiłem dalej:

— Najszlachetniejsze powołanie. Ale zupełnie bezużyteczne. Amerykanie nie zrozumieli, jak wielka jest różnica pomiędzy okupacją niemiecką z roku 1940, a obecną okupacją sowiecką. Okupacja hitlerowska była wyłącznie wojskowa: uciskała okrutnie narody, ale nie wywracała porządku społecznego naszego nieszczęsnego kontynentu. Okupacja sowiecka natomiast, nie tylko uciska narody na równi z niemiecką (koncepcję rasistowsko-hitlerowską komuniści zastąpili koncepcją klasową, traktując burżuazję tak samo jak Niemcy traktowali Żydów), ale także przewraca europejski porządek społeczny. W roku 1945 Amerykanie uwolnili Europę, która w istocie swej, z punktu widzenia socjalnego, pozostała taka sama jak w roku 1939. Ale co będzie z Europą gdy Amerykanie oswobodzą ją jutro, albo za dziesięć lat?

— Biada nam! — westchnął De Gasperi.

— Okupacja sowiecka wywróciła porządek socjalny i gospo-

darczy naszego kontynentu; zgniotła gospodarkę kapitalistyczną, burżuazję, klasę rządzącą, elitę intelektualną i wprowadziła dyktaturę proletariatu, słowem zsovietyzowała Europę. A więc, po cóż ją uwalniać?

— O to samo chciałem się zapytać — powiedział De Gasperi.

— Gdy Europa już raz będzie zsovietyzowana — ciągnąłem — uwolnienie jej będzie zupełnie bezużyteczne. Aby uniknąć sovietyzacji, Amerykanie powinni przede wszystkim przeszkodzić zajęciu Europy przez Rosję. Według mnie, jedynym środkiem przeszkodzenia sovietyzacji jakiegos kraju, jest niedopuszczenie do zajęcia choćby jego części przez Rosjan, a nie uwalnianie go w chwili, gdy został już zsovietyzowany nieuleczalnie.

— Biada nam! Twoje rozumowanie jest doskonałe! — wykrzyknął De Gasperi, wdychając głęboko — ale Amerykanie, nie rozumiejąc rzeczy łatwych myślą, że rozumieją te trudne. Ja także wiem coś o tym!

— Ty wiesz więcej niż ja — ciągnąłem, — że kraj, raz zsovietyzowany, trudno jest cofnąć wstecz. Aby odtworzyć jego dawny porządek kapitalistyczny, należałoby stworzyć nową klasę rządzącą burżuazji i stworzyć ją z niczego. Trzeba na to lat i lat; konieczne jest przy tym użycie inteligencji, posłuszeństwa i pracy całych pokoleń. Zwłaszcza, że młodzież łatwo przyzwyczaja się do życia kolektywnego, zasmakowuje w nim i przedkłada je nawet nad życie mieszczańskie, o którym nie wie nic, a poznając jedynie pod kątem jego upadku — pogardza nim. Jest faktem niezaprzeczalnym, że w krajach zsovietyzowanych i w samej Rosji sowieckiej młodzież nie jest w opozycji. Wręcz przeciwnie, jest to najwierniejsza i najważniejsza podpora dyktatury proletariatu. W opozycji są wszyscy ludzie dojrzały, którzy za młodu widzieli Europę wolną. I nie należy się ludzi, by Amerykanie, po wyzwoleniu, umieli stworzyć w Europie nową rządzącą mieszczańską klasę z tej garstki uchodźców, którym w chwili wybuchu wojny udało się wywieść do Ameryki i którzy jutro wrócą triumfalnie do Europy na wozach zwycięzców.

— Miejmy nadzieję, że nikt nie wróci — wykrzyknął De Gasperi — wiemy już z doświadczenia, że rasa tych... tych...

— ...tych wyrzutków, chcesz powiedzieć.

— ...że uchodźcy to rasa wyrzutków!

— To wcale nie źle, że i ty się nie przejmujesz! — powiedziałem. I dodałem: — Jest rzeczą zupełnie jasną, że Europa, raz zsovietyzowana, pozostanie nią nawet po wyzwoleniu. Myślisz może, że Amerykanom uda się odebrać ziemię chłopom? A gdyby nawet, to komu ją mają oddać?

— Trupom dawnych właścicieli — odpowiedział, śmiejąc się, De Gasperi.

— A może myślisz, że Państwo w różnych krajach Europy uwolnionej zechce się zrzec ich uprzemysłowienia? Przeciwnie, będzie miało ochotę iść jak najdalej w tym kierunku. Dawni kapitaliści, o ile będą jeszcze żyli, będą musieli zadowolnić się luźną obietnicą odszkodowania. A może wierzysz, że biurokracja trustów przemysłowych i kolchozów pozwoli się wyrzucić na bruk przez oswoobodzicieli, tylko dlatego, że kapitalizmowi ame-

rykańskiemu nie podobają się trusty państwowe i upaństwowione koleje żelazne?

— Wydaje mi się to rzeczą raczej trudną — powiedział De Gasperi.

— Po uwolnieniu Europy Amerykanom nie pozostanie nic innego do roboty jak dostarczanie kapitałów i surowców pierwszej potrzeby dla zwolezionej przemysłu europejskiego, oraz maszyn rolniczych dla kołchozów. Mam na myśli, że Amerykanie — po oswojeniu — będą musieli dostarczyć niezbędnych kapitałów do prowadzenia i dokonania tej samej sowjetyzacji Europy przeciwko której walczyli przez tyle lat. I tego dnia...

— W dniu wyzwolenia nie będzie mnie wśród żywych — powiedział De Gasperi.

— Umrzesz — odrzekłem — jeżeli odmówisz współpracy z Rosjanami.

— Ja nie będę z nimi współpracował — rzekł De Gasperi — i to nie dlatego, żeby się podobać Amerykanom, ale dlatego, że jestem dobrym katolikiem.

— Jak widzisz, także i katolicyzm ma swoje niewygody. Ale czy możesz mi powiedzieć, jakim prawem Amerykanie czynią dzisiaj wyrzuty narodom europejskim, współpracującym z Rosjanami? Cóż mają robić ci biedni Europejczycy? Bronili się przecież, jak mogli. Nieliczne dywizje francuskie pod dowództwem de Lattre de Tassigny walczyły bohatercko. Nasze szczupłe oddziały alpejskie zostały zmasakrowane pod Brennerem i w dolinie Pusterii. Finnowie, Norwegowie, Duńczycy, Holendrzy, Belgowie i Szwajcarzy dokonywali cudów męstwa. I we wszystkich krajach Europy te niedobitki oficerów i żołnierzy, którym udało się ująć śmierci, skończyły w więzieniach, pod zarzutem zdrady, za to, że tak mężnie bili się przeciwko najeźdźcy.

— To jest morale naszych czasów, drogi Malaparte.

— Być może, że Rosjanie nie przeszlify, gdyby Amerykanie bili się u naszego boku. A dzisiaj Truman nam zarzuca współpracę z Rosjanami!

— Ostatnie orędzie Trumana zostało przyjęte we Włoszech z prawdziwą wesołością — powiedział De Gasperi. — W gruncie rzeczy Włosi to dzielny naród.

— Truman także jest dzielny człowiekiem, ale jego pretensje są pozbawione podstaw. Najpierw zostawia nas samych w obliczu inwazji sowieckiej, a potem żąda, abyśmy nie współpracowali z Rosjanami, grożąc w przeciwnym razie najsurowszymi represjami w momencie wyzwolenia. Włochom na szczęście nie brak zdrowego rozsądku i przyjmują śmiechem groźby Trumana.

— A ty, czy masz ochotę kłoborować? — zapytał De Gasperi, patrząc mi prosto w oczy.

— Nie — odrzekłem — gdybym był lekarzem, inżynierem, technikiem, urzędnikiem, robotnikiem czy chłopem, pracowałbym dalej nawet gdyby to mogło oznaczać kłoborację, wierząc, że moja praca przede wszystkim wyjdzie na korzyść memu krajowi. Ale jestem pisarzem i człowiekiem wolnym. Pisarz, będący jednocześnie wolnym człowiekiem, wypowiada jedynie własne myśli i tylko im służy. Dlatego zresztą miałbym współpracować z Rosjanami gdy od 1940 do 1945 roku nie współpra-

cowałem z Niemcami? Wprost przeciwnie, zwalczałem ich u boku aliantów. Zresztą nie współpracowałbym z Rosjanami nawet w tym wypadku, gdybym był komunistą, chcę powiedzieć komunistą włoskim, albo francuskim, albo belgijskim. Na zakończenie jednak stwierdzam, że nie chcę współpracować ani z Rosjanami ani z Amerykanami. Jedni i drudzy prowadzą nas do zła; to że znajdujemy się w takim stanie, jest bardziej ich winą niż naszą.

— Smutne rozumowanie — westchnął De Gasperi.

W tym momencie usłyszeliśmy stukanie w ścianę.

Zbliżyłem dno szklanki do muru i oparłszy wargi o jej krawędź, zapytałem:

— Czego chcesz?

— Spicie czy plotkujecie? — zapytał Scelba, — i o czym gadacie?

— Czy należy współpracować z Rosjanami, czy nie — odpowiedziałem.

— Będę współpracował nawet z diabłem, żeby się stąd dostać — powiedział Scelba. — A teraz dobranoc.

— Dobranoc.

— Czego on chciał? — zapytał De Gasperi.

Gdy powtórzyłem przykre słowa Scelby, De Gasperi, kiwając głową, zauważył: "Nie należy wzywać diabła, jeżeli się nie chce, żeby przyszedł". Po czym, życząc mi dobrej nocy, odwrócił smutno twarz do ściany.

Następnego ranka, ledwośmy się obudzili, otworzyły się drzwi celi i na progu ukazał się dozorca więzienny: "Prowadzę wam przyjaciela" powiedział i wepchnął do środka człowieka średniego wzrostu, pękatego, brodatego, którego głowa wydawała się o wiele większa niż była w rzeczywistości, taka była surowa, gładka, jakby wykuta — mówiąc bez ironii — z jednej bryły, twardej i zwartej.

To był Scelba. Nigdy przedtem nie widziałem go ani z bliska, ani z daleka i jego wygląd, jego powierzchowność, sposób, w jaki przyglądał mi się — rozśmieszyły mnie. "Zaraz zapyta mnie o papiery" — pomyślałem. Ale Scelba, wyciągnawszy rękę do De Gasperi'ego ze słabym odcieniem szacunku, odwrócił się do mnie, mówiąc: "Ciesz się niezmiernie, że cię widzę; jakie przynosisz nam nowiny?"

Nie odpowiedziałem od razu. Obserwowałem go w milczeniu; mój wzrok musiał go zdziwić, gdyż najpierw spochmurniał, a potem powoli uśmiechnął się do mnie. Więc to był Scelba? To był ten osławiony Minister Policji w rządzie De Gasperi'ego, ten straszny Scelba, człowiek najbardziej zniechęcony przez komunistów, któremu zdawało się, że zniszczy Rosję sowiecką wsadzając do więzień biednych komunistów włoskich? Z osmiocdniowym zarostem, w butach bez sznurowadeł, z rozchełstaną koszulą na piersiach i w płaszczu z podniesionym kołnierzem, wyglądał na włościanina. Odpowiedziałem mu szczerym uśmiechem, gdyż zawsze mam uczucie głębokiego poszanowania dla wszystkich istot ludzkich, jaki by nie był ciężar ich winy, gdy szczęście je opuści, gdy są poniżone, zdradzone, prześladowane.

— Właściwie cieszę się, że spotkał się w więzieniu — powiedziałem.

Scelba spojrzał na mnie dziwnie, przysmykając oczy.

— Po raz pierwszy w życiu zdarza mi się siedzieć w więzieniu z Ministrem Spraw Wewnętrznych — dodałem — więc chyba nic w tym dziwnego, że to mi się podoba!

— W każdym razie ja nie posiedzę długo, a ty spędzisz tu resztę twego życia — rzekł Scelba, patrząc mi prosto w oczy. Ale mój wzrok wyrażał taką szczerłość, taką radość widoczną, tak prawdziwą i niewinną, że spotkania się w tym miejscu, że jego wzrok powoli złagodniał; klepiąc mnie ręką po plecach, powiedział: "Tobie, przybywającemu z Francji, na pewno sprawi przyjemność ostatnia wiadomość z Paryża. Pétain nie żyje". — Pétain nie żyje? rozstrzelany? przez kogo? — wykrzyknąłem.

— A komuż chciałoby się tracić czas na to, by go rozstrzelać? — odrzekł Scelba — na pewno nie Rosjanom. Umarł ze starości. Sowieckie władze Paryża, z rozkazu Stalina, oddały Pétainowi najwyższe honory pośmiertne, jak prawdziwemu bohaterowi Ojczyzny. Olbrzymia zastona z falującej czerwieni pokrywała Łuk Triumfalny. Wzdłuż całej drogi, którą przebył orszak żałobny, uszeregowane bataliony Gwardii Rewolucji Październikowej prezentowały broń. Trumnę nieśli na barkach marszałkowie sowieccy, a za trumną, podtrzymując Panią Pétain, kroczył Mołotow, który przybył samolotem z Moskwy jako reprezentant Stalina.

— Ale to nie do wiary! — wykrzyknął De Gasperi.

— A to dlaczego? Słusznie czy niesłusznie, Pétain był symbolem kollaboracjonizmu europejskiego. Rosja sowiecka zaś aż do końca swojej polityki wojennej jest mocno zainteresowana w podtrzymaniu mitu kollaboracji.

Byłem do tego stopnia oburzony, rozbawiony i boleśnie zdziwiony, że nie wiedziałem czy mam śmiać się, czy płakać.

— A co z de Gaulle'm? — zapytał De Gasperi — gdzie on skończył?

— Na pewno siedzi w Londynie — powiedział Scelba.

— A więc nie wiecie? — zapytałem — nie znacie słynnego komunikatu rządu angielskiego odnośnie de Gaulle'a?

Następnie opowiedziałem im, że na kilka dni przed wejściem wojsk rosyjskich do Paryża, rząd angielski ogłosił oficjalnie, że gdyby generał de Gaulle chciał się schronić w Londynie, zostanie aresztowany.

— Czyż to możliwe? — wykrzyknął De Gasperi.

— Ależ ci Anglicy to wariaci! — dodał Scelba.

— Słyszałem — mówiłem dalej — że Attlee, odpowiadając na pytanie jednego z deputowanych konserwatywnych, oświadczył w Izbie Gmin, że Anglicy i Amerykanie mają dość poprzednich doświadczeń, nie życzą sobie mieć pod nogami kłód w rodzaju generała de Gaulle'a, który zamierza przedkładać nieważne sprawy Francji nad święte sprawy Ameryki i Anglii. I tak de Gaulle pozostał w Paryżu.

— A jak z nim skończono? — zapytał De Gasperi.

— Prawdopodobnie siedzi w więzieniu — powiedział Scelba.

— Wcale nie, skończył w domu wariatów. Rosjanie zaprosili go do współpracy, de Gaulle naturalnie odmówił i wobec tego Rosjanie zamknęli go w domu wariatów w Charenton.

— De Gaulle zwariował? — wykrzyknął De Gasperi, podskakując tak gwałtownie, że aż okulary spadły mu z nosa.

— Ależ nie, wcale nie zwariował — odpowiedziałem — jedyne Rosjanie zamykają do domu wariatów wszystkich, którzy odmawiają współpracy z nimi. We wszystkich krajach Europy więzienia są prawie puste w porównaniu z domami wariatów, które są przepełnione.

Opowiedziałem im następnie, że na krótki czas przed opuszczeniem Paryża, widziałem na ulicy Rivoli defiladę gromady wariatów w kaftanach bezpieczeństwa; prowadzono ich w stronę domu wariatów w Charenton. Maszerowali dwójkami dumni i sztywni wśród tłumu ludzi bardziej rozbawionych niż wzruszonych. Na czele kolumny wariatów rozpoznalem Saszę Guity, który aczkolwiek zakłopotany kaftanem bezpieczeństwa, popatrzył na mnie przez chwilę oczami błyszczącymi szlachetną dumą patriotyczną i pozdrowił mnie skinieniem głowy, godnie wznesionej.

— We Włoszech dzieje się prawie to samo — powiedział Scelba. Benedetto Croce, który odmówił współpracy oświadczył, że nigdy nie brał komunizmu na serio i że zresztą nigdy go nie rozumiał, siedzi w domu wariatów przy więzieniu w Aversa. I myślę że nie prędko stamtąd wyjdzie.

— Należy stwierdzić, że we Włoszech wariaci zdarzają się raczej rzadko — powiedział De Gasperi. Poza Benedetto Croce któż jeszcze siedzi w zakładzie dla umysłowo chorych? Saragat, Facchinetti, Parri i kto jeszcze?

— Kilku innych mniej ważnych, jak na przykład Sforza — zauważył Scelba.

— Sforza w zakładzie dla obłąkanych — wykrzyknąłem.

— Mam wrażenie zresztą — dodał Scelba — że w jego wypadku Rosjanie omylili się wzięwszy go za prawdziwego wariata, gdyż najpierw wsadzono go pomiędzy wariatów klinicznych. Dopiero potem, z tysiącem przeproszeń, przeniesiono go do wariatów politycznych.

— Trzeba przyznać — zauważył De Gasperi — że o ile chodzi o wariatów to Rosjanie załatwiają te sprawy konsekwentnie i z pewnym gestem.

— A jak skończył De Nicola? — zapytałem.

— Rosjanie już kilkakrotnie wsadzali go do domu wariatów w Sant'Onofrio, ale za każdym razem wypuszczano go po kilku godzinach. Ten poczciwy De Nicola jest zawsze taki niezdedygowany!

### R o z d z i a ł t r z e c i

— A cóż ty zrobisz, jeżeli Rosjanie zaproszą cię do współpracy? — zapytałem żartobliwie Scelbę.

— Odmówię, aczkolwiek nie jestem wariatem — zaśmiał się. Zresztą nie codziennie zdarza się — przynajmniej we Włoszech — okazja zamykania komunistów na rachunek Stalina.

Croce Benedetto — filozof, liberał, obecny senator.

Saragat — przywódca liberalnych socjalistów, obecny wicepremier.

Facchinetti — republikanin; min. wojny w okresie po wyzwoleniu Włoch.

Parri Feruccio — republikanin, był premierem przez 4 miesiące w 1945 r.

Sforza Carlo — republikanin, obecny min. spr. zagr.

De Nicola Enrico — umiarkowany liberał, pierwszy, prowizoryczny prezydent włoskiej republiki w latach 1946 — 1948.

— Ale to jest okazja, która w Rosji zdarza się co dzień — zauważył De Gasperi.

— A jabym ci radził, drogi Scelba, aby przyjął, w nadziei, że zdarzy się odpowiedni moment do zamknięcia Stalina na rachunek komunistów.

— Masz rację, nigdy nie można niczego przewidzieć! — odpowiedział Scelba szorstkim głosem i zielony błysk zapalił się w jego oczach.

— Bez wątpienia, poważna polityka antykomunistyczna jest łatwiejsza do przeprowadzenia na rachunek Kremla niż na rachunek Watykanu — powiedział De Gasperi swoim łagodnym głosem, pełnym niedomówień.

— Należałoby stwierdzić do jakiego punktu Rosjanie zostawiliby Scelbie wolną rękę w wypadku, gdyby zgodził się na współpracę z nimi.

— Dopóki nie udałoby im się zasać wszystkich komunistów włoskich — odparł Scelba. Rosjanie uważają komunistów zachodnio-europejskich za odszczepieńców, niezdyscyplinowanych, romantyków, i za nieświadomie zarażonych trockizmem. Gdybym był komunistą włoskim lub francuskim, wystrzegabym się przede wszystkim Stalina.

— Kto jest obecnie Komisarzem Ludowym dla Spraw Wewnętrznych? — zapytałem.

— Jakto! Nie wiesz? Grieco. Zresztą raczej był, a nie jest.

— Był? — jęknął De Gasperi.

— Od wczoraj nie jest już Komisarzem Ludowym dla Spraw Wewnętrznych. Widziałem go dziś rano i zaręczam ci, że było mi go żal.

— Widziałeś go? Gdzie? — krzyknął De Gasperi.

— Gdzież go mogłem widzieć? Na pewno nie w Operze. Widziałem go tutaj, w *Regina Coeli*

— Spotkałem go na schodach, gdy wracaliśmy spaceru. Naprawdę było mi go żal. Postarzał się o dwadzieścia lat. W gruncie rzeczy, przykro mi. To był porządny człowiek

— W gruncie rzeczy nie podoba ci się, że do więzienia wsadzili go Rosjanie, a nie ty — zauważyłem.

— Być może. Ale to był porządny człowiek. Jego błędem było, że w dobrej wierze ufał, że Rosjanie byli naprawdę komunistami.

— I że zajęli Europę — dodał De Gasperi — dla pięknych oczu komunistów europejskich.

— W każdym razie — rzekł Scelba — coś nowego wisi w powietrzu. Założę się, że nowy minister spraw wewnętrznych nie będzie komunistą.

Jeżeli Rosjanie przywrócą ci twoje stanowisko w Viminalu, to miejmy nadzieję, że tym razem będziesz mógł łowić również grube ryby. We Włoszech wszyscy rzucają się na małe rybki, ale wielkich nikt nie rusza.

— U nas — potwierdził Scelba — gdy tylko złapałem małą rybkę, wszyscy bili mi brawo. Ale, gdy tylko dotknąłem grubych ryb opinia publiczna oburzała się i protestowała w imię wolności.

— Włochy już są takie — rzekł De Gasperi, wzdychając, —

ale to samo dzieje się we wszystkich krajach demokratycznych. Spróbuj dotknąć grubej ryby we Francji, to zobaczysz!

— Nie myślę — ciągnął Scelba — że sprawiało mi satysfakcję wypełnienie więzień biednymi łapownikami z prowincji, a pozostawianie na wolności odpowiedzialnych za to szefów! Ileż to razy już, już miałem na wędce jakąś grubszą rybę! Ale gdy tylko wyciągnąłem rękę, cała Rada Ministrów zaczynała krzyczeć, a pierwszym, który krzyczał byłeś właśnie ty! — stwierdził Scelba obracając się do De Gasperi'ego.

— Któż może wiedzieć na kim byś skończył przez to wydłużanie ręki, gdybyśmy ci pozwolili działać... zauważył grzecznie De Gasperi.

— W każdym razie — powiedział — mam nadzieję, że nie pozwolą ci tu zbutwieć.

— Jeśli idzie o ciebie — zaśmiał się Scelba — to wsadzenie cię do kryminału będzie pierwszą rzeczą, jaką zrobię.

— Jesteśmy jeszcze wszyscy trzej w więzieniu, a już myślisz, żeby mnie znowu wsadzić?

— Wolę wierzyć, że przynajmniej zanim cię wsadzi przede wszystkim cię wypuści — zauważył De Gasperi.

— To byłby pierwszy wypadek w moim życiu, że kogokolwiek uwalniam — zaśmiał się wesoło Scelba.

— Gdy tak rozmawialiśmy otworzyły się drzwi celi i na progu stanął człowiek wysoki, w obcisłym mundurze rosyjskiej policji politycznej, w towarzystwie dwóch żołnierzy sowieckich, uzbrojonych w pistolety automatyczne.

Funkcjonariusz sowiecki pozdrowił nas uprzejmie i bystro nas obejrzawszy, jednego po drugim, zapytał grzecznie, który z nas jest Scelba.

— To ja — odrzekł Scelba.

— Scelba ... syn ... i ...

— Tak, to ja.

— Urodzony w Caltagirone, dnia ... w miesiącu ... roku ...?

— To ja, — powtórzył Scelba.

— A więc, to wy jesteście dawnym Ministrem Spraw Wewnętrznych przy rządzie De Gasperi'ego? — zapytał funkcjonariusz sowiecki.

— Tak, to ja — odrzekł Scelba lekko zaniepokojonym głosem.

— Polecono mi zadać wam kilka pytań i proszę byście odpowiedzieli na nie z największą szczerością.

— Możecie być pewni, że odpowiem z największą szczerością, jak to jest moim zwyczajem — rzekł Scelba.

— Czy jesteście gotowi — zaczął funkcjonariusz rosyjski — jeszcze dziś wieczorem objąć funkcje Komisarza Ludowego dla Spraw Wewnętrznych?

— Nie rozumiałem dobrze — odpowiedział Scelba.

— Czy zgadzacie się przyjąć funkcję Komisarza Ludowego dla Spraw Wewnętrznych w rządzie Togliattiego? — powtórzył funkcjonariusz sowiecki.

— Mówiąc szczerze, nie mam wrażenia, abym posiadał wystarczające kwalifikacje... zaczął Scelba ironicznie.

— Wasze kwalifikacje są najbardziej wystarczające. Nie zdradzę żadnego sekretu, oświadczając wam, że zostały one przez nas skrupulatnie zbadane.

— Utrzymuję, że moja polityka antykomunistyczna, moja

surowość w zwalczaniu komunistów, surowość, którą wy niewątpliwie uważacie za niesłuszną i nadmierną...

— Ale proszę, uważamy ją za najślusniejszą i wcale nie za nadmierną — powiedział funkcjonariusz sowiecki.

— ... wykluczają, abym mógł...

— Przede wszystkim chcę wam powiedzieć, że ja nie przyszedłem tutaj, aby krytykować waszą dawną politykę — przerwał mu funkcjonariusz rosyjski. Przeciwnie! Przyszedłem po prostu, aby was zapytać, czy jesteście gotowi prowadzić w rządzie Togliattiego, od dzisiejszego wieczora, aż do wydania nowego rozkazu, takiej samej polityki antykomunistycznej jaką prowadziliście do wczoraj w rządzie De Gasperi'ego. Wystarczy jeżeli będziecie się trzymać wiernie linii marksistowsko-leninowsko-stalinowskiej, którą, być może bezwiednie, prowadziliście aż do wczoraj — dodał uśmiechając się.

— Jeżeli dobrze rozumiałem — powiedział Scelba — wieniem prowadzić dalej...

— Doskonale, przerwał mu funkcjonariusz sowiecki — winniście prowadzić dalej. W rzeczywistości idzie o to, abyście postępowali surowo, nie oglądając się na nikogo, abyście rabali bez litości każdego, o którym wiecie... Naturalnie, zajmiecie się jedynie Włochami. Rosjan winniście pozostawić w spokoju. To byłoby za wiele — dodał z uśmiechem prawie dobrodusznym — żądać, abyście się zajmowali także i nami, Rosjanami, chociaż jestem przekonany, że nie wymagalibyście nic lepszego. Czy nie jest tak?

— Jeżeli mam być szczery, wasze zaufanie mi pochlebia... i mnie dziwi — odpowiedział Scelba z lekkim akcentem sycylijskim.

— Nie idzie tu o zaufanie — powiedział funkcjonariusz sowiecki — ale o poważanie, a nasze poważanie nie powinno was dziwić... A więc zajmujcie się dalej Włochami, tak samo jak i przedtem, specjalnie tymi, których znacie. Chciałem powiedzieć, abyście mnie jasno zrozumieli, bez oglądania się na nikogo, czy to komunista, czy nie. Zrozumieliście?

— Oh, czy ja was rozumiem! — wykrzyknął Scelba.

— A więc, zgadzacie się?

— Zanim odpowiem — powiedział Scelba — chciałbym wiedzieć jaki jest *prawdziwy* powód, że wasz wybór padł akurat na mnie, aczkolwiek wiecie, że jestem człowiekiem z jednej bryły, niezdolnym do kompromisów i, jakby to powiedzieć, do podłości.

— Prawdziwy powód? — odpowiedział funkcjonariusz rosyjski z odruchem zdziwienia, ależ po prostu ponieważ wiemy, że znacie wasz zawód, i że ponadto znacie komunistów włoskich. Jesteśmy głęboko przekonani, że gdyby De Gasperi zaufał wam, zamiast Ministrowi Wojny, i was obciążył zadaniem stawienia czoła inwazji rosyjskiej, byłibyście zdolni do zaarrestowania wojsk sowieckich na granicy w Brennerze. Powiedziałem, że byłibyście zdolni *aresztować*, nie odeprzeć.

— I wierzyście — powiedział Scelba — że tylko ja jedyny... że nikt inny w całych Włoszech poza mną nie byłby zdolny do tego?

— Są tylko dwaj ludzie we Włoszech do tego zdolni, odpowiedział urzędnik sowiecki — wy i...

— Ja i...

— Mario Missiroli.

— Missiroli? — wykrzyknęli jednocześnie De Gasperi i Scelba.

— Missiroli, istotnie on. Nasz wybór w rzeczywistości padł w pierwszym rzędzie na was, a następnie na Missiroli'ego. W wypadku gdybyście odmówili nie pozostanie mi nic innego jak zwrócić się do Missiroli'ego. On byłby niewątpliwie zdolny nie tyle do odepchnięcia, czy zaarrestowania wojsk sowieckich na Brennerze, ale do... jakby to powiedzieć?... *dorozerwania ich*\*) oto jest właściwe słowo: do *rozerwania ich*.

— Niewątpliwie — rzekł Scelba — Missiroli jest człowiekiem o wyjątkowych zaletach. Jak dotąd, jedyny Mussolini zrozumiał i ocenił wszystkie jego zalety.

— I Giolitti — dodał De Gasperi.

— Tak, to prawda, i Giolitti rozumiał go i ocenił — ciągnął Scelba — ale nie umiał wyciągnąć wszystkich możliwych korzyści. Jedynie Missiroli był zdolny w październiku 1922 roku przeszkodzić marszowi na Rzym. W tym czasie, był on w Bolonii i łatwo byłoby mu *powstrzymać*\*) Mussoliniego w kontynuowaniu marszu na Rzym. Nie bez racji Mussolini do tego stopnia mu nie ufał, że zawsze odmawiał przyjęcia go w Pałacu Weneckim: wiedział dobrze, że Missiroli byłby zdolny *zabawić go*\*) tak długo, że pod koniec rozmowy sytuacja polityczna byłaby już całkowicie odmienna od tej jaka była przy jej rozpoczęciu.

— Wasz sąd o Missiroli'm — powiedział urzędnik — całkowicie zgadza się z naszym. Zresztą nie chcę skrywać, że mamy pewne wątpliwości odnośnie Missiroli'ego jako człowieka... to jest chciałem powiedzieć, jako człowieka czynu.

— Ależ to jest człowiek o niezwyklej aktywności! — odpowiedział Scelba — każdy to wie. Dlatego śpi w dzień, działa zaś jedynie nocą, gdy wszyscy inni próżnują śpiąc. Stąd pochodzi jego siła powolna, tajemna, nieodparta. To jest człowiek nocy, bladej, wąty. Stąpa ledwie dotykając ziemi ostrożną stopą. Mówi cicho. Nakreśla w świetle księżyca słowa łagodnie rękami bielutkimi. Uśmiecha się w sposób najśłodszy. Ubiera się jak wysoki dygnitarz kościelny w cywilu. On jest naprawdę idealnym Ministrem Spraw Wewnętrznych dla rządu Togliattiego. Nie będzie umiał odeprzeć ani przyjaciół, ani wrogów, ale będzie umiał *ich zabawić*: ich zabawić i zabić — aresztować. Jest zdolny do zabawiania Włoch nawet nad brzegiem przepaści: ale z uprzejmością, z wdziękiem. Jest liberałem, ale zarazem marksistą. Wierzcie mi, to jest człowiek dla was stworzony. Ja jestem zbyt skompromitowany i nie chcę skompromitować się jeszcze z własnej woli. Missiroli nie jest niczym skompromitowany. Uczciwie wam radzę — zwróćcie się do niego.

Mario Missiroli — za czasów Mussoliniego redaktor faszystowskiego pisma w Bolonii «Il resto del Carlino».

\*) Gra słów: słowo *trattenere*, użyte w powyższych trzech przypadkach w oryginale znaczy w jęz. włoskim zarówno: *rozerwać*, *zabawić* jak i *powstrzymać*.

— I... wydaje wam się, że on się zgodzi? — zapytał urzędnik sowiecki.

— Dlaczego miałby się nie zgodzić? Jest tutaj, siedzi, od pięćdziesięciu lat czeka na podobną propozycję. Idźcie do niego i pogadajcie, biegnijcie, nie traćcie czasu. Zgodzi się. I powiedzcie mu, proszę... powiedzcie, że go pozdrawiam i że mu życzę wiele szczęścia... i że jeżeli chce mi zrobić przyjemność, jeśli chce mi dać dowód szacunku i przyjaźni, niech jak najszybciej zwolni z więzienia tych moich dwóch towarzyszy: De Gasperi'ego i Malaparte.

— A dla was, dla was samych o nic nie chcecie go prosić — zapytał urzędnik sowiecki.

— Oh, dla mnie... ja wiem dobrze co mnie czeka: dom wariatów. Jaki to wspaniały wynalazek, wynalazek prawdziwie rosyjski: kto odmawia współpracy, hop, i już siedzi w domu wariatów! Kto mógłby sobie wyobrazić kilka lat temu, że ja skończę wśród wariatów? A potem, sciszając głos, powiedział: — W każdym razie dziękuję wam, żeście o mnie myśleli.

— Wasza odmowa nie dziwi mnie — powiedział urzędnik sowiecki — jesteście człowiekiem uczciwym. A szkoda! — To mówiąc skłonił się z zimną powagą i wyszedł; drzwi celi zamknęły się za nim.

— Pozwól, mój drogi, niech cię uściskam! — powiedział De Gasperi wzruszonym głosem otaczając Scelbę ramieniem. Ja także zbliżyłem się do Scelby i ściskając go mocno za rękę, ucałowałem go jak brata.

— Jesteś uczciwym człowiekiem — powiedziałem.

W tej samej chwili dozorca więzienny otworzył wolno drzwi i dał znak Scelbie.

— Muszę wrócić do mojej celi — powiedział Scelba, uwalniając się z serdecznego ucisku De Gasperi'ego — z progu obrócił się jeszcze i patrząc na nas smutnie rzekł: „Gdybyśmy się już mieli nie zobaczyć...”

— Ach, przestań! — wykrzyknął De Gasperi głęboko wzruszony.

Gdy zostaliśmy sami, De Gasperi i ja długo patrzyliśmy na siebie bez słowa.

— Czy myślisz, że gdyby Scelba przyjął propozycję zostania Komisarzem Ludowym dla Spraw Wewnętrznych w rządzie Togliatti'ego, to wypuściłby nas na wolność?

— Jest też o co mnie pytać — odrzekł De Gasperi i zamilkł.

Następnego ranka przyszedł naczelnik straży więziennej i oznajmił nam z miną bardzo przejętą, że przyszedł już rozkaz zwolnienia nas i że od razu będziemy wypuszczeni z *Regina Coeli*. „Jesteście więc wolni, miejmy nadzieję, że na zawsze — dodał zniżając głos — ale radzę wam, byście byli ostrożni. Od wczoraj wieczorem mamy nowego Komisarza Ludowego dla Spraw Wewnętrznych. To jest Rosjanin.”

— Rosjanin? — wykrzyknął De Gasperi błędą — więc to nie jest?...

— Rosjanin, i zdaje się, że nawet nie włoski.

— Rosjanin czy nie Rosjanin — powiedziałem wesoło — cóż to nas obchodzi? Mnie wystarczy, że jestem wolny.

— Pytasz się co to nas obchodzi? Po raz pierwszy od kiedy

jesteśmy w rękach Rosjan zdarza się, by zwalniano jakiegoś więźnia. Ta rzecz wydaje mi się dziwna.

Przed opuszczeniem celi, De Gasperi i ja zaczęliśmy pukać w ścianę wszystkimi palcami. Scelba odpowiedział natychmiast i wymieniliśmy najbardziej czule pozdrowienia. De Gasperi miał lzy w oczach i ja również byłem tak wzruszony, jak mi się to jeszcze w życiu nie zdarzyło.

Godzinę później opuściliśmy progi *Regina Coeli* i zatrzymaliśmy się, by odetchnąć świeżym powietrzem i spojrzeć w niebo, oparci o mur nad wąskim chodnikiem Via della Lungara.

— Myślę, że będzie najlepiej — powiedziałem — jeżeli nie będą nas oglądali razem. Są zdolni opowiadać, że spiskujemy.

— Masz rację — odpowiedział De Gasperi oglądając się wokoło podejrzliwie — ci Rosjanie wszędzie widzą spiski. A potem, patrząc mi prosto w twarz swoimi dobrymi, lekliwymi oczami dodał: „Bardzo mi przykro, mój drogi Malaparte, że musimy się rozstać. Wierzę, że zobaczymy się któregoś dnia w czasach lepszych dla naszego kraju i dla nas... Zachowam na zawsze czule wspomnienie o tobie.

— Dzięki, Alcide! — odrzekłem wzruszonym głosem i bez namysłu uściskałem go.

De Gasperi wydawał się zdziwiony moim uściskiem, zacerwienił się, przez chwilę milczał patrząc na mnie uporczywie, potem odwrócił się i odszedł wolno, zgarbiony; jego chód był zmęczony i upokorzony, taki właśnie, jaki cechuje we Włoszech Premierów, gdy wychodzą z więzienia.

Ja ruszyłem w kierunku Mostu Mołotowa, dawnego Ponte Cavour, wspiąłem się przez via Tomacelli, przechrzczoną obecnie na ulicę Żdanowa, skręciłem w Corso Umberto — dziś nazwane Prospektem Józefa Stalina i idąc rozglądałem się wokoło.

Ludzie, na pierwszy rzut oka, wyglądający beztrosko, ale gdy umiało się spojrzeć głębiej, zbiedniałi i pochmurni, szli i wracali wzdłuż chodników, ubrani w jakieś dziwne szaty, modne w całej Europie po zajęciu jej przez Rosję. Każdy wydawał się dokładać wszelkich starań, aby popisać się wyglądem proletariackim, jak to nakazywała ostrożność: ale wśród głosów grubiańskich i wulgarnych można było rozróżnić od czasu do czasu dawny akcent Via Veneto, dziś ulicy Stalingrad i dawnej pańskiej dzielnicy dei Parioli, bardziej znanej już pod nową nazwą Kwartał Stachanowa. Mężczyźni, zwłaszcza młodzieńcy, nosili trykotowe wełniane koszule z otwartym kołnierzem, spodnie aksamitne lub z surówki bawełnianej, pantofle podarte i brudne, włosy mieli rozczochrane i zarost ośmirodniowy. Kobiety w przeważającej ilości były ubrane, a raczej przebrane na kobiety z ludu z Zatybrza lub z Garbatelli. Miały czupryny artystycznie rozczochrane, często czerwoną jedwabną chusteczką podwiązaną pod brodą. Wszystkie miały twarze niewyraźne, blade, bez cienia szminki. Pomiędzy tymi fałszywymi kobietami z ludu od czasu do czasu można było zobaczyć inne, dla których ludowe ubranie nie było już modą, pewną formą elegancji i kokieterii, ale bolesną koniecznością, wypływającą z nędzy i upokorzenia nie udawanego, lecz prawdziwego.

Bardzo często można było rozróżnić w tłumie jakieś dziwne postacie, brodate, noszące czarne, przeciwsłoneczne okulary, skrywające oczy. Kilkakrotnie udało mi się przychwycić po-

dejrliwe i chytne spojrzenia przechodniów, rzucane uparcie na te brody i te okulary, jak gdyby szukające pod tym uniformem i za tą czarną zasłoną okularów, twarzy znanej, spojrzenia przyjaciela lub wroga. Od czasu do czasu natykałem się na jakiegoś deputowanego ludowego, ubranego w czerwony mundur Zgromadzenia Narodowego, albo na jakiegoś profesora w mundurze koloru zielonego groszku, na urzędnika państwowego, dumnego ze swojej liberii w żółto zieloną kratę i ze swego dwugraniastego czarnego kapelusza, ozdobionego wieloocznymi pałkami piórami.

Naturalnie najbardziej liczne były mundury urzędników państwowych, ale nie mniej liczne były również mundury służących, sprzedawców sklepowych, subiektów; były to mundury skromne, ale tym nie mniej godne, jak na przykład pisarzy i dziennikarzy. Pisarze byli ubrani w długi czarny żakiet, na głowie zaś nosili dziwny szary beret cyklistów. Strój ten aczkolwiek ich nieco pauperyzował, dawał im jednak ten wygląd poważny, hieratyczny, jakiego normalnie czapki rowerzystów nie nadają. Mundur dziennikarzy był żółty, dwurzędny z zielonymi klapami i wielkimi metalowymi, połączanymi guzikami.

Ale najbardziej podziwiani, najbardziej zazdroszczony, zwłaszcza przez kobiety, był mundur artystów kinematograficznych: spódniczka z czerwonego jedwabiu, fioletowy staniczek, kapelusz z trąbą w kolorze zielonym — dla aktorów, zaś dla aktorek: spodnie z czerwonego aksamitu, żółta trykotowa koszula i kapelusz-cylinder w kolorze błękitnym. Zatrzymałem się, aby popatrzeć na grupę młodych „div”, które w tym momencie przechodziły przez Prospekt Stalina, gdy zauważyłem, że naprzeciw mnie idzie jakiś osobnik, serdecznie uśmiechnięty, wysoki i tęgi w spódniczce z czerwonego jedwabiu; jego pełna i muskularna pierś obciśnięta była szczelnie fioletowym staniczkiem. „Ciao, Malaparte! — krzyknął, uchylając kapelusza w kształcie tuby i zniknął w tłumie. Był to Amadeo Nazzari. „Na Boga, jak go urządzili!” — pomyślałem.

Ale nie zdążyłem jeszcze wymówić do siebie powyższych słów, gdy zobaczyłem skręcającą przez Piazza di Lucina, to jest chciałem powiedzieć przez Plac Mikoiana, garstkę młodych kobiet. Jedne z nich były bardzo ładne, inne mniej ujmujące, inne jeszcze albo za grube, albo za chude, wszystkie zaś ubrane w różowe trykoty podobne do tych, jakie noszą w ujeżdżalniach, albo akrobaci w cyrku. Czoła miały ocienione olbrzymimi kapeluszami z czarnego aksamitu, ozdobionymi długim strusim piórem bardzo zielonym, tą zielenią jaka podobiała się Manetowi. Na piersi każdej z nich była wyhaftowana wielka cyfra: najwyższą cyfrą był 1000, najniższą 200. Tylko niektóre z kobiet, bardziej młode i ładne od innych o kształtach zarazem wstydliwych i bezwstydnym, nosiły na piersi cyfrę 2500. Jedna z nich była wysoka, zręczna, o złotej skórze i włosach: serce ścisnęło mi się żalem, gdyż zdawało mi się, że poznaję w niej córkę pewnej kobiety, pięknej i dzielnej, w której kochałem się beznadziejnie kilka lat przed wojną.

— Kto to jest? — zapytałem mojego sąsiada na chodniku.

— Te? to są prostytutki państwowe.

— To młodzież z dobrych rodzin — dodał cichym głosem inny mój sąsiad, ubrany w mundur sprzedawcy ze sklepu kolo-

nialnego, a wiele z tych biednych dziewcząt to córki hrabin, księżnych... Popatrz tylko, to od razu widać! Ale czy to jest ich wina? Komuniści zrobili to naumyślnie, zrobili to z chęci upokorzenia ludzi, zawstydzienia dziewcząt, przez chęć upodlenia ludzi dobrze urodzonych! Ja jestem sprzedawcą w sklepie kolonialnym. Ale czy to jest moja wina, że mi każą paradować po mieście w takim mundurze? Mam rodzinę, mam żonę i dziesięcioletnią córkę. Ale gdyby się tak stało, że zobaczyłbym moje dziecko upodłone w ten sposób, w tym tysiącem lirów na piersi, to przysięgam na Boga... I spłunął na ziemię z taką gwałtownością, że zdawało mi się, że wypluł kawał języka.

Właśnie chciałem się oddalić, niespokojny, smutny aż do łez, i głęboko zraniony, gdy nagle usłyszałem jakiś pisk, jakiś szczebiot, jakiś ostry śmiech i liczne głosy gdzieś za moimi plecami w okolicy jakiejś przecznicy Via Condotti, to jest chciałem powiedzieć ulicy Woroszyłowa, i w tej samej chwili wokoło mnie zabrzmiały okrzyki radości.

Odwrociłem się i zobaczyłem idącą z Prospektu Stalina grupę najdziwniejszych w świecie kobiet; wszystkie były jednakowo ubrane jak w komedii Jean Anouilh'a, w długie spódnice zielone z trenem, w czarne gorsciki z bufiastymi rękawami, z białymi boa owiniętymi dokoła pleców, zaś nad czołami, po środku głowy, miały kapelusiki podobne do ptasich gniazd. Nadchodziły mówiąc głośno, wołając się po imieniu: Mimi, Lulu, Fru-Fru i odwracając twarz to tu, to tam, rzucały dokoła spod brwi, strzały prowokacyjnych spojrzeń, które wzbudzały w tłumie głośno okrzyki i grube śmiechy. Postępowała za nimi garść ludzi, przyciskając się do nich coraz bliżej, coraz bardziej wulgarnie i gwałtownie, z jakąś specjalną śmiałością zresztą niezwykłą w plebsie, zwłaszcza w stosunku do dziewczyn ulicznych, w której można było dostrzec pogardę, zawziętość, oburzenie, prawie wściekłość.

W chwili, gdy ten najdziwniejszy orszak kobiecy doszedł do roku Piazza in Lucina, czyli Placu Mikoiana, gdzie się znajdowałem i zaczął przechodzić przede mną, poznałem wśród tych dziewczyn kilku młodzieńców, nie tyle moich przyjaciół, ile synów moich najdroższych przyjaciół, którzy przed inwazją rosyjską zapełniali zwykle kroniki Capri. Młodzieńcy bardzo piękni, o czole Antinousa, o twarzy oświetlonej głębokimi oczyma, o tym spojrzeniu antycznym, jakie posiadają tajemnicze portrety nieznanymi postaciami, namalowane przez Antonello da Messina. Najpierw zdziwiłem się niezmiernie widząc ich, publicznie przebranych za kobiety, ale nagle przyszło mi na myśl, że to pewnie są mundury narzucone tym inwertytom przez sowieckie władze okupacyjne, w ich szale, zresztą może słusznym, zaszerogowania każdej wady i każdej zalety do pewnej kategorii społecznej, to jest nadania treści marksistowskiej każdej właściwości ludzkiej, nawet homoseksualizmowi.

Zacząłem się śmiać i śmiejąc się ruszyłem w stronę Piazza Colonna. Ale w chwili, gdy schodziłem z chodnika na jezdnię omal nie przewróciła mnie luksusowa maszyna amerykańska, w której leniwie rozłożony znajdował się jakiś osobnik w mundurze dostojnika komunistycznego. Facet ten wydawał mi się znajomy. Jak zauważyłem, taki mundur z hełmu mosiężnego przypominał strażaka, zaś z reszty odzwiernego. Na pewno



zgniotłyby mnie koła olbrzymiej maszyny, gdyby nie mój do-  
bry sąsiad z chodnika, sprzedawca sklepowy, który pociągnął  
mnie w tył ściskając mnie za ramię.

— Ależ ten — zapytałem go wskazując na dostojnika ko-  
munistycznego — czyż to nie jest Velio Spano?

— Naturalnie, że to on — odpowiedział sprzedawca.

— To mój stary przyjaciel — powiedziałem — człowiek szla-  
chetny i uczciwy. Tak mi przykro, że odnajduję go w mun-  
durze strażaka, ale tym nie mniej lubię go tak samo jak daw-  
niej. Myślę, że zrobili go Komisarzem Ludowym, albo czymś  
w tym rodzaju.

— Mówisz, że jest uczciwy i chcesz, żeby go zrobiono Komi-  
sarzem Ludowym? Już to jest wiele, jeżeli nie jest w niełasce.

— Nie jest w niełasce — powiedziałem — ale wydaje mi się,  
że mimo tego hełmu ma minę upokorzoną i skruszoną.

— Taka mina jest modna wśród komunistów — odrzekł  
sprzedawca — a jeśli idzie o Velio Spano, to mianowano go  
dyrektorem *L'Unità* organu oficjalnego Włoskiej Partii Komu-  
nistycznej.

— *L'Unità*? Czy przedtem nie nazywał on się *L'Unità*?

— Eh, dawniej!... odpowiedział sprzedawca, robiąc nieokreśl-  
ony ruch ręką.

#### R o z d z i a ł c z w a r t y

Pożegnałem mego sąsiada z trotuaru, szepnąwszy mu na ucho:  
„Nie traćmy nadziei” i poszedłem w stronę Piazza Colonna, bar-  
dziej znanego już pod nazwą placu Karola Marksa; rozgląda-  
łem się dokoła smutny, a zarazem rozbawiony.

Oh! ileż racji miał De Gasperi! — myślałem — któż może  
dać sobie radę z Historią Włoch? Nawet Stalin nie da rady.  
Kiedyś zwiedzałem Moskwę, podróżowałem wszędzie i wszędzie po  
całym Związku Radzieckim i wróciłem pełen podziwu i przera-  
żenia dla dokładności i surowości morale komunistycznego,  
dla surowej i ponuro szarej spartańskości życia sowieckiego, za-  
równo publicznego jak i prywatnego. A proszę popatrzeć tyl-  
ko jak tu, we Włoszech, w ciągu kilku miesięcy odtwarza się  
już to najsłynniejsze morale komunistyczne! Kaszka w mlecz-  
ku. Zwykłe braterstwo. Zawsze stara historia małżeństwa po-  
między Zygrydem a Pulcinellą. Proszę tylko spojrzeć jaki piękn-  
y jest ten nasz lud komunistyczny! Wszyscy w mundurach,  
wszyscy: mężczyźni i kobiety, starzy i dzieci, nawet garbaci,  
ułomni i zelowaci, kulawi i ślepi. I wszyscy z wyciągniętym ra-  
mieniem, ściśniętą pięścią, wszyscy pierś naprzód, wszyscy  
— dumny wzrok! Wszyscy bohaterzy od pierwszej chwili, wszy-  
scy komuniści od bohaterskiego wczoraj! I kto wie, czy na  
prawdę wszyscy nie stali się bohaterami? Przecież już prze-  
szło trzydzieści lat jak trudnią się tym błogosławionym zawo-  
dem, więc powinni się go byli chyba nauczyć. Oh, jeśli ci biedni  
Rosjanie nie będą uważali, gotowi skończyć tak samo jak Niem-  
cy. Wielki naród włoski! Przeciw nam nikt nic nie może.

Velio Spano — socjalista z partii Nenniego.

\*) *L'Unità* — poniżenie; *L'Unità* — jedność.

Pulcinella — groteskowa postać z ludowej komedii wiośkiej.

To prawda, że jesteśmy słabi, to prawda, że nie mamy grosza  
w kieszeni, że mamy zbyt wielu generałów, że nie mamy bro-  
ni ze stali, ale z lanego żelaza, ale proszę tylko spróbować i  
wypowiedzieć nam wojnę! Mam na myśli, że my też mamy  
matki i że i my przegrywamy wojny, tak jak i inni synowie.  
Ale my przegrywamy wojny innych, jeśli idzie o nasze wygry-  
wamy je wszyskie, z cicha pęk, na nasz rachunek, nie robiąc  
nikomu nic złego. Zaś te, które przegrywamy na rachunek in-  
nych, przegrywamy bardziej giadko niż inni je wygrywają —  
a to jest dużo powiedziane. Zresztą, w tych czasach, jest bardzo  
trudno wiedzieć czy jakaś wojna jest wygrana czy przegrana!  
Któż rozumie cokolwiek w podobnym nieładzie, w takiej obfi-  
tości złej wiary i zdrad? Rosjanie zajęli Włochy: w porządku.  
Wypełnili przecież, biedaki, swoją pracę zwycięzców byle tylko  
nie przeszkodzić nam w wypełnieniu naszej — zwyciężonych.  
Poza tym, wojny zwycięża ten, kto ma rację, a przegrywa ten  
kto się myli. Może być, że Rosjanie w odniesieniu do Ameryki  
mają rację, ale jest pewne, że w odniesieniu do nas byli w błę-  
dzie. I od tej chwili, kiedy popełnili błąd ani Marks, ani Lenin,  
ani Stalin, ani Togliatti nie zdzierzą. Gdyż wielka siła narodu  
włoskiego leży w tym, że się myli w wielu rzeczach, ale nigdy  
w sednie rzeczy. A siła, dzięki której zawsze udaje mu się ura-  
tować, polega na tym, że nigdy nie idzie wbrew sprawiedliwo-  
ści, a przede wszystkim przeciw tej najwyższej formie sprawie-  
dliwości jaką jest dobroć.

Tak myślałem sobie, idąc przez Prospekt Stalina w stronę  
Placu Karola Marksa i obserwując jednocześnie ciekawie bar-  
wne widowisko, jakie otwierało się moim oczom. Długie ogonki  
stały przed państwowymi magazynami, tj. Proletarmagami z  
tytoniem, chlebem czy z towarami kolonialnymi, nazywanymi  
teraz: „nartabak”, „narpiek”, „narkol” i przed popularnymi  
restauracjami, nazywanymi obecnie oficjalnie stołówkami pań-  
stwowymi, a które narodek przezwał „Stolcem Państwa”.

Mój wzrok badawczo wpatrzony w tłum, coraz to przyciąga-  
ły bardzo dziwne postacie, ubrane w białe spodenki, sięgające  
kolan, w białą żakietkę niby marynarski z podwójnym kołnier-  
zem, leżącym na ramionach (po obu zewnętrznych rogach koł-  
nierza zamiast kotwic były wyhaftowane dwa małe czarne krzy-  
że), oraz okrągłe berety bez randa, również białe, ale ozdobione  
czarną wstążką, na której zamiast nazwy statków na przykład  
Duilio, Cavour czy Benedetto Brin, wyhaftowane były nazwy  
parafii: San Lorenzo, San Saba, Sant'Agnesa. Ponieważ nie ro-  
zumiałem co to może być za rodzaj umundurowania, dodawszy  
sobie odwagi, zbliżyłem się do jednego z tych dziwnych mary-  
narzy, który szedł z oczami spuszczoneymi, upokorzony i bied-  
ny i zapytałem go co jest powodem, że jest ubrany w tak szcze-  
gólny sposób.

— Jestem duchownym — odpowiedział mi z biednym uśmie-  
chem — i podniósł oczy. Był to człowiek ni młody, ni stary,  
szczupły, a skórze szarej i naprawdę nie wiem z jakiego powo-  
du zauważyłem, że to był ksiądz. Spojrzał na mnie z uśmie-  
chem i zniżając głos zapytał: „Czy pan jest cudzoziemcem?”

Odpowiedziałem mu, że jestem Włochem, że dopiero kilka go-  
dzin temu wyszedłem z więzienia i że wskutek tego nie rozezna-  
ję się jeszcze w wielu nowych rzeczach, które zaczynam do-

strzegać naokoło siebie. Usłyszawszy, że tylko co wypuszczono mnie z więzienia, biedny ksiądz rozjaśnił twarz i opowiedział mi krótko, że nowy rząd komunistyczny, nie mogąc nagiąć Kościoła według swoich chęci, poszedł na jego ośmieszenie, zmuszając księży do publicznego noszenia tych bezbożnych i śmiesznych mundurów, obrażających bardziej tych, którzy nakazali je nosić, niż tych, którzy zmuszeni byli je włożyć. „Nie dziwi mnie — mówił biedny ksiądz — że Rosjanie wymyślili to i że pragnęli świętokradztwa, ponieważ są narodem, który nie należy do wspólnoty Kościoła Katolickiego. Ale zadziwiające jest, że Jego Eksceleńcja Palmiro Togliatti mógł, we własnym imieniu, nakazać podobną bezbożność! Jego Eksceleńcja Palmiro Togliatti, był ochrzczony, komunikowany i bierzmowany i podobne świętokradztwo nie jest godne jego: Włocha i katolika. Ale proszę tylko spojrzeć jakie śliczne osiągnął wyniki: niech pan spojrzysz dokoła i powie mi łaskawie, czy duchowni nie są dzisiaj bardziej poważani niż za czasów Jego Eksceleńcji De Gasperi'ego.”

Odwróciłem się i zobaczyłem z radością i wzruszeniem dla siebie samego nieoczekiwanym (ponieważ, jak wszyscy wiedzą, nigdy nie kochałem zbytnio księży), że tłum dokoła nas usuwał się z uszanowaniem i że wszyscy z uśmiechem pochylali głowy.

— Czy pan widzi? — zapytał mój biedny ksiądz. W tej samej chwili nadciągnęła niespodziewanie długa kolumna samochodów ciężarowych, pełnych umundurowanych młodzieńców, którzy krzyczeli i gestykulowali (jak się potem dowiedziałem, byli to rekruci z Czerwonej Armii Włoskiej, którzy jechali na front); kolumna ta rozdzieliła nas, odrzucając mnie w jedną stronę, a księdza w drugą. Po kilku chwilach straciłem go z oczu. Kiedy udało mi się wydostać na powierzchnię z otchłani tłumy, ksiądz był już daleko: uśmiechnął się do mnie, pokławił ręką i znikł.

Znajdujący się na rogu Via del Parlamento, dziś nazwanej ulicą Kalinina, Banco di Sicilia, został przemianowany na Proletarsyebank; znajdująca się trochę dalej kawiarnia Aragno — na winiarnię ludową, czyli Proletarwin, zaś dom towarowy Rinascente na Uniwermag. Podniosłem oczy i przeczytałem na frontonie pałacu Marignoli następujące słowa wymalowane czerwono: *Trzeba wierzyć, być postusznym i walczyć*. Pomyślałem, że i dawniej trzeba było wierzyć, słuchać i walczyć i że w tym względzie komuniści nie wymyślili nic nowego. Na placu Karola Marksa, wzdłuż frontonu pałacu Wedekind, gdzie ongiś znajdowała się redakcja dziennika Angiolillo'a, *Il Tempo*, powiewała olbrzymia płachta z napisem: *Stalin ma zawsze rację*. Pomyślałem sobie, że tym razem komuniści nareszcie wymyślili coś zgoła nowego, gdyż każdy Włoch, od czasu Mussoliniego, zawsze wątpił w tę prawdę tak prostą i starą.

W tej samej chwili bezwiednie spojrzałem na okna Pałacu Chigi i aż zarumieniłem się ze zdumienia i radości, gdy za szybami okien na pierwszym piętrze zobaczyłem te same uśmiechnięte twarze (były to twarze przyjaciół, twarze mi drogie), które podnosząc oczy widziałem codziennie za czasów Galeazzo Ciano. Byli tam wszyscy, nie brakowało ani jednego i cieszyłem się za nich i za siebie. Cieszyłem się przede wszystkim ze względu na kraj. Wcale nieźle — pomyślałem — że przy ta-

kich niepotrzebnych i szkodliwych zmianach, rząd komunistyczny uznaje świętą zasadę kontynuowania polityki zagranicznej. Dokąd by to nas doprowadziło, gdyby pogwałcona została ta zasada, którą słusznie respektuje każdy cywilizowany naród, jako pewną gwarancję własnej przyszłości? Wszyscy moi przyjaciele patrzyli na mnie z uśmiechem, dając mi znaki oczami i ręką, jakby chcieli mi powiedzieć, żebym spojrzął w dół, tam, poniżej okien. Zniżyłem wzrok i na stopniach Pałacu Chigi zobaczyłem dawnego podsekretarza w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, komunistę, czcigodnego Celeste Negarville, który we wspomniałym nowiuieńkim mundurze odźwiernego patrzył na mnie surowo. Roześmiałem się ubawiony, myśląc, że Negarville jako odźwierny, zaś Sforza w domu wariatów to najbardziej zadawalające objawy dobrego stanu naszej polityki zagranicznej.

Mury dawnego Corso Umberto były wytapetowane ogromnymi portretami Prezesa Rady Min., Palmiro Togliatti, ale był to Togliatti, którego w pierwszej chwili z trudnością poznałem: dawny Palmiro o myślącym wyglądzie, wargach wąskich i bladych i oczach krótkowidza, przekształcił się, być może wskutek wieku, w Palmira o kwadratowej szczęce, błyszczących oczach, z gęstymi włosami à la Stalin. *Zwyciężymy!* czytałem na niezliczonych afiszach, porozlepianych na murach domów, na szynkach Proletarmagów, na autobusach. Te kartki, być może zapomniane na murach od dalekiego okresu Mussoliniego, przypomniały mi, że Włochy są znowu w wojnie z Anglią i Ameryką i w związku z tym nic nie wydawało mi się słowem bardziej właściwym dla wzmocnienia w narodzie włoskim pewności w zwycięstwo, jak właśnie to słowo: *Zwyciężymy!*

Ogromna czerwona chorągiew zwieszała się ze słynnego balkonu w Pałacu Weneckim; wyobrażałem sobie, że Togliatti przemawia z niego do tłumów. Frontowa część Pałacu, gdzie niegdyś miał siedzibę Centralny Związek Przemysłu, a gdzie obecnie znajdowała się Organizacja Narodowa Wczasów Ludowych, była przepasana na krzyż, przez całą swoją szerokość, gigantyczną płachtą, na której wielkimi literami wypisane było prorocze motto potężnej organizacji wywczasowej: *Prima riposo dopo lavoro*\*).

Ach — powiedziałem sobie — cóż to za wielki naród, ci Włosi! Wszystko dla nich jest ludzkie i proste, nawet morale komunistyczne, nawet stachanówka. *Prima riposo dopo lavoro*. Oto, w kilka prostych słowach uczciwe i przyjemne morale włoskiego stachanowizmu, tak diamentalnie różne od twardego, surowego, bezlitosnego morale stachanowizmu rosyjskiego! Oto podsumowanie w kilku prostych słowach szlachetnej misji cywilizacyjnej naszego narodu: przetłumaczona na język ludzki niehumanitarna surowość komunizmu sowieckiego! Tak mówiłem do siebie, opanowany patriotyczną dumą. Nagle jednak spoważniałem, ujrawszy o kilka kroków od siebie rosyjskiego policjanta, który przyglądał mi się badawczo. Oddaliłem się szybko i natychmiast zmieszałem się z tłumem.

\* Jest to gra słów niemożliwa do oddania w języku polskim: *prima riposo* dopolavoro znaczy *Po pracy przede wszystkim odpoczynek*, zaś *Prima riposo dopo lavoro* znaczy *Odpoczynek przed pracą*.

Najdziwniejsze w tym tłumie było to, że wszyscy mówili głośno, zamieniając, a raczej rzucając sobie w twarz, często z jednej strony ulicy na drugą, własne myśli i własne wrażenia, w nadziei, że usłyszą je niezliczeni agenci, krążący pomiędzy ludźmi przyzwoitymi i że zawiadomią w jakiś sposób rząd, że oni są nie tylko ludźmi swobodnie myślącymi, ale przede wszystkim praworządnie myślącymi.

— Trzeba, żebym i ja nauczył się wypowiadać głośno to co myślę — powiedziałem do siebie i zbliżywszy się do jakiegoś afisza, przed którym było małe zbiegowisko ludzi krzyczących i gestykujących z entuzjazmem (afisz chwalał zajęcie wyspy Krety przez spadochroniarzy sowieckich), zacząłem szeptać: „Hurra! Niech żyje Marszałek Stalin, genialny ojciec narodów i niezwykciona Armia Czerwona”. Ale niepostrzeżenie dla siebie mówiłem dalej to, co myślałem naprawdę: „Wspaniała wiadomość! To jest na pewno jedna ze zwykłych wiadomości propagandy komunistycznej!” Wszyscy odwrócili się i spojrzeli na mnie; dokoła mnie zrobiła się głęboka cisza.

— Jakto! Ośmielacie się wątpić w to, że nasze bohaterskie wojska zajęły Kretę? — krzyknął mi do ucha jakiś człowiek łysy, ale brodaty, ukrywający oczy za czarnymi okularami i ścisnął mnie gwałtownie za ramię.

— Nasze wojska? — wybełkotałem — wojska włoskie?

— Wojska rosyjskie! — wykrzyknął nieznajomy — nie wiecie zatem, że żołnierze rosyjscy to *nasz* żołnierze? To mówiąc wyciągnął mnie za ramię z tłumy.

Spojrzałem na niego uważnie i zadrżałem że zdumienia i radości.

— To ty? — krzyknąłem — to naprawdę ty?

— Cicho! — odpowiedział mi zniżając głos i przyspieszając kroku. A gdy oddaliliśmy się nieco od tego nieszczonego ogłoszenia dodał: „Naturalnie, że to ja! A niby kim mam być?”

Był to Pietro Nenni. Dawny towarzysz Mussoliniego, dawny uchodźca antyfaszystowski, dawny przywódca Włoskiej Partii Socjalistycznej, dawny Wysoki Komisarz Defaszycacji, dawny leader filokomunistycznych prądów w socjalizmie włoskim. Był tutaj, przede mną. Nosił gestą brodę i czarne okulary.

— Ty? — wykrzyknąłem — w tym stanie?

— O co ci idzie? — powiedział Nenni.

— O tę maskaradę: o zarost i czarne szkła! Myślałem sobie, kto wie, gdzie ty jesteś i kto wie na jakim stanowisku: Wiceprezydenta Rady, Komisarza Ludowego dla Spraw Zagranicznych, Ambasadora w Moskwie... a znajduję cię tu, na ulicy, w ciemnych okularach i z fałszywą brodą.

— Moja broda jest prawdziwa! — powiedział Nenni, oglądając się wkoło siebie podejrzliwie, a poza tym to i tak wiele, że żyje, a ty jakbyś mi to zarzucał! Zawdzięczam memu filokomunizmowi, że nie wiele brakowało, żeby mnie rozstrzelali... Oh, złe czasy idą dla komunistów i dla ich przyjaciół! Ale tutaj nie możemy rozmawiać... nigdy nie wiadomo. Chodźmy do jakiegoś Proletarkawu, gdzie będziemy mogli pogadać bezpiecznie.

— Proletarkaw? A cóż to takiego?

— Kawiarnia ludowa — odpowiedział Nenni — o tej po-

Pietro Nenni — przywódca socjalistów filokomunistycznych.

rze w Proletarkawach nie ma nikogo, wszyscy agenci są teraz na ulicach i oddychają świeżym powietrzem. Chodź, wejdziemy tutaj. Tak mówiąc przekroczył próg jakiejś kawiarni, w której gruby i obwisły kelner drzemał w kącie, trzymając na kolanach kota.

Zamówiliśmy jakieś dwa napoje i zaczęliśmy rozmawiać po cichu. Nenni był przestraszony i od czasu do czasu rzucał w kierunku drzwi zaniepokojone spojrzenia.

— Czegoż się boisz? — zapytałem — może myślisz, że ten kot to przebrany policjant?

— Nigdy nie wiadomo — odpowiedział Nenni — wczoraj mianowano nowego Komisarza Ludowego dla Spraw Wewnętrznych, to jakiś Rosjanin, straszny człowiek, mówią, że specjalnie przysłany z Moskwy, jakiś Missiroliski...

— Missiroliski? — wykrzyknąłem — ależ to jest Missirol!

— Missirol! Niemożliwe, minął już ładny kawałek czasu jak Missiroli zniknął i dotąd nic o nim nie wiadomo! Mówię ci, że ten nazywa się Missiroliski!

— Missiroliski i Missirol to jedna i ta sama osoba — powiedziałem, podając mu szczegóły mojego spotkania w *Regina Coeli* z De Gasperi'm i Scelbą, nieoczekiwanej wizyty sowieckiego urzędnika, jego propozycji i odmowy Scelby...

— Scelba odmówił! — krzyknął Pietro Nenni.

— Naturalnie — następnie powtórzyłem mu powzięcie przez urzędnika sowieckiego decyzji zwrócenia się z taką samą propozycją do Missiroliego.

— A więc, to musi być on! — wykrzyknął Pietro Nenni, blednąc — i ty dziwisz się, że ja się boję? Któż może się ukryć przed Missirolim? W krótkim czasie nie będzie w całych Włoszech ani jednego komunisty, który by nie siedział w więzieniu. Ale, cóż ja mówię! Nie tylko komunisty, nie będzie również na wolności ani jednego antykomunisty, faszysty czy antyfaszysty. Missirol jest dawnym i nieprzejednanym przeciwnikiem tych wszystkich, którzy byli *za*, oraz tych wszystkich, którzy byli *przeciw*. On jest obiektywny.

— Obiektywny anastygmatyk — powiedziałem.

— Właśnie tak. Zresztą, na początek, Missirol aresztował tej nocy Di Vittorio.

— Di Vittorio? Przewodniczącego komunistów na Generalnej Konfederacji Pracy?

— Ni mniej, ni więcej — odrzekł Pietro Nenni i odpowiedział, że Di Vittorio został aresztowany o pierwszej w nocy w Cerignoli, swoim mieście rodzinnym, w pałacu hrabiego Antonio Pavoncelli, jednego z największych obszarników w Pulii.

— A cóż tu ma do rzeczy mój przyjaciel Antonio Pavoncelli?

— Cóż ma do rzeczy? — wykrzyknął Nenni — nie czytałeś dzisiejszych porannych gazet? Wydaje się, że Antonio Pavoncelli i Di Vittorio nie zorientowali się w jakich czasach żyją. Di Vittorio i jego żona nie opuszczali ani jednego balu czy przyjęcia w domu Pavoncellich, podczas gdy biedni najemnicy z Cerignoli i całej Pulii umierają z głodu w swoich kurnych chatkach. W chwili aresztowania Di Vittorio tańczył, nie wiem

Di Vittorio — komunista, sekretarz generalny włoskich Związków Zawodowych.

czy z własną żoną, czy też z żoną Pavoncelliego. Nie jestem w stanie ci powtórzyć co dzienniki wypisują o tym biednym Di Vittorio: oskarżają go, że sprzedawczyk, że kapitalista, że trockista, uważają że był po stronie pulijskich właścicieli ziemskich, że im pomagał, że zdradził proletariata... A wszystko to zdaje się od tego czasu, gdy wyszło na jaw, że Di Vittorio ocalał od konfiskaty majątek ziemski swego przyjaciela Pavoncelli. Nie można powiedzieć, we Włoszech w dalszym ciągu wszystkie sprawy załatwia się w rodzinie!

— Szkoda — powiedziałem — w gruncie rzeczy Di Vittorio był porządnym człowiekiem.

— Corbino też był porządnym człowiekiem, a tym niemniej Missiroli i jego kazał aresztować — powiedział Pietro Nenni.

— Epicarmo Corbino? — wykrzyknąłem — ten liberał? dawny Minister Skarbu? w więzieniu? w jaki sposób? kiedy? dlaczego?

— Zaaresztowano go wczoraj o północy w jego własnym domu, za jego poglądy zbyt liberalne. W każdym razie tak padały dzienniki.

— Ale, jeżeli można wiedzieć, kogo słucha Missiroli: Moskwy czy Waszyngtonu?

— Gdy wsadza do więzienia komunistów — służy interesom Moskwy, ale kiedy aresztuje liberałów — działa na rzecz Waszyngtonu.

— Powinno by być wprost przeciwnie! — zawołałem.

— Dlaczego? — powiedział Nenni — czyś jeszcze dotąd nie zrozumiał, że Rosjanie weszli do Europy po to, aby prowadzić wojnę z Ameryką, nie zaś w celu wywołania tu rewolucji komunistycznej, i dlatego leży w ich interesie wyłowienie tych wszystkich jak na przykład komunistów europejskich — którzy chcieliby, aby Rosjanie — zamiast tracić czas na wojnę z Ameryką, zrobili w Europie rewolucję komunistyczną. Nie rozumiesz chyba i tego, że Ameryce zależy na tym, aby Rosja poświęciła swój czas na wywołanie rewolucji komunistycznej w Europie, zamiast na prowadzenie wojny. W związku z tym Ameryce zależy, aby wyłapać wszystkich, którzy — jak na przykład liberałowie — pragną, aby Rosja zamiast przewrotu komunistycznego w Europie traciła czas na wojnę z Ameryką.

— To jest jasne — powiedziałem — ale któż może się w tym wszystkim wyznać?

W tej chwili kelner, powłócząc nogami, zbliżył się do aparatu radiowego i przekręcając guzik odwrócił się do nas i zapytał: „Towarzysze, chcecie posłuchać Londynu?”

— Radio Londyn? — krzyknąłem — więc to nie jest zabronione?

— Nie ma żadnego powodu, aby było zabronione — odpowiedział kelner — już i tak nikt nie wierzy bredzeniom Londynu. Po pięknych doświadczeniach ubiegłej wojny cóż za głupiec mógłby wierzyć Londynowi?

— Byłem przekonany, że Rosjanie...

— Eh, Rosjanie nie są tak głupi na jakich wyglądają! Czy wiecie jaki koniec spotkał wszystkich dobrych Włochów, którzy w czasie ubiegłej wojny mówili w radio londyńskim? Wszy-

Corbino Epicarmo — prof. literatury włoskiej, obecny min. odbudowy.

scy w więzieniu! I z jakiego powodu? Pod pretekstem, że mówili źle po włosku. Eh, Rosjanie nie wierzą ludziom zbyt związany z Anglikami... Ale, słuchajcie, oto przy mikrofonie generał Stevens...

— Myślicie chyba o pułkowniku Stevensie...

— Nie wiecie, że mianowali go generałem? I pomyśleć, że już jako pułkownik był zupełnie zdzieciniałym... Ale słuchajcie! słuchajcie jak on mówi! Zawsze te same historie, zwykle banialuki, zawsze to samo, ani mniej ani więcej jak to co opowiadał w czasie ubiegłej wojny!

W czasie, gdy przemawiał generał Stevens, powtarzając zwykle nudne gadaniny sprzed tylu lat, zauważyłem obwieszczenie, przyklejone pośrodku lustra, akurat naprzeciwko nas. Obwieszczenie podawało doborowy program rozrywek publicznych na niedzielę po południu takiego to i takiego dnia (a coś mi się zdawało, że właśnie była niedziela), mających na celu „kształcenie proletariatu rzymskiego w duchu rewolucji.” Program podawał: o godzinie 15-tej przy Muro Torto odbędzie się rozstrzelanie Jedenastki z Lazio; o godz. 16-ej na Piazza del Popolo trzej dawni przewodniczący Rady Ministrów: Orlando, Nititi i Bonomi wygłoszą przemówienie w obronie Konstytucji, Wolności i Demokracji; o godz. 17-ej Gino Bartali „przybędzie ostatni” w wyścigu rowerzystów na torze w motowłodromie Appio.

— Jedenastka z Lazio? — krzyknąłem — rozstrzeliwują piłkarzy z Lazio?

— Ależ tu nie idzie o graczy w piłkę nożną — odpowiedział śmiejąc się Pietro Nenni, — ale o jedenastu „ochotników śmierci” z Lazio, o drużynę męczenników, wśród których znajdują się: Senator Renato Angiolillo, Meuccio Ruini, Ojciec Lombardi, Comm. Brusadelli, bandyta Giuliano, Luigi Cimara, Goffredo Bellonci, adwokat Berlinguer oraz trzy kobiety wybrane spośród doborowego grona kobiet z inteligencji włoskiej. Są to Maria Luiza Astaldi, oraz dwie rywalki: Maria Bellonci i Alba de Cespedes. W przyszłą niedzielę będzie Jedenastka Rzymska, cała drużyna złożona z członków Koła Łowieckiego. Najpiękniejsza grupa, bardzo elegancka. Każde miasto ma już swoją drużynę „ochotników śmierci”: Mediolan ma mediolańską, Turyn ma Juventus, Livorno ma...

— Więc drużyny piłkarskie: Juventus, Mediolan, Lazio, Bo-

Muro Torto — Jedno z miejsc straceń w Rzymie, w średniowieczu.

Orlando — b. premier, liberał, podpisał Traktat Wersalski w imieniu Włoch w 1949. Ur. w 1864 r. Jest obecnie najstarszym senatorem.

Nititi — b. premier, liberał, obecny senator, ur. 1869 r., wróg faszyzmu.

Bonomi — b. premier, obecnie prezes Senatu, ur. 1873 r. ex socjalista, teraz liberał.

Padre Lombardi — głośny kaznodzieja, walczący z komunizmem. Jezuita. Brusadelli Comm. — wybitny faszysta. Rodzina Brusadellich milionerzy włoscy z okresu Mussoliniego.

Giuliano — bandyta sycylijski, który terroryzuje Sycylię. Mimo licznych obław policja nie może go schwycić. Obecnie postać arcypopularna.

Goffredo Bellonci — dziennikarz.

Berlinguer. — adwokat, jeden z przywódców b. Partito d'azione. Socjalista komunizujący.

logna, Rzym zostały już rozwiązane? Ależ dlaczego? Czyżby Rosjanie byli przeciwnikami gry w piłkę nożną?

— Przeciwnikami? — odpowiedział Pietro Nenni — ależ wprost przeciwnie, oni są również entuzjastami, jak i my, tylko w sposób nieco odmienny od naszego. Rosjanie po prostu pozmieniali nazwy drużyn piłkarskich, nic więcej: Jeventus nazywa się teraz Stalin, turyńska drużyna — Lenin, mediolańska — Karol Marks, bolońska — Mołotow, i tak dalej, naturalnie drużyny słabsze zostały ochrzczone nazwiskami bardziej skromnymi na przykład: Togliatti, Secchia, Longo i innymi. A to dlatego, że w ogóle nie wchodzi w rachubę i jest zupełnie nie do pomyślenia, aby Stalin dał się pobić przez Togliattiego, albo Lenin przez Secchię. W ten sposób drużyny Stalin, Lenin i Marks zawsze zwyciężają. Jeżeli zaś jakimś nieostrożnemu graczowi z drużyny Longo czy Togliatti zdarzy się, że omyłkowo lub przez nieuwagę wsadzi gola w bramkę drużyny Stalin czy Lenin, to może być rozstrzelany na miejscu.

— Ależ to jest idiotyzm — krzyknąłem.

— To jest gra w piłkę nożną na sposób rosyjski i nie radzę ci, abyś uważał go za śmieszny... Ale zostawmy piłkę nożną i wróćmy do rozstrzeliwań. Jeżeli chcesz możemy iść do Muro Torto; zobaczymy rozstrzelanie drużyny Lazio. To bardzo zabawne widowisko, zobaczysz.

— Zabawne? Mnie nie bawi oglądanie egzekucji!

— Bardzo szybko się przyzwyczaisz — powiedział Pietro Nenni wstając. W końcu będzie ci się to nawet podobać. W każdą niedzielę o trzeciej popołudniu punktualnie, Rosjanie w obecności ogromnej masy ludzi rozstrzeliwują Jedenastkę z Lazio, albo Jedenastkę Rzymską, a w niektóre niedziele nawet obydwie razem. Założę się, drogi Malaparte, że ty również będziesz entuzjastą rozstrzeliwań!... Rozstrzeliwują, samo przez się rozumie się, że to jest taki sposób mówienia. Rosjanie bardzo się pilnują, aby nie robić we Włoszech tego, co robią w pozostałych krajach Europy, gdzie mordują ludzi dowoili. U nas nie zabijają nikogo. Rozstrzeliwują, ale nie zabijają. Wiedzą dobrze, że naród włoski nie przebaczy temu, kto przelał choć kropkę krwi, ale wiedzą również, że na Włochów wywiera wielkie wrażenie egzekucja, nawet zmyślona i że na równi z prawdziwą osiąga cel. Celem tym jest wzbudzenie strachu w ludziach i przemówienie do rozsądku nieprawowiernie myślącym. I tak w każdą niedzielę rozstrzeliwują, a raczej udają, że rozstrzeliwują albo drużynę Lazio, albo Rzymską. Dzisiaj będzie Lazio. Wspomniała drużyna, bardzo zrozumiała. Naturalnie jedenastka tych, jakoby to ich nazwać, graczy, to zawsze ci sami ludzie, doszli już do perfekcji w sztuce pozwalania się rozstrzeliwać. Zobaczysz: Renato Angiolillo. Albo Albę de Cespedes. Co za odwaga! Jaka dystynkcja. To są rozstrzeliwani na dużym poziomie!

— To jest okropne — westchnąłem.

— Mój drogi, trzeba z czegoś żyć! Tamci przebijają się przez życie pozwalając się rozstrzeliwać co niedzielę. Jakie czasy, takie zawody!

Przyszedłszy do Muro Torto akurat w chwili, gdy z więziennej karetki wyprowadzono jedenastu skazanych na śmierć, skutych kajdankami. Comm. Brusadelli, który reprezentował w drużynie Lazio krótkowzroczny kapitalizm doliny Po, był wię-

cej niż blady, był ziemisty: jego wargi sine i spuchnięte drżały konwulsyjnie. Twarz Renato Angiolillo odznaczała się nie tyle bladością śmierci ile dumą. Był najelegantszy, jak zawsze ogolony i uczesany z największą starannością. Nosił szare dwurzędowe ubranie, płomiennie-żółty jedwabny krawat, zamiszowe mokasyny, rękawiczki z peccari i miał monokl w oku. Uśmiechał się wzgardliwie obrzucając tłum wzrokiem, w którym poza politowaniem widniała duma. Spostrzegłem z niezadowolaniem, że utył i że wyrosły mu włosy, zwłaszcza na karku. Być może nosi perukę — pomyślałem.

Ojciec Lombardi był najpogodniejszy ze wszystkich. Przyciskał do piersi mały srebrny krzyż i wznosił oczy do nieba, na pewno nie po to, by szukać w nim pocieszenia, lecz by wymodlić u Boga przebaczenie dla swoich katów. Pomiędzy Ojcem Lombardi i małym, szczupłym, żółtym człowieczkiem, w którym od razu poznałem adwokata Berlinguera, siedział bandyta Giuliano. Twarz miał kościstą, głupią i brzydką: dawna jej dzikość zmieniła się obecnie w przerażenie. Adwokat Berlinguer, dawny nieludzki inkwizytor, spoglądał niespokojnie dokoła siebie spod spuszczonej oczu. Był on najdroższym i najdawniejszym z moich przyjaciół, lubiłem go i przykro było mi oglądać go teraz w tym tragicznym momencie. Był on wiele mniej pewny siebie niż wtedy, gdy z tak wielkim wdziękiem i tak wielkodusznie rozdzielał wyroki śmierci. Goffredo Bellonci był na prawdę doskonały, bez kropli krwi w twarzy, przezroczyście, grzeczny i surowy zarazem, uśmiechał się do nieba, do chmur i do ludzi, nieznanym czy niepamiętanym, do ducha Giosue Carducci, błądzącego pomiędzy drzewami Pincio. Wydawało się, że jest zachwycony. Jedynie Luigi Cimara nie wydawał się na właściwym miejscu. To zupełnie co innego deklamować na scenie, a co innego deklamować w życiu. Meuccio Ruini, pogrążony w dalekich myślach podawał ramię Marii Luizie Astaldi, zaś Maria Bellonci trzymała pod rękę Albę de Cespedes, która szła wolno, jak święta, z twarzą zwróconą do nieba.

Jedenastu skazańców ustawiło się plecami do Muro Torto i bohatersko oczekiwali na śmierć. Tłum milczał, tylko tu i ówdzie dawały się słyszeć z trudem powstrzymywane łkania, i westchnienia i ponure głosy: „O matko moja”, „o Panno święta!”. Pluton żołnierzy sowieckich ustawił się twarzą do skazanych; jakiś człowiek w czarnym ubraniu odczytał głośno wyrok, którego nie dosłyszałem, tak byłem wzruszony; oficer dowodzący plutonem egzekucyjnym podał komendę „ognia”, po której nastąpiła podwójna salwa. Jedenastu męczenników padło podziurawionych kulami. Jedynie tylko Angiolillo nie zwałił się na ziemię od razu: stał jeszcze chwilę, przyciskając obie ręce do serca, jego biała twarz skurczyła się grymasem bólu i bezsilnej wściekłości. Potem krzyknął: „*Prez z Włochami! prez z wolnością!*” Następnie wolno, wolniutko opadł na ziemię. Oficer sowiecki zbliżył się do umierającego z rewolwerem w dłoni i dobił go wystrzałem w ucho. Męczennik wznosił słodko oczy, uśmiechnął się do swego kata i oddał ostatnie tchnienie.

Oficer cofnął się w tył o kilka kroków i wydał jakiś suchy rozkaz. Na jego głos trupy jedenastu rozstrzelanych podniosły się w pośpiechu, ustawiły się w szereg i poszły w stronę więziennej karetki, znikając w niej, jeden za drugim. Karetka odje-

chała, wznecając tuman kurzu, zaś tłum niemy z przerażenia począł się przeredzać.

— Jak ten poczciwy Angiolillo przesadza! — powiedział Pietro Nenni, gdy szliśmy w stronę Piazza del Popolo — tym razem znowu tak wszystko zrobił, żeby zmuszeni byli dodać mu „strzał łaski”. A poza tym, ta jego mania odgrywania bohatera, to się pewnego dnia skończy jakąś biedą. Czyś ty słyszał co on krzyczał przed śmiercią? Wołał: *Precz z Włochami! precz z wolnościami!*

— To chyba jakiś lapsus — powiedziałem — bez wątpienia chciał krzyknąć: *Niech żyją Włochy! niech żyje wolność!* Pomylił się. Zrozum: wzruszenie, ból, strach... Nie każdy rodzi się bohaterem.

— Tak, to prawda, ale Angiolillo mylił się zbyt często! Wiesz co krzyczał dwie niedziele temu? Krzyczał: *Precz z wolnością prasy!* Nie wydaje ci się, że to przesada?

— Być może krzyczał tak naumyślnie, aby podobać się Rosjanom. Widzisz, mój drogi Nenni, Angiolillo jest bardziej chytry, niż sobie wyobrażasz: tymczasem wynalazł sposób umierania w każdą niedzielę. Tego dnia, kiedy Rosjanie zdecydują się rozstrzelać ciebie i mnie, my będziemy krzyknąć: *Niech żyje wolność prasy!* ale nas rozstrzelają naprawdę i tylko jeden raz.

## R o z d z i a ł   p i ą t y

W chwili, kiedy przez łuk bramy wchodziliśmy na Piazza del Popolo stentorowy okrzyk: „Uwaga! Uwaga! rozbrzmiewał z megafonu, umieszczonego przy wejściu do dawnych koszar CC. RR. (Karabinierów Królewskich), które były następnie CC. RR. (koszarami Karabinierów Rzeczypospolitej), a dzisiaj przemianowane zostały wreszcie na CC. RR. (koszary Karabinierów Czerwonych). Kwatery Główna Dowództwa sowieckich wojsk zbrojnych ogłasza: *Dzisiaj, o godzinie pierwszej, której pomimo naszych największych wysiłków, nie można było ustalić, nasze bohaterskie oddziały przekroczyły granicę w Pirenejach i zajęły Hiszpanię, pokonując zawzięty opór najemnych wojsk Generata Franco.*

Pietro Nenni zatrzymał się natychmiast i opierając się o mur kościoła Santa Maria del Popolo wydał jęk, który bardziej przypominał przerażenie niż zdziwienie.

— Słyszałeś — wykrzyknął — mamy wojnę, prawdziwą wojnę, totalną i bezlitosną! Znowu zaczyna się bitwa, bombardowania, zniszczenia i rzezie. I po co to wszystko? — Ujrzałem, że w jego wzroku błyszczy jakiś przedziwny płomień przerażenia, jaki pali się w oczach świętego Pawła na drodze z Damasku na obrazie Caravaggio, wiszącym właśnie w tym samym kościele, o mury którego opierał się blady jak śmierć Pietro Nenni.

Potężny krzyk entuzjazmu rozbrzmiał na wiadomość o zajęciu Hiszpanii: tłum, który zalewał Piazza del Popolo szalał z radości. Wszyscy śmieli się, wołali, płakali, obejmowali jeden drugiego, powiewając kapeluszami i chusteczkami.

— Popatrz tylko, jacy zadowoleni! — zawołał Pietro Nenni — i pomyśleć, że przecież tych wszystkich ludzi nie a nic nie obchodzi, ani zajęcie Hiszpanii, ani zwycięstwo sowieckie!

— Mylisz się — powiedziałem — naród włoski oklaskuje

zwycięstwa własnych ciemniejszych jedynie dlatego, że zwycięstwa te prowadzą tychże do zguby.

— A więc dlaczego tenże sam tłum oklaskiwał mnie przez tyle lat? Może ja byłem ciemniejszą?

— Bito ci brawo dlatego, abyś zrozumiał, że prowadząc nadal politykę przyjaźni z komunistami, skończysz źle. I jak widzisz...

— Zostawmy te rozmowy — powiedział Pietro Nenni — i chodźmy raczej posłuchać co myśli Pacciardi, odnośnie Hiszpanii.

— Pacciardi? a gdzie on jest?

— O dwa kroki stąd, na Via del Babuino.

— A co robi — zapytałem — czy dobrze mu się powodzi. Mam nadzieję, że nie skończył źle.

— Powodzi mu się jak najlepiej — odpowiedział Pietro Nenni — jest Przewodniczącym Centrali Mlecznej!

— Centrali Mlecznej? — wykrzyknąłem — przecież on był Ministrem Wojny?

— Był Ministrem Wojny — powiedział Pietro Nenni z chytłym uśmiechem — ale teraz jest mleczarzem.

— I współpracuje z komunistami!

— A cóż w tym dziwnego? Czyż nie współpracował z demochryścianami, on republikanin i antyklerykał? W czasie cywilnej wojny w Hiszpanii był pozeraczem księży, szkoda że nie zadowolił się zjadaniem ich! Tu, przeciwnie, dał się pożreć księżom. I ty się dziwisz, że obecnie jest mleczarzem na rachunek Togliattiego?

— Pacciardi jest dobrym Włochem czy współpracuje z komunistami, czy nie — powiedziałem — myślę, że wierzy, że robi to dla dobra Włoch. Zresztą to co się dzieje, to wina wszystkich, także i twoja, drogi Nenni. Ty także byłeś mleczarzem, nawet więcej, mamką! Czyż nie wykarmiłeś węża komunizmu na łonie narodu włoskiego?

Tak rozmawiając i z trudem poruszając się w tłumie, doszliśmy właśnie do przecznicy dawnej Via del Babuino, obecnie ulicy Fryderyka Engelsa, gdy usłyszeliśmy głos megafonów: „Uwaga! Uwaga! Trzej dawni prezesi Rady Ministrów: Orlando, Nitti i Bonomi wygłoszą obecnie dawno oczekiwane przemówienie w obronie Konstytucji, Wolności i Demokracji!”

— Jakto! — krzyknąłem — Rosjanie zgodzili się, by Orlando, Nitti i Bonomi przemawiali na placu w obronie Konstytucji, Wolności i Demokracji?

— Czemu się dziwisz — odpowiedział Pietro Nenni — już przecież od czterdziestu lat Orlando, Nitti i Bonomi deklamują w obronie Konstytucji, Wolności i Demokracji, a przecież nigdy jeszcze nie było we Włoszech tak ograniczonej Konstytucji, Wolności i Demokracji, jak w czasach, gdy ci trzej czcigodni mistrzowie przyjęli na siebie misję ich obrony. Czemu więc dziwisz się, że Rosjanie pozwalają im, by co niedziela, dalej deklamowali na placu.

— To musi być bardzo smutne widowisko — powiedziałem.

Pacciardi Randolfo — republikanin, obecny min. obrony narodowej. W domowej wojny hiszpańskiej był komendantem brygady im. Garibaldi po stronie republikańskiej. Obrońca wdowy po Matteottim.

— Bardzo zmutne, ale nie zasługujemy na lepsze. Odwróć się i patrz.

Odwróciłem się i serce mi się ścisnęło. Na trybunie, wzniesionej na tej części placu, która zakrzywiała się pod Pincio, zobaczyłem Orlanda, Nitti'ego i Bonomi'ego. Siedzieli na trzech wielkich, złożonych fotelach, przed nimi ustawione mikrofony. Każdy z tych trzech czcigodnych ludzi, otaczanych głębokim szacunkiem przez cały naród włoski, miał na głowie wysoką czapkę z papieru, rodzaj mitry, podobnej do czapki, jaką kaci Inkwizycji nakładali na głowy heretyków, skazanych na stos. Trzej ogromni żołnierze sowieccy o wyglądzie głupim i przekonanym, wyrastali sztywni i obojętni, za ich plecami.

Orlando był moim profesorem na Uniwersytecie w Rzymie. Bonomi, porucznik 7-go Pułku Alpejskiego, był moim oficerem w czasie ataku na Sasso di Mezzodi (Marmolada), w październiku 1915 roku. Nitti był jedynym prezesem Rady Ministrów, który mi nie skonfiskował książki oraz jednym z nielicznych, który nie kazał mnie aresztować. Więc teraz widząc ich na tej trybunie, poniżonych i obrażanych, wystawianych na pośmiewisko w tym samym Rzymie, gdzie przez tyle lat ich słowa wychwalały dawne, rzymskie poszanowanie Prawa — poczułem ukłucie w sercu i zacisnąłem pięści. Tłum wokół mnie krzyczał, ale tak byłem poruszony, że nie rozumiałem czy są to krzyki niewinne czy perfidna radość. Już chciałem odwrócić się do moich sąsiadów, wyrzucając im ich bezecne okrzyki radości, gdy nagle trzech żołnierze sowieccy podnieśli jednocześnie prawe ręce, a następnie jednocześnie je opuścili. Na ten znak, zapadła głęboka cisza, jakby topór kata spadł na szyję tego niezmiernego tłumu. Widowisko rozpoczęło się.

Orlando, Nitti i Bonomi, jakby poruszeni jakąś tajemną siłą, drgnęli, otworzyli gwałtownie usta i zaczęli mówić. Mówili wszyscy trzej razem, ale każdy sobie, zaś megafony rozmieszczone tu i ówdzie na placu, powtarzały ich głosy zmieszane i poplątane w przedziwnych esach floresach słów, których treści, niestety, nie mogłem pochwycić. Ale tłum zdawał się delektować słyszananymi słowami, jakby podążał myślą za wszystkimi kapryśnymi zakrętami tego zmieszanego i barokowego przemówienia, jakby rozumiał każde słowo.

„W dniu wyzwolenia Vittorio Veneto od demokracji, która jest matką wolności z prawem — deklamowali Orlando, Nitti i Bonomi — od kiedy w Rzymie Konstytucja w dobrym zrozumieniu wolności prowadzi naród włoski w stronę postępu i mądrości ojczywego Rządu, opiekuna publicznej i prywatnej godności, tam, gdzie wolność uciska demokrację przy pomocy konstytucji...”

Tłum przyjmował wielkimi okrzykami radości te szlachetne słowa, które zmieszane ze sobą, stawały się groteskowe. Czuję się smutny i upokorzony. Obejrzałem się dokoła i w tych twarzach rozpalonych głupią radością dojrzałem cień zasnuwający oczy, w tych triumfujących głosach usłyszałem jakąś fałszywą nutę, jakiś akcent, który nie był radością i zrozumiałem.

— Chodźmy stąd! chodźmy stąd! — krzyknąłem do Pietro Nenni, chwytając go za ramię.

Po wielu wysiłkach udało nam się przepchnąć przez tłum i skreśliśmy w dawną Via del Babuino.

— Oto jesteśmy — powiedział Pietro Nenni — przekraczając próg Hotelu Rosyjskiego.

Zanim weszliśmy spojrzaliśmy w górę i na wielkiej teksturze, sterczącej nad drzwiami, przeczytałem: *Ludowa Centrala Mleczarska*. Kazaliśmy się zameldować i w kilka chwil potem Rinaldo Pacciardi, Przewodniczący Centrali Mleczarskiej, przyjął nas w swoim biurze. Już bardzo dawno nie widziałem drogiego Pacciardi i uścisk jego wielkiej i ciepłej ręki sprawił mi prawdziwą przyjemność. Dawny bohater wojny hiszpańskiej, dawny przeciwnik, ale szlachetny przeciwnik Mussoliniego, dawny leader Partii Republikańskiej i Minister Wojny w Rządzie De Gasperi'ego nie wiele się zmienił od czasu, gdy widziałem go po raz ostatni, to jest kilka lat przed okupacją rosyjską. Wydawał mi się tak samo na swoim miejscu dzisiaj, w Centrali Mleczarskiej, jak za czasów De Gasperi'ego, wydawał mi się na swoim miejscu w Ministerstwie Wojny. I to nie tyle była jego zasługa, było to wynikiem istnienia bardzo niewielkiej różnicy pomiędzy Ministerstwem Wojny w Rządzie De Gasperi'ego a Centralą Mleczarską w Rządzie Togliatti'ego. Tylko proszę nie myśleć, że mam zamiar swoimi słowami obrazić wojsko włoskie: Chwała Bogu, Ministerstwo Wojny nie jest, i nigdy nie było, równoznaczne z wojskiem włoskim!

Ach, jakże się cieszę, że cię znowu widzę! — krzyknął Pacciardi, ściskając mi silnie dłoń — mówiono mi, że siedzisz w więzieniu, a ja — przebac mi — uwierzyłem w to...

— Rzeczywiście, siedziałem w *Regina Coeli* do bardzo niedawna, ale jak widzisz, teraz jestem tutaj. I uśmiechając się dodałem: „Przynoszę ci pozdrowienia od De Gasperi'ego, którego wypuszczono razem z mną, i od Scelby, który siedzi dalej”.

— Biedny Scelba! — powiedział Pacciardi — kiedy byłem Ministrem Wojny, zawsze się obawiałem, że mi wypłata jakiegoś brzydkiego figla, a teraz, biedaczek... Jeśli idzie o De Gasperi'ego, to naprawdę cieszę się, że go wypuścili na wolność. To pocciwiec. Poślę mu również trochę mleka, na pewno mu się przyda. A ty — mówisz dalej potrzebując mnie przyjaźnie za ramiona — ty zabawiasz się w stańczyka, bierzesz w obroty osobistości rządowe, a potem dziwisz się, że cię aresztują?

— Zupełnie się nie dziwię — odpowiedziałem — przeciwnie, wydaje mi się to rzeczą zupełnie naturalną, że pisarz we Włoszech, jeżeli nie pucuje butów Rządowi — kończy w więzieniu.

— Ale ty kończysz zbyt często — zawołał Pacciardi, śmiejąc się. — Mam prawie wrażenie, że robisz to naumyślnie! W czasach faszyzmu brałeś w obroty Mussoliniego i jego janczarów. Potem przyszedł De Gasperi, a ty zacząłeś mówić źle o księżach, a dzisiaj, dzisiaj mam nadzieję, że już nabrałeś rozumu! Oh, przepraszam — dodał odwracając się do dwóch osób, siedzących na skórzanych fotelach w półcieniu, pomiędzy ścianą a biurkiem — potem zniżając głos powiedział mi nazwiska obydwu nieznajomych.

Jednym z nich był Alberto Tarchiani, gdy usłyszałem jego nazwisko podskoczyłem z radości. Tarchiani, nieubłagany, ale

pogodny przeciwnik Mussoliniego, uczciwy, zimny i naprawdę dobroduszny Tarchiani, ambasador De Gasperi'ego w Waszyngtonie, którego nie widziałem od jesieni czy zimy 1943 roku. W owym czasie przyjechał do mnie, na Capri, aby złożyć wizytę biednemu, umierającemu Cianca (Alberto Cianca, niegdyś Przewodniczący *Mazzini Society* w New Yorku, najszlachetniejszy człowiek ze wszystkich uchodźców włoskich, dziś zapomniany i trzymany na uboczu przez fałszywych bohaterów, którzy pogardzają uczciwością i dobrocią). Drogi Tarchiani, o którym myślałem, że siedzi bezpiecznie w Waszyngtonie, gotowy do wyładowania we Włoszech po raz drugi z wojskami oswobodzieńskimi, był tutaj, przede mną, blady i wychudzony.

Uściskaliśmy się w milczeniu i po wyładowaniu naszej radości i naszego wzruszenia wyrzucaliśmy z siebie, jeden przez drugiego, tysiące natrętnych pytań, które paliły nam wargi, gdzie byliśmy kiedy ten nowy, straszny potop zalał Europę, jak udało się nam uniknąć tylu niebezpieczeństw, jakie są nasze projekty na przyszłość, nasze obawy, nasze nadzieje. Ja zapytałem go przede wszystkim, w jaki sposób znalazł się w Rzymie, dlaczego opuścił Waszyngton i jak to się stało, że pozwolił się zakroczyć wypadkom.

— Byłem w Waszyngtonie — powiedział poczciwy Tarchiani — i aczkolwiek czułem, że burza się zbliża, żyłem spokojnie, wiedząc, że jestem bezpieczny. Ale ty wiesz jaki jest Sforza. W ostatnim czasie zaczął mnie zasypywać telegramami, nieraz otrzymywałem dwa lub trzy dziennie, w których nakażywał mi, bym przyleciał do Rzymu, gdyż musi odbyć ze mną konferencję w ważnych i niecierpiących zwłoki sprawach. Przez pewien czas udawałem głuchego, zawiadaniałem, że jestem chory, wymyślałem tysiące wymówek, ale w końcu musiałem ustąpić. Przybyłem do Rzymu właśnie w tym dniu... Przebiegłem schody Pałacu Chigi, wszedłem do gabinetu Ministra. Hrabia Sforza wyszedł mi na przeciw, uściśnął mi serdecznie dłoń i po wielu usprawiedliwieniach, że kazał mi z taką gwałtownością przyjechać do Rzymu, oświadczył, że wezwał mnie po to, aby mnie zapytał co Ameryka myśli o nim... Miałem mu właśnie odpowiedzieć w sposób, na jaki zasługiwał, gdy w tej chwili wbiegł szef jego gabinetu i oświadczył, że wojska sowieckie... I oto jestem tu.

Uściskaliśmy się na nowo; żeby ukryć łzy, napływające mi do oczu, odwróciłem się i przywitałem tego, którego Pacciardi nazwał hrabią Carandini. Widziałem po raz pierwszy w życiu hrabiego Carandini, lidera Partii Liberalnej, ongiś Ambasadora De Gasperi'ego w Londynie, jego obecność w tym miejscu bardzo mnie zdziwiła.

Hrabia Carandini był administratorem, słynnym dzierżaw w Torre in Pietra, koło Rzymu, należących ongiś do jego krewnego, senatora Albertini, dyktatora liberalizmu włoskiego, który zmarł przed kilku laty. Był on najmożliwszym producentem mleka we Włoszech Centralnych, co z punktu widzenia liberalizmu było jeszcze jednym z wykładników potęgi, gdyż wszyscy

Cianca Alberto — monarchista, obecny skłaniający się do komunizmu.  
Carandini — liberal; b. amb. włoski w Londynie, mianowany przez Pacciardi'ego.

wiedzą, że we Włoszech mleko i liberalizm są powiązane ze sobą ściśle związkami pokrewieństwa.

W czasie trwania tyranii Mussoliniego, nic, nawet epidemia wśród bydła, nie mogło złamać szlachetnej nieugiętości antyfaszystowskiej hrabiego Carandini, który wszakże przez więcej niż dwadzieścia lat dostarczał mleko faszystowowi. Nie było więc nic w tym dziwnego, że obecnie dostarcza mleko rządowi komunistycznemu. Usiłując w części usprawiedliwić mleczną politykę hrabiego Carandini, pozwolę sobie przypomnieć, że jego największą zasługą antyfaszystowską była ta, niepodlegająca dyskusji, że obalił Mussoliniego. W rzeczywistości, jak to wszyscy wiemy, faszyzm przewrócił się dlatego w lipcu 1943 roku, że liberalizm włoski w konsekwencji bombardowań amerykańskich, które wybiły bydlę w Torre in Pietra, nie był więcej w stanie dostarczyć faszystowowi ani nawet jednej kropli mleka. Niech mi wolno będzie dodać, że w dniu, w którym w wyniku tej nowej wojny bombardowania amerykańskie wyniszczą ponownie bydlę w Torre in Pietra, i kiedy liberalizm włoski nie będzie już mógł dostarczyć ani jednej kropli mleka rządowi komunistycznemu — rząd komunistyczny przewróci się nieuchronnie.

Wiem dobrze, że pewnych rzeczy nie należy mówić, jeżeli nie z innego powodu, to dlatego, by nie uchybić prezydentowi Trumanowi. W rzeczywistości nie wydaje mi się, by to było ostrożnie z jego strony uzależnić zwycięstwo amerykańskie nad Rosją sowiecką od śmierci liberalnych krów w Torre in Pietra. Natomiast jest koniecznością uczciwie dać do zrozumienia opinii publicznej Stanów Zjednoczonych, że tym razem naród włoski oczekuje swego własnego wyzwolenia raczej od krów hrabiego Carandini, niż od mlecznej polityki prezydenta Trumana.

Przywitałszy się uprzejmie z hrabią Carandini, powiedziałem Pacciardi'emu: „Ty bieś się po stronie republikanów w wojnie hiszpańskiej, i wskutek tego znasz ludzi i sprawy tego narodu, zechciej mi więc pomóc zrozumieć co dzieje się w Hiszpanii? W czasie domowej wojny hiszpańskiej siedziałem na wyspach Liparyjskich, a zresztą nigdy w moim życiu nie przekroczyłem Pirenei. Nie wiem więc nic o tym kraju i wypadki ostatnich dni, bez oświetlenia ich twoim doświadczeniem, pozostaną dla mnie niezrozumiałe”.

— Aby zrozumieć co się stało w Hiszpanii — odrzekł Pacciardi — należy zbadać sytuację wojskową, jaka się wytworzyła na różnych frontach wojny rosyjsko-amerykańskiej. Aczkolwiek wojska sowieckie na początku ubiegłego miesiąca lipca dosięgły Pirenei, zaś wojska anglo-amerykańskie wyładowały na Sycylii, wojna — jeśli tak można powiedzieć — nie rozpoczęła się. Nie tylko, że nie stoczono żadnych wielkich bitew, ale nawet ani jedna bomba nie została zrzucona, ani przez lotnictwo amerykańskie, ani przez rosyjskie. Wojna śpi. Dlaczego? To jest tajemnica, którą następnie będziemy usiłowali rozwiązać. Dotąd obserwujemy ustawiczne przegrupowanie wojsk przeciwników Europa jest już całkowicie zajęta przez oddziały sowieckie: z wyjątkiem Szwecji, której Rosja zagwarantowała neutralność wzamian za szwedzką notę, odmawiającą udziału w Pakcie



Atlantyckim. Do wczoraj Rosjanie byli zdecydowani nie zajmować Hiszpanii, ale od dzisiejszego ranka pancerne dywizje sowieckie przekraczają Pireneje.

— Nie napotykając na żaden opór? — zapytał Pietro Nenni.

— Odpowiem ci za chwilę — rzekł Pacciardi — przede wszystkim należy zanotować, że to nieoczekiwane ożywienie się wrogości, było poprzedzone, dziesięć dni temu, niespodziewanym atakiem spadochroniarzy rosyjskich na Sycylię i na Kretę. Atak na Sycylię załamał się bardzo dziwnie, gdyż spadochroniarze sowieccy, na skutek zupełnie niewytłumaczonej pomyłki, zostali zrzućeni nie na brzegi sycylijskie, ale na góry kalabryjskie. Do ataku na Kretę, na której nie znajduje się ani jeden żołnierz aliancki, Rosjanie zużyli dobre trzy dywizje spadochroniarzy. Ale wszystkie trzy dywizje, na skutek tajemniczej pomyłki w zrzućeniu, wpadły w morze i nieszczęśliwie potonęły. Tylko kilkuset spadochroniarzy sowieckich, po wielkich wysiłkach, dopłynęło do brzegów wyspy, gdzie mieszkańcy udzielili im pomocy. Właściwie więc Kretę zdobyli rozbitkowie rosyjscy nie zaś zwycięzcy.

— Nie rozumiem tego — dodał Tarchiani — z jakiego powodu spadochroniarze rosyjscy spadli do morza. Lotnictwo sowieckie jest najlepsze i podobne błędy...

— ...podobne błędy są bardzo dziwne — ciągnął dalej Pacciardi — ponieważ można je tłumaczyć jedynie brakiem doświadczenia pilotów. W dalszym ciągu będziemy usiłowali rozwiązać tę zagadkę, ale na razie popatrzmy co się dzieje w obozie Aliantów. Afryka północna jest w ręku Anglików i Amerykanów, którzy zrobili z niej wspaniałą bazę dla przyszłej inwazji Europy...

— ...której nigdy nie zobaczymy — wtrącił.

— Proszę cię, nie przerywaj mi, mówił dalej Pacciardi. Środkowy Wschód jest ostatecznie zajęty przez Aliantów, którzy się tam skupiają i fortyfikują na dobre, za plecami młodego wojska Państwa Izraela.

— Ale Turcja — zapytał Carandini — dlaczego się nie biła?

— Turcja się biła — odparł Pietro Nenni, który, jak wiadomo, zawsze darzył Turków specjalną sympatią.

— Tak, piętnaście dni! — wykrzyknął Carandini.

— A jak długo miała się bić? Dwadzieścia lat? — odparł Pietro Nenni, rumieniąc się z oburzenia.

— A co ona zrobiła z tym całym olbrzymim sprzętem wojennym, dostarczonym przez Amerykę? — zapytał Tarchiani.

— Cóż miała z tym robić? — odpowiedział Pacciardi — sprzedała wszystko, częściowo państwu arabskim, a częściowo Państwu Izraela. I to całe szczęście, że na czas udało im się sprzedać. W przeciwnym razie wojsko tureckie byłoby tak przeciążone sprzętem amerykańskim, że nie mogłoby zrobić kroku. Turcy to najlepsi żołnierze, ale biją się jak za dawnych lat, pieczo, ze strzelbą w dłoni i garścią suchego bobu w chlebaku. Przedkładają na przykład zaprzęg z wołów nad zmotoryzowaną artylerię. Ale kto zna drogi na wyżynie anatolijskiej, przyzna im rację. Poza tym jest faktem nie dającym się pominąć, że Turcy wolą swój suchy bób od amerykańskich konserw. Ja wiem, że Plan Marshalla to bardzo piękna rzecz, ale wtedy, gdy Waszyngton nareszcie zrozumie, że nie wszyscy lubią kuchnię

amerykańską. Dla tych i innych przyczyn, o mniejszym znaczeniu, Turcja jest dzisiaj krajem już nieobjętym wojną, mniej lub więcej kontrolowanym przez Rosjan. I gdyby wojska Izraela nie zatrzymały inwazji sowieckiej, Rosjanie byłiby dzisiaj w Suezie.

— Ale Arabowie — krzyknął Tarchiani — co oni robią? co robili? czy spali?

— Świat arabski umarł — odpowiedział Pacciardi — decydującym potwierdzeniem ostatecznego upadku świata arabskiego była wojna w Palestynie w 1948 roku. Wojna ta pokazała dwie rzeczy: że tak bardzo sławiona potęga wojenna narodów arabskich została zjedzona przez wszy i że jeden mały Żydek z Tel Avivu może stawić czoła całemu oddziałowi Arabów. Według mnie, upadek świata arabskiego jest całkowity i ostateczny. Anglia to jakoś dobrze zrozumiała, gdyż cicho, cicho, a skończyło się na tym, że zawarła pokój z Izraelem. Wielką rewelacją obecnej wojny jest wojsko Izraela: wojsko młode, doskonale wyćwiczone, dobrze wyposażone, ożywione wspaniałym duchem bojowym i dowodzone przez młodych i zdolnych szefów wojskowych. Te wspaniałe oddziały żydowskie powstrzymały inwazję rosyjską na środkowym Wschodzie, niszcząc dwadzieścia dywizji sowieckich w bitwie nad Eufratem. To była jedyna dotąd wielka bitwa w tej wojnie. Wojsko Izraela dało wspaniałą lekcję całej Europie a także i Ameryce. Nie trudno jest przewidzieć, że pewnego dnia Imperium Izraela rozciągnie się od Morza Śródziemnego po Bagdad i że Żydzi zajmą w świecie arabskim to samo miejsce, jakie zajmowali w nim Turcy przez tyle wieków: miejsce klasy rządzącej. Zobaczycie, już nie długo, a będzie w modzie być Żydem.

— Największe niebezpieczeństwo jakie grozi młodemu Państwu Izraela, to to, że innego dnia może przyjść moda na chrześcijan — zauważył hrabia Carandini.

Wszyscy zaczęli się śmiać się serdecznie, a Pietro Nenni zapytał: „A w Chinach? Co się dzieje w Chinach?”

— W Chinach — odparł Pacciardi — sytuacja jest raczej zagmatwana. O ile wiem, wybuchła tam rewolucja komunistyczna.

— Ale przecież Chiny były już komunistyczne?

— Cóż to ma za znaczenie? W komunistycznych Chinach wybuchła rewolucja komunistyczna. Czy to wydaje się wam dziwne? — zapytał Pacciardi.

— W państwie komunistycznym nie może wybuchnąć rewolucja komunistyczna, tak samo jak w państwie liberalnym nie może wybuchnąć rewolucja liberalna — powiedział Carandini. A w ogóle rewolucja liberalna jest niemożliwa. Państwo doskonałe — jest państwem liberalnym, w którym nie może wybuchnąć żadna rewolucja; jeżeli naturalnie państwo liberalne można sobie jeszcze uczciwie wyobrazić.

— Wyobrazić sobie można, ale uczciwie, to nie, tak mi się przynajmniej zdaje — rzekł Tarchiani.

— Najdziwniejsze — zauważył Pacciardi, że wygląda na to, iż rewolucja komunistyczna, która wybuchła w Chinach, jest wspierana amerykańskim złotem.

— Wszystko to jest bardzo ciekawe — przerwałem — ale ja chciałbym wiedzieć co się stało w Hiszpanii.

— Dziś rano — odpowiedział Pacciardi — wojska sowieckie przekroczyły granicę hiszpańską i posuwają się pokonując zapamiętały opór oddziałów Franco. Największą niespodzianką tej wojny w Hiszpanii jest to, że do tej chwili Rosjanie nie natknęli się tam na ani jednego żołnierza amerykańskiego. Znaleźli olbrzymie ilości sprzętu amerykańskiego, ale ani jednego żołnierza *yankee*. A to znaczy, że Truman zrezygnował nawet z obrony Hiszpanii.

— Ja zaś myślę — powiedziałem — że Amerykanom zdarza się teraz rzecz wprost przeciwna do tej, jaka zdarzyła się wojskom włoskim w czasie ostatniej nieszczęśliwej wojny. Nasi żołnierze przybywali na pole walki o wiele wcześniej niż ich sprzęt, który nie przybywał nigdy. U Amerykanów przeciwnie: ich sprzęt dociera na pola walk o wiele wcześniej niż ich żołnierze, którzy nie docierają nigdy.

— Wydaje mi się — rzekł Carandini — że to jest właśnie zasadnicza myśl Planu Marshalla: wysłać do Europy najpierw sprzęt, a potem wojska. Błąd polega prawdopodobnie na tym, że wysłano sprzęt za wcześnie.

— Albo żołnierzy za późno — dodał Pietro Nenni.

— Tłumaczenie jest zřejme, ale nie wydaje mi się słuszne — rzekł Tarchiani. Amerykanom udało się wciągnąć Rosjan do Hiszpanii i to jest na pewno ciężkim błędem ze strony sowieckiej, że pozwolili swoje wojska przeciągnąć na tamtą stronę Pirenei. Poza tym Rosjanie w oczach katolickich narodów Ameryki Łacińskiej są dzisiaj nie oswobodzicielami Hiszpanii republikańskiej, ale ciemnizycielami Hiszpanii katolickiej. I to bez wątplenia należy zapisać na dobro polityki Waszyngtonu, który wszelkimi siłami stara się przeciągnąć Amerykę Południową do swego obozu.

W każdym razie na pewno nie Hiszpania będzie decydująca w tej wojnie — rzekł Piatro Nenni.

— Decydująca będzie Rosja, albo Ameryka — powiedziałem.

— Ameryka? krzyknęli wszyscy, głęboko zdziwieni.

— A dlaczego by nie? Czy jest jakiś powód, aby wierzyć, że Europa musi zawsze być decydującym miejscem dla wojen? Czy dlatego, że tak było w ostatniej wojnie? Bóg jeden wie zresztą co dla niej było decydujące, jeżeli w ogóle coś było! Sami Amerykanie nie wiedzą co było decydujące w ostatniej wojnie! I cóż się tak na mnie patrzycie? Czy to co mówię, to bluźnierstwo? Czy nie wolno powiedzieć, że być może, iż Ameryka będzie decydująca dla tej wojny? Jeżeli nie wolno, to kto zabronił? Amerykanie? Więc dobrze, powiem więcej. Twierdzą, że ponieważ droga do Ameryki nie prowadzi przez Europę, ale przez Rosję, przeto droga do Rosji też nie prowadzi przez Europę, ale przez Amerykę.

— Nie rozumiem cię — powiedział surowo Tarchiani.

— Przyjdzie dzień, że zrozumiesz. Dużo jest rzeczy w tej wojnie, których dzisiaj nikt nie rozumie, a które potem wszyscy zrozumieją.

— Między wieloma rzeczami, których dzisiaj nikt nie może zrozumieć — powiedział Pacciardi — najbardziej niezrozumiałymi i powiedziałbym, najbardziej tajemniczym jest ten rodzaj szaleństwa, który ogarnął wojska sowieckie, i który nabiera coraz dziwniejszych oznak. Czy wierzyć, że w czasie ostatnich ataków na Sy-

cylię i Kretę spadochroniarze sowieccy zostali zrzućeni w górach Kalabrii, względnie marnie zginęli w morzu — jedynie na skutek zwykłej omyłki pilota? A jeśli idzie o inwazję Hiszpanii, czyście czytali co mówi oficjalny komunikat najwyższego dowództwa Czerwonej Armii? Oto on: *Dzisiaj o godzinie pierwszej, której pomimo naszych największych wysiłków nie można było ustalić, nasze bohaterskie oddziały itd.* Przeczytałem wam dokładnie słowa komunikatu: ... *o godzinie pierwszej, której mimo naszych największych wysiłków, nie można ustalić...* Co znaczą te dziwne słowa? Czyż nie jest to najwyraźniejsze, oficjalne stwierdzenie, że w obozie sowieckim dzieje się coś tajemniczego?

Wszyscy spoglądaliśmy po sobie ze zdziwieniem, a Tarchiani, bardzo błąd, powiedział wolno: „Dziś rano widziałem Togliattiego. Komunikat Rosyjskiej Kwatery Główniej poruszył go głęboko. W czasie naszej krótkiej rozmowy stale powtarzał: *To wszystko wina tej przeklętej Szwajcarii!*”

— Dlaczego Szwajcarii? — krzyknęli chórem Pacciardi, Carandini i Pietro Nenni.

— Jeżeli Togliatti tak twierdzi, to widocznie tak jest — odparł Tarchiani. Togliatti jest człowiekiem poważnym i wiele rzeczy wie.

— Wiele, ale nie wszystko — krzyknął Pietro Nenni. — Jeśli idzie o Szwajcarię, to nie rozumiem nic!

— Jestem tegoż zdania co Nenni — rzekł Pacciardi — Togliatti zupełnie nie ma pojęcia o Szwajcarii.

— Byłem w Szwajcarii — rzekłem — gdy ubiegłego lipca wojska sowieckie zajęły terytorium Helwecji, i mam wrażenie że rozumiem co się stało. Togliatti ma rację. Wszystkiemu winna Szwajcaria.

I opowiedziałem im krótko, że kiedy w lipcu oddziały sowieckie nadchodzące z Voralbergu i z Württemberga zajęły Szwajcarię, ja byłem w Genewie, gdzie schroniłem się po mojej ucieczce z Francji. Cała ludność Szwajcarii dała wtedy dowody powagi i odwagi godnej podziwu. Mężczyźni, bez względu na wiek, zresztą nie tylko mężczyźni, ale także i kobiety, chwytali za broń i szli na partyzantkę w góry. Wojsko, po bohaterskich walkach, mających na celu zahamowanie postępów sowieckich, zamknęło się w alpejskiej Ridotto, tym słynnym czworoboku górskim, prawdziwym Akropolu Europy, które było na ten cel przygotowane już na wiele lat przedtem i zaopatrzone w olbrzymie zapasy żywności i amunicji. Stamtąd rozpoczęto tę zadziwiającą wojnę defensywną, która trwa ustawicznie i na pełnią podziwem cały świat. Trzeba będzie wielu lat zaciętej walki, zanim Rosjanie potrafią złamać opór Ridotto, jeżeli w ogóle im to się uda. Zresztą Szwajcaria jest krajem ludzi wolnych. Być może, że obok Finlandii jest to jedyny naród wolny na całym świecie. Naturalna ojczyzna wolności i godności, gdzie nie tylko ludzie, ale nawet kamienie, drzewa i zwierzęta czują się wolne.

W czasie ponurych dni inwazji nie zdarzył się tam ani jeden akt sabotażu, ani jeden wypadek dezercji, zdrady czy podłości. Nawet sami komuniści szwajcarscy chwytali za broń i szli w góry, by bić się z najeźdźcami. Ci ostatni, pokonawszy pierwszą opór rozspali się po dolinach, zalali miasta i wsie, polując

nie tyle na nieprzyjaciela ile na zegarki. Sklepy zegarmistrzowskie zostały złupione z dziką chciwością, każdy dom był przetrząśnięty skrupulatnie. Codziennie kolumny samochodów ciężarowych, po brzegi wypełnionych zegarkami, odchodziły do Rosji. W ten sposób tysiące i tysiące zegarków różnych kształtów i różnych marek rozdzielono pomiędzy oficerów, żołnierzy, urzędników i techników sowieckich, nie tylko na ziemiach okupowanych, ale również i w samej Rosji. I oto stało się, że po trochu jakaś tajemnicza choroba ogarnęła wojsko czerwone, maszynę państwową i wszystkie kółka i kółeczka życia sowieckiego: była to zaraza indywidualizmu, którą uczeni ZSRR nazwali zarazą zegarkową.

— Zarazą zegarkową? — krzyknął Pacciardi.

— Naród — mówiłem dalej — który nigdy nie posiadał zegarków, który od całych pokoleń przywykł ślepo wierzyć w godzinę, minutę i chwilę, narzucaną mu przez tyrański rząd, naród pozabawiony już głęboko indywidualizmu, oddany ślepo nudzie życia sowieckiego, taki naród w momencie, gdy przez jakiś dziwny zbieg okoliczności posiadzie tysiące tysięcy zegarków, jest najbardziej podatny do popełniania najdziwniejszych szaleństw. Tak więc ci obywatele sowieccy, którzy pewnego pięknego dnia stali się posiadaczami zegarków, zaczęli się znowu indywidualizować, stali się "kimś", panami własnego czasu, własnych godzin, własnych minut, własnych sekund, własnych dni, pór roku i własnego bytu; nabyli pojęcie czasu, to jest myślenie życia i historii. Stali się znowu panami własnej świadomości.

— I od zajęcia Szwajcarii zaczęło się to dziwne zjawisko rozbicia życia sowieckiego, indywidualizacji życia kolektywnego, co zmusiło Rosjan do zwolnienia tempa operacji wojennych, opóźnienia aż do dnia dzisiejszego zajęcia Hiszpanii i odłożenia, kto wie do kiedy, desantu w Anglii, ataku na Afrykę Północną, Indie, Alaskę, a być może również że i desantu w New Yorku. Kreml nie zaniedbał niczego, aby zwalczyć to niepokojące rozbicie się życia sowieckiego. Władze sowieckie doszły nawet do tego, że zarządziły karę śmierci dla każdego żołnierza czy obywatela sowieckiego, który posiada zegarek. Na tak ostre zarządzenia naród rosyjski zszedł w *podziemia* i wynalazł tę straszłą broń, która nazywa się *potajemna godzina* i wobec której władze sowieckie są całkowicie bezsilne. Kilka tygodni temu, w dzień Rocznicy Rewolucji Październikowej, gdy Stalin miał wygłosić na Placu Czerwonym zapowiedziane przemówienie — plac był pusty. Dlaczego? Może dlatego, że jak to triumfalnie ogłaszają gazety amerykańskie, naród odwraca się od Stalina? Na pewno nie dlatego; a jedynie z tego prostego powodu, że oficjalna godzina, ustalona na tę uroczystość, nie zgadzała się z *godziną potajemną*.

— Przeniesicie te wszystkie wypadki na plan wojny i obejmijcie całą powagę niebezpieczeństwa. Rząd sowiecki przyciśnięty do muru, musiał odwołać karę śmierci dla posiadaczy zegarków. Ale zaraza zegarkowa nie zniknęła ze wszystkim, tylko czasem zegarki przestają funkcjonować i już niejeden w ogóle stanął. W wojsku zagadnienie z dnia na dzień przyjmuje coraz groźniejsze objawy. Każdy generał, każdy oficer, każdy żołnierz sowiecki, ma swoją godzinę, swoją własną godzinę. Być może, że się mylę, ale według mnie spadochroniarze sowieccy zrzućni

na góry Kalabrii, względnie ci którzy nędznie utopili się w morzu koło Krety, to ofiary zarazy zegarkowej.

— Teraz rozumiem — powiedział Pacciardi — pochodzenie wypadków, które zaszły dzisiaj rano, w czasie gdy oddziały sowieckie weszły do Hiszpanii. W rzeczy samej radio Madryt podało, że wkroczenie nie odbywało się jednocześnie na całym froncie pirenejskim, ale w różnych godzinach, jak gdyby generalnie sowieccy regulowali swoje zegarki z głowy, nastawiając wskazówki, każdy na inną godzinę.

Moje słowa wywołały u obecnych głębokie wrażenie. Wszyscy zbledli i zamilkli z oczami wpatrzonymi nieruchomo w tarcze swoich zegarków, myśląc o niezwykłości i nowości faktów, które im opowiedziałem.

— A propos zegarków — powiedział w pewnej chwili Pacciardi, pierwszy przerywając ciszę — przepraszam was, ale jest już późno. Jest godzina mleka i muszę zacząć pełnić funkcje mleczarza.

To mówiąc, zadzwonił: ukazał się woźny, niosąc otwartą skrzynkę, przewieszoną na pasku przez ramiona, zawierającą trzydzieści przyjemnie podzwaniających butelek, pełnych mleka.

— Muszę iść i roznieść mleko moim klientom — powiedział Pacciardi, śmiejąc się a jednocześnie przewieszając pasek przez ramię. — Dwa razy dziennie: rano o szóstej i wieczorem o tej porze muszę obejść Komisarzy Ludowych, rozpoczynając od Togliatti'ego. Należy posłuchać, jak się złoścą i jak krzyczą, jeżeli spóźnię się z mlekiem! Czemu się śmiejecie? Czyż roznoszenie mleka temu, kto je zamówił, jest rzeczą obrażającą w prawdziwej Republice? Ja się tego nie wstydzę: każdy jest republikaninem jak umie. Ja robię to w ten sposób, że roznoszę mleko Prezydentowi Republiki i Komisarzom Ludowym.

— W myśl zasad Mazzini'ego — powiedziałem.

— I rzeczywiście — odparł Pacciardi, idąc w stronę windy.

## Rozdział szósty

Pożegnawszy się wylewnie z drogim Randolfo Pacciardi, który ze swoją skrzynką z butelkami, przewieszoną przez ramię poszedł, by roznieść mleko różnym Komisarzom Ludowym, skierowaliśmy się w stronę Piazza di Spagna, to jest, chciałem powiedzieć, w stronę Placu Czerwonej Hiszpanii. Doszedłszy do roku ulicy Woroszyłowa, dawnej Via Condotti, postanowiliśmy iść na vermuth do Caffè Greco.

Kawiarnia o tej porze była prawie pusta.

Usiedliśmy przy stoliku i każdy z nas zamówił vermuth, z wyjątkiem Pietro Nenni, który wolał lemoniadę. Tarchiani był bardzo przejęty sytuacją. Obserwował z uwagą, poprzez bar, ulicę, przebierając palcami prawej ręki po marmurowym blacie stolika, jak po klawiaturze fortepianu.

— Wydaje mi się — powiedział po kilku chwilach milczenia ostatni ambasador włoski w Waszyngtonie — że Ameryka nie ma jeszcze zdecydowanej linii postępowania w obecnej wojnie.

— Bez wątplenia — odparł hrabia Carandini, pierwszy ambasador włoski w Londynie po sławnym wyzwoleniu w roku 1945 — bez wątplenia Ameryka waha się ciągle czy pójść na rozbiecie. Kolos sowiecki jest o wiele potężniejszy i żywotniejszy od

niemieckiego i bardzo słabo wrażliwy na rany. Żeby pobić Rosję, Ameryka jest zmuszona przejść po trupie Europy, ale nowe rządzenie Amerykanów na naszym kontynencie wyłoni bardzo poważny problem. Po ostatniej wojnie wyzwolone narody europejskie przebaczyły Amerykanom często niepotrzebne bombardowania spokojnych miast. Pomyślcie o Neapolu, Viterbo, Frascati i Treviso, że nie wspomnę o innych. Ale tym razem narody europejskie nie zgodzą się na podobne *wyzwolenie* bombardowania, wypływające wyłącznie ze szlachetnego zamiaru oszczędzenia możliwie największej liczby żyć amerykańskich, w najszlachetniejszym przekonaniu, że życie żołnierzy amerykańskich jest święte.

— Jeżeli są naprawdę przekonani, że życie ich żołnierzy jest święte, to po jakiego diabła Amerykanie prowadzą wojny? — zauważył Pietro Nenni.

— Chciałem zapytać o to samo — odpowiedział Tarchiani.

— Chcąc zwyciężyć Rosję — mówił dalej hrabia Carandini — Amerykanie powinni przede wszystkim dobrze sobie wrazić w głowę, że życie każdego żołnierza amerykańskiego jest tak samo święte, jak życie jakiego bądź obywatela europejskiego i że trup Francuza, Holendra czy Włocha wart jest tyle samo co trup Amerykanina.

— I nawet więcej — zauważył Pietro Nenni.

— Nie powiedziałbym, że więcej — stwierdziłem — ponieważ jest niewątpliwie prawdą, że trupy Amerykanów są o wiele większe, grubsze i lepiej żywione od naszych trupów narodowych, a poza tym prawdą jest również, że trupa nie sprzedaje się na wagę. Jest jednak jasne, że Ameryka, aby zwyciężyć Rosję, musi poświęcić życie milionów młodych Amerykanów. Rosjanie są narodem twardym i upartym. Żeby rozbić wojsko sowieckie, Amerykanie muszą bić się człowiek przeciwko człowiekowi: nie tylko maszyną przeciw maszynie, ale człowiek przeciwko człowiekowi. Piechota sowiecka jest niezliczona, doskonała i dzika. Żołnierze sowieccy nie zadowolą się strzelaniem z daleka: biegną naprzeciw ciebie, chwytają cię za gardło, rozorywują ci twarz paznokciami i zębami. Rosja nie jest, jak Niemcy, małym krajem pełnym miast, ale niezmierną równiną, gdzie bomby robią jedynie dziurę w ziemi. Jeżeli Ameryka rzeczywiście ma zamiar iść do Rosji poprzez nasz biedny kontynent, to powinna przede wszystkim zrozumieć, że tym razem należy starać się, aby jak najmniej podeptać trupa Europy. To jest trup wrażliwy.

— A którąś byś chciał, żeby Amerykanie przeszli, idąc do Rosji? — zapytał Tarchiani. — Muszą przejść przez Europę!

— Byłoby o wiele lepiej, gdyby przeszli przez Amerykę — odpowiedziałem. Zresztą do Rosji droga główna, najprostsza, najłatwiejsza i najpewniejsza prowadzi przez Persję. Od najdawniejszych czasów — jak to kiedyś przeczytałem u Herodota, wszystkie najazdy na Rosję od strony Zachodu na Wschód — były nieudane: ostatnio najazd Hitlera. Natomiast wszystkie najazdy na Rosję od strony Wschodu na Zachód — były udane. Dlaczego więc upierać się przy przejściu przez Europę? Żeby móc w domu krzyknąć, że Ameryka jeszcze raz uwolniła narody europejskie? Dostyc już tych oswojonych? Wszyscy, którzy z tego czy innego powodu chcą zająć Europę, czepiają się łatwego pretekstu, że przychodzą aby oswojonych. Niemcy uważa-

ją, że uwolnili nas od niewoli pluto-żydo-demokratycznej, alianci od przemocy niemieckiej, Rosjanie od niewoli kapitalistycznej, Amerykanie od przemocy komunistycznej... Dostyc, na Boga, z tymi oswojonych! Im więcej nas oswojonych, tym mniej jesteśmy wolni. Oto jest treść całej tej, najokrutniejszej historii. Niech się zabijają, jeśli taka ich wola, ale nas niech zostawia w spokoju. A poza tym, jeśli przyszedła chwila, że mają taką ochotę się zarynkać, to dlaczego nie chcą się zabijać u siebie?

— Trzeba jednak, żeby ktoś nas oswojonych — zauważył Tarchiani — jeżeli to nie będą Amerykanie, myślę, że to będą Rosjanie.

— Zdeczną wszyscy ci śliczni Rosjanie, od pierwszego do ostatniego, jeżeli będą chcieli naprawdę nas oswojonych!

— Zawód oswojonych jest trudny i delikatny — zauważył hrabia Carandini — i wymaga wiele taktu i cierpliwości. Tak, również wielkiej cierpliwości. Trzeba wielu wieków, aby Amerykanie mogli nauczyć się *savoir vivre* u konieczniego do oswojonych narodów. To jest zawód, który poza taktem i cierpliwością, wymaga jeszcze ducha pokory. Czy myślicie, że narody są wdzięczne swoim oswojonych? Ceną oswojonych jest niewdzięczność. To jest bolesne, ale tak jest.

— Jeżeli Ameryka nie wyleczy się z brzydkiej wady uwalniania narodów — powiedział, śmiejąc się, Pietro Nenni — wkrótce nie będzie już ani jednego obywatela amerykańskiego, który ośmielił się zaryzykować postawienie nogi poza terytorium Stanów Zjednoczonych! Jeżeli mógłbym dać radę Prezydentowi Trumanowi...

— Możesz mu zawsze dać — zauważył Tarchiani — Prezydent Truman jest człowiekiem bardzo rozsądnym.

— ...powiedziałbym mu: chcecie zniszczyć Rosję? Zróbcie to. Ale nie lądujcie w Europie. Nie wnoście do naszych domów na nowo tego zamętu, jaki wnieśliście w roku 1945. Pomagajcie nam, jeżeli wam to sprawia przyjemność, a nam jest bardzo wygodne. Ale pomagajcie z daleka. I nie róbcie tego samego co ostatnim razem kiedy to, aby nam pomóc, wymyśliście Plan Marshalla. Jest to jeden z najpiękniejszych pomysłów, specjalnie widziany stąd, ale w tym samym czasie zamknęliście na mur rynku światowe. Podarowaliście nam miliony milionów dolarów, aby pomóc podniesieniu naszej produkcji przemysłowej, ale pod warunkiem, że nasza produkcja zostanie ograniczona do naszego rynku wewnętrznego i do paru mizernych wymian z sąsiadami. Jeżeli Ameryka jest naprawdę tak wielkim narodem, jak mówi, że jest...

— Ameryka — przerwał Tarchiani — nie jest wielkim narodem; jest narodem ogromnym.

— ...jeżeli jest naprawdę pewna swojego prawa, swojej siły, swego bogactwa i zdolności do pracy — ciągnął dalej Pietro Nenni — dlaczego uczciwie nie przyjmuje zasady wolnej konkurencji?

— Dobrze powiedziane! — krzyknął hrabia Carandini.

— Nie otworzy rynków światowych dla wszystkich narodów, przyjmując, że także narody europejskie, z ich małymi możliwościami, mogą poprobować konkurencji z jej niewyczerpanymi zdolnościami produkcji. Czego boisz się, Ameryko? Boisz się

może ubóstwa innych? A jeżeli się nie boisz, to o co ci idzie? Zachłanność kapitalistyczna? Dalej! Pozwól pracować także małym narodom, otwórz rynki światowe dla wszystkich tych, którzy pracują i wytwarzają! Właśnie to, to moglibyśmy nazwać oswabdzaniem narodów!

— Ten drogi Nenni mówi jak prawdziwy liberał! — krzyknął hrabia Carandini.

— Mówię, niestety, jak prawdziwy socjalista! — roześmiał się Pietro Nenni.

— Byłem wiele lat ambasadorem włoskim w Waszyngtonie — rzekł Tarchiani, kocham Amerykanów, podziwiam ich, i niektóre prawdy sprawiają mi prawdziwy ból.

— Nie byłem jeszcze dotąd ambasadorem włoskim w Waszyngtonie — powiedziałem — ale byłem przez trzy lata, od 1943 do 1946 z żołnierzami amerykańskimi V-tej Armii, i także kocham Amerykanów, także ich podziwiam, także i ja jestem wdzięczny Amerykanom za wszystko to, co dla nas zrobili. Indywidualnie, Amerykanie są ludźmi najbardziej uczciwymi, najbardziej hojnymi, najbardziej bezinteresownymi w świecie. Ale są pewne prawdy, o których lepiej było milczeć przed tą wojną, a które muszą być powiedziane teraz, gdy mamy w domu Rosjan! I jeżeli Amerykanie się o to obrażą, to będę musiał stwierdzić, że nie są narodem lotnym.

— A ci panowie, tu — powiedział, zapalając się coraz bardziej, Alberto Tarchiani, który od kilku chwil obserwował oficerów i żołnierzy sowieckich, przechodzących ulicą — ci panowie tu, myślisz, że są narodem lotnym? Spójrz tylko na nich, obejrzyj dobrze twarze tych sławnych Rosjan, tych bohaterskich oswo-bodzicieli Europy, te produkty cywilizacji sowieckiej! Obejrzyj te głowy, te czoła, te szczęki, te uszy! Patrz na tych oficerów, których piersi obwieszane są od góry do dołu orderami i wisiorkami! A myśmy śmieli się z Goeringa! Śmieliśmy się ze Starace i Teruzzi'ego! Czy widzisz z jaką miną panów kroczą po ulicach Rzymu! Czy widzisz z jaką pogardą raczą zniżyć wzrok do tych biednych Włochów, którzy ośmielają się, przechodząc, musnąć rękaw ich munduru! A potem mówią, że przynoszą cywilizację Europie! Że przynoszą komunizm, wolność proletariatu, sprawiedliwość! Przyszli, żeby nas uwolnić! Uwolnić od czego? Od długów? Wstydzą się powiedzieć prawdę, wstydzą się przyznać, że przyszli szarogęsić się tu, w naszym domu!

— Bądź cicho, nieostrożny! — wykrzyknął Pietro Nenni — zakrywając mu usta ręką.

Wszyscy spojrzeliśmy dokoła siebie z przestrawieniem, a Carandini wstając, powiedział: "Lepiej żebyśmy się rozeszli. Nigdy nie wiadomo. Prawda ma w Rzymie krótkie nogi."

Wyszliśmy z Caffè Greco i na rogu Piazza di Spagna pożegnaliśmy się w milczeniu. Tarchiani oddalił się w stronę Piazza del Popolo, Carandini w stronę Tritone, zaś Pietro Nenni i ja skierowaliśmy się na schody Trinita dei Monti.

— A teraz dokąd pójdziemy? — zapytałem — może do kina?

— Do kina? — odpowiedział Pietro Nenni — od czasu gdy komuniści są u władzy, skończyły się kina. Cenzura i propaganda zabiły wszystko. Skończył się teatr, skończyły się gazety,

skończyło się już wszystko. Króluje miernota i serwilizm.

— Powinieneś być wcześniej o tym pomyśleć, wtedy kiedy robiłeś fuzję i czyściłeś buty Włoskiej Partii Komunistycznej. Za Mussoliniego triumfowały miernota i serwilizm, potem za De Gasperi'ego mieliśmy triumf Wiary, a dzisiaj, z tymi panami, wróciliśmy do zwycięstwa miernoty i serwilizmu. Czego lamentujesz? Trzeba było wcześniej pomyśleć o tym.

— Myślę teraz — odparł Pietro Nenni — czy to nie wszystko jedno?

— A Luchino Visconti? — zapytałem — czy on także się skończył?

— Biedny Luchino! Zaczął robić filmy propagandowe od wypadku do wypadku, jeden głupszy od drugiego. Już dwa czy trzy razy oficjalnie dezawuowano jego propagandę. Oskarżają go o nostalgie kapitalistyczne i — co jest poważne — o ograniczoną inteligencję. I teraz Luchino udaje głupiego, żeby pokazać, że oskarżenie jest nieuzasadnione.

— Chcesz powiedzieć, że komuniści oskarżają go o ograniczoną inteligencję proletariacką?

— Oczywiście — odpowiedział Nenni — ale co najdziwniejsze, że przez inteligencję proletariacką komuniści rozumieją głupotę mieszczańską.

— Zobacysz — zauważyłem — że Luchino się wykaraska. Nie jest zbyt trudne dla niego wykazać, że jako burżuj jest głupcem.

— Życzę mu tego z głębi serca — odpowiedział Nenni — ponieważ w gruncie rzeczy to dzielny chłopiec. Poza tym, chłopiec inteligentny. W każdym razie takim się wydawał, gdy był komunistą w rządzie De Gasperi'ego.

— Czy zauważyłeś, że w reżimie kapitalistycznym wszyscy komuniści wydają się inteligentni, zaś w reżimie komunistycznym wszyscy wydają się głupi?

— Wszyscy wydają się głupi dlatego — odparł Nenni — że boją się pokazać, że są inteligentni. To samo działo się z faszystami kiedy Mussolini był u władzy. W rzeczywistości dzisiaj faszyci wydają się bardziej inteligentni niż wczoraj. Czy możesz mi powiedzieć dlaczego?

— Jeżeli idzie o inteligencję, to się nie łudź — powiedziałem — faszyci zostali tacy sami jak byli. A że wydają się bardziej inteligentni to jedynie z tego powodu, dla którego komuniści wydają się bardziej głupi.

— Rozumiem, aż nadto — krzyknął Pietro Nenni. Po chwili milczenia dodał: "A może poszlibyśmy do kino-teatru Brancaccio, żeby zobaczyć *Tragedię Dongo*?"

— Co to takiego? Czy to film?

— Nie, to jest komedia, oparta na tragedii Dongo.

— Czyli na śmierci Mussoliniego?

— Tak, ale w oficjalnej wersji sowieckiej — odrzekł Nenni. Wiesz chyba, że Rosjanie robią ogromną propagandę antyfaszystowską, ale nigdy nie wymieniają nazwiska Mussoliniego. A jeżeli wypadkiem je wymienia, to udają, że nie wiedzą kim on był.

Luchino Visconti — aktor, reżyser, z pochodzenia arystokrata, udający komunistę-intelektualistę.

— A dlaczego? — zapytałem zdziwiony.

— Ponieważ spostrzegli, przynajmniej tak się mówi, że narodowi włoskiemu nie podoba się, gdy się mówi źle o Mussolinim. Już nie żyje, a Włosi nie lubią, kiedy mówi się źle o zmarłym. Dziwny jest ten nasz naród! Dopóki żyjesz, nie oszczędzą ci żadnego oszczerstwa, żadnej hańby, ale skoro tylko umrzesz, biada temu, kto będzie źle o tobie mówił.

— Włosi — zauważyłem — boją się zmarłych. Boją się, że zmarli przyjdą w nocy i wyciągną ich za nogi.

— Należy stwierdzić, że Mussolini jeszcze do tego nie doszedł; na razie zadawała się przychodzeniem i łaskotaniem nas w pięty.

— A Valerio? — zapytałem — czy pułkownik Valerio także występuje w *Tragedii Dongo*?

— Naturalnie, i trzeba stwierdzić, że pułkownik Valerio nie bardzo pięknie jest tam odmalowany. Być może że, to jest wina autora komedii, którego nazwiska zresztą nikt nie zna, albo wina reżyserii, a może wina aktora, który jest biedną miernotą.

— A jak skończył pułkownik Valerio? — zapytałem.

— Raczej źle — odpowiedział Nenni. — Rosjanie najpierw go aresztowali, a następnie wywieźli do Rosji. Od tego czasu nic o nim nie wiadomo.

— A dlaczego? — powiedziałem — co złego zrobił? W ostatecznym obrachunku nie zrobił nic lepszego czy gorszego od tyłu innych: zabił człowieka.

— Ale tym człowiekiem był Mussolini — odpowiedział Nenni. Czy przypominasz sobie takiego Jurowskiego, który zabił cara Mikołaja i wykończył całą jego rodzinę? Myślisz może, że komuniści zrobili z niego dostojnika w Partii Komunistycznej, albo posła do Parlamentu? Dali mu skromną posadkę w Komisariacie dla Spraw Zagranicznych. Jurowski od wielu lat przepycha się tam do czegoś lepszego, uważając przede wszystkim, aby się nigdy nie wystawiać. Rosjanie nawet nie wiedzą czy jeszcze żyje. Sowieckim władzom okupacyjnym nie podobała się być może popularność w złym guście, jaką Włoska Partia Komunistyczna wytworzyła dokoła osoby pułkownika Valerio, a więc usunęli go, aby go nauczyć skromności i dyskrecji. Nie wszyscy, którzy dokonują jakiegoś czynu historycznego, przechodzą we Włoszech do historii.

— Ty jeszcze kochasz Mussoliniego — powiedziałem.

— Kochałem go i nienawidziłem — odparł Nenni. Ale teraz, gdy już nie żyje... mówię ci, że nie lubię, kiedy mówi się o nim źle.

— Rozumiem — zauważyłem — ty także cierpisz na łaskotki w piętach. Po chwili dodałem: "A publiczność, jak przyjmuje widowisko w Brancaccio?"

— Publiczność w Brancaccio — to motłoch — rzekł Nenni — i przyjmuje to przedstawienie rykami entuzjazmu. Chodź, a zobaczysz, że i ty się zabawisz.

— Do czego doszliśmy! — krzyknąłem — bawi nas rozstrzelanie ludzi!

— Chodź, a przyznasz mi rację — rzekł Pietro Nenni.

Brancaccio było napchane do ostatnich granic tłumem, który

Colonello Valerio — zabójca Mussoliniego, który zrabował jego skarb.

hałasował z niecierpliwości. Wreszcie kurtyna poszła w górę. Scena przedstawiała mały placyk w miasteczku na brzegu jeziora. Wzdłuż muru, który w głębi sceny odgradzał placyk od jeziora, stało w szeregu około dwudziestu, a może więcej ludzi, w czarnych koszulach, plecami odwróconych do publiczności. Jeden z tych osobników miał twarz pokrytą gęstą, siwą brodą. Publiczność krzyczała: "Bombacci! Bombacci! rusz się!" Za każdym razem człowiek z siwą brodą obracał się gwałtownie i mieląc językiem robił z neapolitańskim akcentem niesłychany harmider, który tłum przyjmował szalonymi okrzykami radości. Poza nazwiskiem Bombacci, publiczność wykrzykiwała także nazwiska Pavolini i Barracu. Ci także obracali się za każdym razem, pokazywali języki i wykonywali jakieś bezładne ruchy ustami, przyjmowane niekończącymi się śmiechami. Po scenie, rozmawiając głośno między sobą, spacerowali to tu, to tam, czterej uzbrojeni ludzie, noszący ogromne czerwone naramienniki, ozdobione znakiem sierpa i młota. Tlum tak strasznie hałasował, że nie udało mi się dosłyszeć ani jednego słowa z tego co czterej ludzie mówili między sobą napuszonym głosem.

— Co oni mówią? — zapytałem Nenniego.

— Mówią, że Włochy wygrały wojnę — szepnął mi na ucho Nenni.

W pewnej chwili na scenę weszła grupa uzbrojonych młodzieńców, którzy również uszeregowali się plecami do publiczności i po jakimś niekończącym się przemówieniu tego z nich, który wydawał się dowódcą (wyznaje, że hałas był taki, że nie zrozumiałem z tego ani słowa), wystrzelili. Osobnicy w czarnych koszulach zwalili się na ziemię, a publiczka wybuchnęła frenetycznymi oklaskami. Następnie wszyscy, oprócz trupów zasądzonych, wyszli i przez kilka chwil scena była pusta. Wreszcie wszedł jakiś mały ksiądz, zatrzymał się, popatrzył na trupy, podniósł wolno prawą rękę i udzielił im ostatniego błogosławieństwa.

Głęboka cisza przyjęła ten odruch litości. Ksiądz odwrócił się do publiczności, uśmiechnął się dziwnie i powiedział: "Nie miejcie mi za złe, ale nie wiele nas dzieli od *tego dnia*, kiedy będzie mi wolno pobbłogosławić także i was. I kto wie, czy *ten dzień* nie nadejdzie szybko. Polecam się". W czasie, gdy ksiądz się kłaniał, kurtyna zapadła wśród przenikliwych śmiechów publiczności.

— Jeżeli sądzić ze sposobu, jak się śmieją — zauważył Nenni — to słowa księdza nie podobały się tłumowi.

— Nie rozumiem, w jaki sposób cenzura rosyjska pozwoliła, aby ksiądz wypowiedział te słowa.

— Pierwszego wieczoru — odparł cicho Nenni — słowa księdza były nieco inne. Mówił: "Kto nie wierzy w Boga, żyje sto lat". Ale publiczność przyjęła te słowa takimi protestami, że władze sowieckie, aby upomnieć naród włoski, żeby nie upierał się przy swojej wierności dla religii, nakazały, aby ksiądz wypowiadał te pełne pogróżek słowa, które dzisiaj słyszałeś.

Bombacci — analfabeta, dawny anarchista, potem lewy socjalista, zmarł za czasów faszystów.

Pavolini — b. min. propagandy za faszystów.

Barracu — jeden z wybitnych faszystów.

— Zaczynam rozumieć — powiedziałem.

W chwilę potem kurtyna podniosła się po raz drugi. Scena przedstawiała pokój sypialny w jakimś dworku, w górach. Przez okno widać było, w dole, lustrzany błękit jeziora i zalesiony grzbiet góry. W pokoju znajdowali się mężczyzna i kobieta. Kobieta — Claretta Petacci — siedziała na skraju łóżka, mężczyzna — Mussolini — opierał się o ścianę, koło okna. Publiczność milczała. Aktor, uosabiający Mussoliniego, był gruby, wielki i łysy, miał bardzo czarne brwi. Mówiąc, wysuwał szczęki i zaciskał w lewek wargi w sposób typowy dla Mussoliniego. Zauważyłem, że miał wybitny akcent genueński i ten nieoczekiwany akcent nadawał całej postaci już nie tyle wygląd komiczny ile wyraz smutnej uniżoności, pomieszaney z urazą.

Claretta Petacci mówiła do Mussoliniego słowami pełnymi wyrzutów, wypominając mu jego błędy, z których, według jej zdania, najcięższym było wymyślenie kampanii zbożowej.

— W czasie gdy naród umierał z głodu — krzyczała Claretta Petacci, — ty traaciłeś czas na sianie zboża!

Mussolini usiłował usprawiedliwić się, cytując niekończące się cyfry statystyczne, ale uwikłał się boleśnie w ich labirynty.

— Zamiast się w to bawić — wołała pani Petacci — trzeba było rozstrzelać króla!

— Przecież nie mogłem robić dwóch rzeczy jednocześnie! — odpowiedział Mussolini swoim typowym akcentem genueńskim.

— Widzisz, coś narobił swoją kampanią zbożową! — wrzeszczała Claretta Petacci, — gdybyś usłuchał mnie, nie znajdował byś się dzisiaj w takiej sytuacji!

— Ostatnie słowo nie zostało jeszcze wypowiedziane! — za-wołał Mussolini.

W tym momencie Petacci osunęła się w ramiona Mussoliniego, a długi pomruk rozszedł się wśród publiczności. Tę patetyczną scenę przerwało nagłe ukazanie się na scenie nowej postaci, która została przyjęta przez galerię mocnymi okrzykami: "Naprzód Valerio! dalej Valerio!" Krzyki te jednak szybko zostały stłumione przez publiczność.

Pułkownik Valerio, uzbrojony po zęby (zauważyłem z osłupieniem, że na jego naramienniku nie było odznak sierpa i młota) był bladły i trząsał się jak w febrze. Wielkie krople potu perliły mu czoło. Zatrzymał się na środku sceny, podniósł ramię w rzymskim pozdrowieniu i powiedział: "Duce, przyszedłem cię uwolnić!"

Na te słowa Mussolini wyrwał się z objęć Clarettę Petacci, postąpił naprzód w stronę pułkownika Valerio i krzyknął: "Daruje ci Imperium!"

— Nie przyjmuję — odparł pułkownik Valerio — przychodzę uwolnić cię gratis!

— A więc dobrze — powiedział Mussolini — dam ci... dam ci... — szukał odpowiedniego słowa.

— Podaruj mu Amerykanina! — krzyknął z łoży jakiś ostry głos, któremu odpowiedział długi pomruk publiczności.

— Daruję ci Amerykanina... stu Amerykanów... milion Amerykanów... — krzyczał Mussolini, podczas gdy kurtyna opadała wśród głębokiej ciszy tłumu.

— Chodźmy stąd — powiedziałem do Nenni'ego — chce mi się rzygać.

— Nie — odparł Nenni — zostań, czy nie rozumiesz, że ta niegodna farsa nie mierzy w Mussoliniego? Czy zaobserwowałeś milczenie publiczności?

— Publiczność widzi, że to świństwo nie jest odpowiednie dla Włoch, to wszystko. Jesteśmy w Rzymie, a nie w Moskwie. I jeżeli Rosjanie myślą...

— Ależ Rosjanie nie mają najmniejszego zamiaru ośmieszać Mussoliniego — odpowiedział Nenni. — Intencje Rosjan są o wiele subtelnniejsze. A publiczność to rozumiała.

— Chcesz powiedzieć, że publiczność jest inteligentniejsza ode mnie. Ja nic z tego nie rozumiem. Wiem tylko, że jeżeli zostaną tu jeszcze przez następne dziesięć minut, to zaczną rzygać.

— Zostań do końca przedstawienia, a nie pożałujesz — powiedział Nenni.

Kurtyna wreszcie podniosła się i rozpoczął się trzeci i ostatni akt. Scena przedstawiała drożynę górską, prostopadłą do jeziora. Poznałem ją natychmiast. To była drożyna z pierwszego rozdziału „*Narzęconych*” (*Promessi Sposi*), drożyna Don Abbondio i dwóch śmiałków. Na niskim murku, który otaczał dróżkę z boku, od strony góry, siedziało rzeczywiście dwóch zuchów, machając nogami, a w ich stronę podchodził wolno Don Abbondio, z książeczką do nabożeństwa w rękę, szedł zupełnie tak samo, jak to opisał Alessandro Manzoni.

Przez pewien czas akcja rozwijała się prawie tak, jak w *Narzęconych*. Dwaj śmiałkowie powiedzieli nakazująco do Don Abbondio: "Ten ślub się nie odbędzie!" A Don Abbondio podnosząc oczy znad książki wykrzyknął: "Ale... i cóż się stanie z tymi zakochanymi?"

— To jest sprawa, ojcze, która was nie obchodzi — odpowiedział jeden z zuchów.

Na te słowa Don Abbondio spuścił głowę i oddalił się; o kilka kroków za nim szli dwaj śmiałkowie, którzy wkrótce znikli pomiędzy górami, śpiewając jakąś swoją melodię.

— Nie rozumiem, co tutaj robią Don Abbondio i dwaj zuchowie: Renzo i Lucia — powiedziałem do Nenni'ego.

— To jest rzecz haniebna, świętokradztwo — odpowiedział po cichu — ale czy chciałbyś dyskutować o poczuciu smaku z Rosjanami? Myślę, że obecność Don Abbondio i tych dwóch zuchów jest prawdopodobnie aluzją do niewolnictwa kapitalistycznego czasów feudalnych, z którego komunizm wyzwolił Włochy. Dodaj, że Dongo znajduje się nad jeziorem Como i przez to jest częścią topografii *Narzęconych*.

— Jeżeli to tak — odrzekłem — to wcale się nie zdziwię, jeżeli ujrzymy teraz oprócz Mussoliniego, przebranego za Don Rodrigo, pułkownika Valerio w szatach Fra Cristoforo.

— We Włoszech teraz wszystko jest możliwe — zauważył z westchnieniem Nenni. Ale patrz, oto Mussolini.

W samej rzeczy Mussolini zbliżał się drożyną, trzymając pod rękę Clarettę Petacci. Za nimi szedł pułkownik Valerio z wyceLOWANYM automatem, gotowym do strzału. Mussolini i Claretta Petacci zatrzymali się pośrodku sceny, obejrzeni się dokoła, oparli się plecami o murek, na którym dopiero co siedziało dwóch zuchów, i czekali.

Pułkownik Valerio stał przed nimi bardzo blady, otwartą dłonią łagodnie pieścił pistolet i milczał. Cisza w całym teatrze była widmowa. Dawał się tylko słyszeć gdzieś głęboki oddech i tłumiony jęk.

Spojrzałem na Nenni'ego i dostrzegłem, że ma oczy pełne łez.

— Chodźmy stąd — powiedziałem.

— Nie, zaczekaj — odparł Nenni, ściskając mnie mocno za ramię — teraz zobaczysz.

Na raz, jak za pociągnięciem sznurka, pułkownik Valerio zaczął mówić. Bełkotał tak okropnie i głos miał tak dziwnie głuchy, że nie udawało mi się zrozumieć ani jednego słowa.

W pewnej chwili Mussolini przerwał, mówiąc: "Streszczaj się. Nie mam czasu do stracenia".

Pułkownik Valerio podniósł wolno pistolet i wystrzelił. Mussolini padł bez życia na ziemię, a obok niego padła Claretta Petacci. Pułkownik Valerio odstąpił na krok, odwrócił się do publiczności i wyciągnął rękę w stronę trupa Mussoliniego, mówiąc: "Sprawiedliwości stało się zadość".

Wtem zaszło coś zupełnie niezwykłego. Tłum wstał krzycząc, a wkrótce tylko okrzyk: "Bierz go, Benito!" górował nad obszerną salą Brancaccio.

Na ten krzyk Mussolini poruszył się, otworzył oczy, podniósł się na kolana i odwrócony do publiczności, zawołał głosem jasnym i silnym w dialekcie genueńskim: "Teraz moja kolej!" I rzucając się na pułkownika Valerio, ścisnął go za gardło, zasypał go gradem uderzeń pięści i kopniaków, aż w końcu, rzucając go o ziemię, wyrwał mu z rąk pistolet i wystrzelił mu w pierś. Potem wyciągnął się wygodnie obok trupa Clarettę Petacci i zamknął ponownie oczy.

Tłum szalał. Krzyki zachwytu, brawa, śmiechy, głosy: **bis! bis!** były tak ogromne, że musiano z pięć razy podnosić kurtynę, a Mussolini pięć razy wychodził na scenę, kłaniając się.

Byłem zupełnie oszołomiony. Nenni ścisnął mnie za rękę, szepcząc: "Widziałeś? Czy nie powiedziałem ci?"

Gdy wychodziliśmy z teatru, zbliżył się do mnie jakiś człowiek, złapał mnie delikatnie za łokieć i cicho powiedział z sycylijskim akcentem: "Towarzysz Togliatti, przewodniczący Rady Komisarzy Ludowych, czeka na was jutro rano, o godzinie dziewiętej, w swoim biurze, w Pałacu Weneckim. Postarajcie się przyjść punktualnie".

## Rozdział siódmy

Następnego ranka, punktualnie o godzinie dziewiętej, przekroczyłem próg Pałacu Weneckiego. Togliatti przyjął mnie natychmiast. Nosił szare flanelowe ubranie, błękitny krawat i zamzowe pantofle. Uśmiechając się, uściśnął mi dłoń i wskazał mi fotel, stojący przed jego biurkiem.

Togliatti zmienił się bardzo od czasu, gdy widziałem go po raz ostatni. Stał się bardziej smutny, bardziej szary, bardziej łekliwy. Rozstaliśmy się raczej chłodno, kilka lat temu, po dyskusji, jaką sprowokował przeciwko mnie na jednym ze swoich publicznych wystąpień w Bolonii, robiąc mi zarzuty z tytułu pewnej przyjemnej fantazji pod tytułem *Historia jutra*, którą wtedy drukowałem w mediolańskim tygodniku *Tempo*. W fan-

tazji tej, w duchu satyrycznym, ale bez najmniejszej chęci szkodenia komukolwiek i z najlepszymi w świecie intencjami, opowiadałem co by się stało, gdyby pewnego dnia oddziały sowieckie zajęły Europę i Włochy. Togliatti, zamiast śmiać się z mojego fantastycznego pomysłu, szalał z wściekłości. Mój Boże! kiedyż to były te szlachetne czasy, kiedy to kardynał d'Este, słuchając jakiejś przedniej opowieści rycerskiej, zamiast poczuć się urażonym, zapytał ze śmiechem poety, gdzie pozbięrał te wszystkie drwiny! Czego on może chcieć ode mnie? — myślałem — po cóż mnie tu wezwał? jakaż nowa burza wisi nad moją głową? I nie wiedziałem czy czekać aż on pierwszy rozpocznie rozmowę, czy zacząć mówić samemu. Ale przypomniał mi się przysłowie toskańskie, które radzi: "najlepszą odpowiedzią jest dobre pytanie", powiedziałem do niego:

— Jak widzisz, drogi Togliatti, wszystko to co zartobliwie przewidziałem w mojej *Historii jutra*, sprawdziło się jota w jota. Dzisiaj tu siedzisz w tym pałacu, w tej sali, w tym fotelu i rządziś całymi Włochami!

— Rządzą?! — zawołał Togliatti z akcentem głębokiego smutku.

Spojrzałem na niego i było mi przykro, że wypowiedziałem tamte słowa. Zawsze lubiłem Togliatti'ego. Jest to człowiek subtelny, wykształcony, uprzejmy, pełen delikatnych zalet. To jeden z naszych, Włoch, który zna łacinę, który wie jak ważna jest znajomość gramatyki w spekulacji politycznej. Zastanawiałem się, w jaki sposób taki człowiek, jak on, może mieć najmniejsze złudzenia, że uratowanie Włoch zależy nie od narodu włoskiego, ale od rosyjskiego.

— Nie wiedziałeś więc — powiedziałem — że to tak się skończy. Nie nauczył cię przykład Rumunii, Węgier, Czechosłowacji i Polski, że kiedy Rosjanie położą łapy na cudzym domu, to oni rządzą?

— Nie po to prosiłem, żebyś do mnie przeszedł, abyś mi mówił o polityce rosyjskiej — odparł Togliatti, wycierając okulary rękawkiem chusteczki. — Ale ponieważ nie chciałem, byś myślał, że uciekam przed pewnymi argumentami — twierdzam, że sprawa jest zawiła i nie da się jej zamknąć w tych granicach. Komunizm zachodnio-europejski, gdyby nie miał tak potężnego oparcia w Rosji sowieckiej, dawno byłby już zginął. Reakcja kapitalistyczna zgmiotłaby mu głowę już wiele lat temu. Czy kto kiedykolwiek zarzucał liberalizmowi włoskiemu z osiemnastego wieku, że pomagał sobie, szukając oparcia nie tylko w liberalnej opinii publicznej angielskiej, ale w potędze militarnej liberalnej Anglii? Czy kto kiedykolwiek zarzucał radykalizmowi włoskiemu z końca ubiegłego wieku, że korzystał z politycznej protekcji radykalnej Francji? Ci, którzy dzisiaj oskarżają komunizm włoski, że staje się silny dzięki protekcji sowieckiej, są w błędzie.

— Mój drogi — powiedziałem — masz całkowitą rację. Ale zagadnienie jest trochę inne. Zarzut, jaki ma się prawo stawiać komunizmowi europejskiemu, a więc także i włoskiemu, jest ten, że uzależnił losy rewolucji proletariackiej nie, jak ongiś, od spontanicznej ewolucji społecznej proletariatu, ale od ewentualnego zwycięstwa Rosji nad Ameryką. A co się stanie jeżeli Rosja poniesie klęskę?



— Lepiej nie myśleć o tym — odpowiedział Togliatti, wzdrygając się nieznacznie.

— Komunizm — mówiłem dalej — będzie cofnięty o cały wiek. Wszystko to, co jest marksistowskie, będzie w większym czy mniejszym stopniu wygnane z każdego kraju, zwycięskiego czy zwyciężonego. Należy stwierdzić obiektywnie, że postęp cywilizacyjny narodów nie ucierpi zbyt wiele z powodu tego. Ale czy jesteś zupełnie pewny, że komunizm zachodnio-europejski nie mógłby żyć i działać samodzielnie, niezależnie od polityki Rosji sowieckiej?

— Nie ma dla nas drogi pośredniej — odpowiedział Togliatti po kilku chwilach milczenia. — Albo ze Stalinem, albo z Trumanem. Nie możemy już wybierać, nie możemy już cofnąć się. Musimy dzielić losy Rosji.

— Czy jesteś zupełnie pewny, że narody europejskie chcą dzielić losy Rosji?

— Chcą czy nie chcą, jest rzeczą jasną, że już nie mogą wybierać.

— Mylisz się — odrzekłem — także w czasie ubiegłej wojny, kiedy wydawało się, że narody nie mogą już wybierać...

— Niemcy byli nienawidzeni — powiedział Togliatti.

— We wszystkich krajach Europy, a także i we Włoszech, naród zaczyna nienawidzić Rosjan, tak samo jak nienawidził Niemców — zauważyłem. — W gruncie rzeczy twoja sytuacja w odniesieniu do Rosjan jest zupełnie taka sama jak Mussoliniemu w stosunku do Niemców.

— I cóż z tego? — przerwał prawie krzyżąc Togliatti — może to moja wina, że faszyzm zrujnował Włochy? To może moja wina, że odziedziczyłem kraj zwyciężony, zniszczony, zubożały, upokorzony klęską? Kraj bez broni i bez chleba? Gdybym odziedziczył Włochy silne, zdrowe, dumne, być może, że mógłbym prowadzić z Rosjanami politykę większej wolności. Mógłbym próbować neutralności! A dzisiaj... czy to moja wina, że Włochy są zajęte?

— To na pewno nie jest twoja wina, ale musisz uczciwie przyznać, że już od wielu lat Włoska Partia Komunistyczna liczyła na zajęcie naszego kraju przez Rosję, jako na zdarzenie sprzyjające jej własnej polityce. Jeżeli nawet założymy, że Włoska Partia Komunistyczna znajduje się w sytuacji, za którą nie jest odpowiedzialna, to pozostaje faktem, że można jej postawić zarzut, iż wykorzystwała do końca swoją własną politykę i spowodowała naród włoski do roli biernego instrumentu w polityce obcego narodu, co gorsza, najeźdźcy. Należy zawsze pamiętać, że naród włoski, cały naród włoski, łącznie z masami proletariatu, tak długo szedł za Mussolinim dopóki jego polityka, była, względnie wydawała się, samodzielna i dopóki stała na straży interesów, tradycji i sentymentów narodowych, włoskich, wyłączenie włoskich. Opuszczono go, gdy jego polityka stała się tylko narzędziem polityki niemieckiej. Powiem ci więcej. Naród włoski byłby pozostał mniej czy więcej wierny Mussoliniemu nawet wtedy, gdyby on przegrał jedną *swoją* wojnę. Ale nie przebaczone mu, i słusznie, że przegrał *swój* wojnę, wojnę obcą, niemiecką. Nie chciałem się mylić, ale zdaje mi się, że naród włoski zaczyna...

Togliatti spojrział na mnie i odpowiedział powoli: "Rosja sowiecka popełniła jeden wielki błąd: wojnę".

— A cóż ty byś chciał! — krzyknąłem — Rosja powinna prowadzić tylko jedną politykę: za wszelką cenę unikać wojny. Tylko w czasie pokoju może się budować socjalizm światowy. Lenin pozostawił w tym względzie wielką wskazówkę: pokój w Brześciu Litewskim. Rewolucja — powiedział przy tej okazji Lenin — powinna raczej umieć *stracić twarz*, niż zaryzykować to, że może być zgnieciona przez przygniatającą siłę wojskową kapitalizmu. Dlaczego więc Stalin wybrał ryzyko, że może być zgnieciony przez olbrzymią potęgę wojskową Ameryki? Powinien był *układać się*, jak to się mówi w Rzymie.

— Zaraz ci powiem — rzekł Togliatti — jakie są powody, że Rosja wybrała ryzyko wojny. Fakt posiadania bomby atomowej *również* przez Związek sowiecki i podpisany w następstwie tego traktat międzynarodowy, który zakazał używania bomby atomowej, dały w rezultacie już nie tylko wyrównanie sił pomiędzy Ameryką i Rosją, ale przesunięcie przewagi na stronę Związku Sowieckiego. W rzeczywistości było jasne, że w chwili, kiedy obydwaj przeciwnicy będą posiadali broń atomową i solennie zrzekną się prawa jej użycia, ten z nich będzie silniejszy, który będzie posiadał liczniejszą, lepszą i bardziej wyćwiczoną piechotę. Jeżeli odrzucisz broń atomową, to znowu piechota jest królową broni. A piechota rosyjska jest bez wątpienia o wiele bardziej silna od amerykańskiej, tak samo, jak była o wiele silniejsza od piechoty niemieckiej, co się okazało w czasie ubiegłej wojny.

— Zapominasz, że Ameryka posiada najliczniejsze i najpotężniejsze w świecie lotnictwo.

— Czym jest Rosja? — mówił dalej Togliatti — nieskończonym pustkowiem, pokrytym trawą i drzewami. Połowa Rosji europejskiej i azjatyckiej pokryta jest lasem, a druga trawą i zbożem. Miasta w Rosji są jak oazy na Saharze. Słowo Rosja nie jest synonimem *miasta*, tak jak to ma miejsce w Europie. Kto zna historię, kulturę i samą literaturę tego narodu, wie dobrze, że miasta nie liczą się w tym wielkim kraju, nie mają żadnego znaczenia. Kultura rosyjska jest wiejska. Zwrócić uwagę, że wszystkie postacie Gogola, Turgieniewa, Tolstoj, Dostojewskiego czy Czechowa: książęta, hrabiowie, oficerowie, dygnitarze czy dworzanie, wszyscy mają grudkę ziemi, przylepioną do swoich butów i żdźbła trawy we włosach i brodach. Zbombardować, zniszczyć miasta w tym bezkresnym obszarze traw i lasów — to nie ma żadnego znaczenia, albo bardzo małe! Ameryka na pewno nie wygra wojny niszcząc Moskwę, Leningrad, Kijów czy Tyflis. Rosja jest olbrzymim krajem bez kośca, olbrzymim zwierzęciem bez szkieletu: nie można mu połamać kości. Żeby go zabić, trzeba by było zebrać go całego w rękę, zdusić go w garści, jak szczura. Ale czy istnieje na świecie ręka tak wielka, która mogłaby ścisnąć i udusić w dłoni tak ogromnego szczura? Byłby może jeszcze jeden sposób zwyciężenia Rosji: włożyć jej twarz do morza i trzymać tak długo, dopóki nie utonie. Ale Rosja jest daleko od otwartego morza, a morze Kaspijskie, morze Czarne czy Bałtyk są zbyt małymi lustrami wody, by utopić tak wielki naród. Jedynie decydujący ciężar piechoty, kosztem straszliwych ofiar ludzkich, może poskromić Związek

Sowiecki. Czy Ameryka będzie skłonna poświęcić miliony młodych żyć ludzkich, aby spróbować poskromić piechotę rosyjską? I czy jej się to uda?

— Ameryka zgniecie Rosję ciężarem swoich maszyn.

— Być może — powiedział Togliatti — ale co będzie, jeżeli Rosja zgniecie maszyny amerykańskie ciężarem swojej piechoty?

— Stal jest bardziej twarda niż mięso.

— Ty jesteś intelektualista — rzekł Togliatti — i sądzisz rzeczy z tego punktu widzenia.

— Gdyby nawet tak było — odpowiedziałem — to co w tym ziego? Wiem, że komunizm pogardza intelektualistami. I to nie od dzisiaj. Wystarczy poczytać Marksa i Lenina.

— My pogardzamy tylko fałszywymi intelektualistami — rzekł Togliatti, bawiąc się nożem od przecinania papieru.

— Ale są wszyscy z wami, ci fałszywi intelektualści! Są wszyscy pochowani w cieniu waszych sztandarów, odpadki małego faszyzmu udającego intelektualizm, bankruci nauki i sztuki, zazdrośni, uparci, zawistni, nędznicy, tajemni wrogowie wolności sztuki i nauki.

— Nie wszyscy — powiedział Togliatti.

— Nie wszyscy — na pewno. Ale jeżeli to wszystko będzie trwało nadal, to ani się spostrzeżesz, jak zostaną przy was tylko umysły mizerne, głupcy, tylko ci, w których interesie leży zdławienie wolności wśród inteligencji. Jedynie niewola nauki i sztuki może sprawić, że triumfować będą głupcy i bankruci. To nie nowość.

— W roku 1944 i w 1945 wszyscy intelektualści byli z nami — powiedział Togliatti, śmiejąc się ironicznie.

— Niewątpliwie! Zaraz po wyzwoleniu wy cieszyliście się sympatią wszystkich intelektualistów Zachodu, nawet Ameryki. I z jakiego powodu straciliście takie sympatie? Ponieważ głosiliście konieczność ograniczenia wolności myśli i dzieł artystycznych, ponieważ powtarzaliście w sprawie sztuki i nauki slogany Hitlera. Żdanow nie żyje. Goebbels również umarł. Spokój ich duszom. Byli nieprzyjaciółmi, byli diametralnie różni, ale zgadzali się w wielu poczynaniach i w wielu konkluzjach. Uderzali w tę samą strunę: Żdanow ze swoją pokrywką klasową, a Goebbels z rasową. I wymagacie, ażeby intelektualści...

— Intelektualiści to zdrajcy — powiedział Togliatti. — Zdradzili i zdradzają wszystko i wszystkich. Cóż dziwnego, że teraz zdradzają sprawę ludu?

— Cóż tu ma do rzeczy sprawa ludu? Wy, komuniści, macie manię stwarzania nieistniejących problemów. Sprawa ludu jest sprawą ludu, a sprawa sztuki sprawą sztuki. Prawdziwy artysta postawiony wobec konieczności wyboru pomiędzy sztuką, a jakimkolwiek innym uczuciem czy zajęciem, zawsze wybierze sztukę. Nie mogą zrozumieć dlaczego malarz komunistyczny Guttuso powinien malować jak Trombadori, a nie jak Guttuso. Wzdrygam się na myśl, że Mozart i Beethoven musieliby dzisiaj — żeby nie zdradzić sprawy ludu — komponować muzykę nie mozartowską i beethovenowską, ale stalinowską. A jeżeli idzie o marksizm i walkę klas, to zapewniam cię, mój drogi Togliatti, że dla artysty, z punktu widzenia artystycznych wymogów, proletariusz jest wart tyle samo co Brusadelli.

— Błuznisz — krzyknął Togliatti.

— Nie miałem najmniejszego zamiaru bluźnić, chciałem ci tylko wyłożyć dlaczego artyści i intelektualiści europejscy nie są i nie mogą być z wami.

— Tym lepiej! — zawołał Togliatti.

— Nie wiem, czy lepiej, czy gorzej — zauważyłem — to są wasze sprawy i nie mam prawa nimi się zajmować. Ale mam wrażenie, że wy, komuniści, przesadzacie w waszej pogardzie dla intelektualistów. Można by powiedzieć, że udajecie pogardę, ponieważ w gruncie rzeczy, boicie się ich. Niewątpliwie, że intelektualiści są drobną mniejszością, a wy cenicie tylko ilość, masy. Kto wie jednak, czy nie popełniacie błędu Mussoliniego, który przypisywał tak wielkie znaczenie "przestrzeni życiowej"? We Włoszech ilość nie znaczy nic. Jeżeli w waszych zespołach będą jedynie cztery koty, to komunizm włoski będzie najsilniejszy. Pomyśl dobrze, drogi Togliatti, a zrozumiesz, że to nie paradoks.

Togliatti począł się śmiać i zdjawszy okulary, przesunął wolno ręką po powiekach. Poznałem ten ruch. To ruch charakterystyczny dla tych, którzy poświęcają ciche wieczorne godziny dobrej lekturze, przy lampie, którzy kochają dobrą prozę, dobre książki, piękne okładki. Szkoda, pomyślałem, że ten człowiek, delikatny, bystry, lubiący dobrą literaturę, subtelny znawca klasyków greckich i rzymskich, humanistów włoskich i francuskich, jest po stronie tych, którzy popisują się publicznie tak wielką pogardą dla intelektualistów, dla wolności nauki i sztuki! Zapytywałem siebie, czy przypadkiem i w nim, w Togliattim, szefie komunizmu włoskiego, Prezydencie Rady Komisarzy Ludowych Ludowej Republiki Włoskiej, nie ma trochę tej niewiary, jaką komuniści zarzucają intelektualistom niekomunistycznym. Kto wie, myślałem, czy w głębi swojej szlachetnej duszy nie przedkłada Platona nad Marksa i Horacego nad Ilię Ehrenburga. Togliatti jest człowiekiem nauki, o dobrym smaku: deklamuje mi w kółko za Żdanowem o upadającej sztuce, o zgniłej, skorumpowanej literaturze burżujskiej, ale w głębi nie wierzy w to. I wie lepiej ode mnie, lepiej od kogokolwiek innego, że co innego jest sztuka, a co innego sztuka burżujska, że o ile burżujstwo nie jest sztuką, tak samo sztuka proletariacka, o ile jest proletariacka nie jest sztuką. Patrzyłem na niego i serce mi się ścisnęło myśląc o smutnym losie tego intelektualisty, niewolnika dyscypliny ideologicznej, którą aczkolwiek przyjął bez wątplenia od strony socjalnej, praktycznej, to na pewno wewnętrznie odrzuca, nie może nie odrzucać, od strony intelektualnej. W gruncie rzeczy, powiedziałem sobie, Togliatti również siedzi na zblakanej łodzi, ale czy ta, na którą myśmy weszli, jest lepsza od jego?

W tym miejscu moich tajemnych rozważań, jak gdyby odgadując moje intymne myśli, Togliatti spojrzał na mnie i powiedział z uśmiechem: "Także i wy siedzicie na łodzi"... Ale zostawmy te smutne rozmowy. Prosiłem cię, żebyś do mnie przyszedł, gdyż mam do ciebie prośbę. Potrzebny mi jest hymn.

— Co takiego?

— Hymn.

— Czyż nie macie *Czerwonego Sztandaru, Międzynarodówki, Słońca przyszłości?*

— Już nie idą — rzekł Togliatti — już więcej nie idą. Potrze-

ba nam coś innego. Hymnu, który by stał na wysokości nowych czasów. Czy wiesz jaki rezultat dał plebiscyt jaki ogłosiliśmy niedawno wśród proletariackich mas włoskich? Olbrzymia większość narodu włoskiego opowiedziała się za *La Bella Gigugin*.

— *La Bella Gigugin*? — krzyknąłem.

— Wyobraź sobie, rewolucyjny proletariat włoski wybrał *la Bella Gigugin*.

— To dobry znak. Włochy się uratują.

— Być może — rzekł Togliatti — ale musisz przyznać, że *la Bella Gigugin* nie może być hymnem komunistycznym. To może iść jako piosenka. Ale jako oficjalny hymn rewolucyjny nie jest wystarczająco poważne, wystarczająco... bohaterskie. O, to jest właściwe słowo: bohaterskie.

— Ależ bohaterstwo naszego narodu jest dobrodusze. Bohaterstwo drobnomieszczańskie, jest retoryczne, napuszone, nadęte, deklamatorskie. Bohaterstwo tłumy jest dobre, proste, rodzinne, takie bohaterstwo ludzi dzielnych, ludzi biednych, którzy nie wierzą fałszywym uczuciom i fałszywym wielkościami. Lud, który stawia czoło walce, który wychodzi naprzeciw głodowi, biedzie, śmierci, śpiewając *la Bella Gigugin*, mimo wszystkich oznak jest wielkim ludem.

— Tak, na pewno, rozumiem twoje racje — odparł Togliatti, oglądając swoje paznokcie, — ale ty musisz zrozumieć moje. Włoska Partia Komunistyczna nie może uznać *la Bella Gigugin* za swój hymn oficjalny, hymn rewolucji proletariackiej. Potrzeba nam czegoś innego. Prawdziwego hymnu. I ty jeden możesz go nam dać.

— Kilka lat temu napisałem *Hymn Republiki*. Jest bardzo piękny, ale De Gasperi nie chciał tego przyznać. To jest hymn, który się dla was nadaje, akurat taki, jaki jest wam potrzebny.

— Jakto? — zapytał Togliatti.

— Posłuchaj, to jest pierwsza zwrotka — powiedziałem i zacząłem śpiewać:

*Italia jest wolna,  
Niech Bóg ją zachowa,  
My zaś niewolnicy  
W wolności okowach.*

— Nie, to nie idzie — powiedział Togliatti — jest zbyt... jakby to powiedzieć... zbyt... — zamyslił się przez chwilę.

— Szkoda, bo to bardzo ładny hymn.

— Nie mówię, że nie, ale to nie dla nas — odpowiedział Togliatti. Po chwili dodał: "Potrzeba nam również jakiegoś ładnego sloganu".

— Czego?

— Ładnego sloganu, na przykład jak ten: *Musimy rozbić łańcuchy, które zamykają Nasze Morze*.

— To jest przecież stary slogan!

— Stary? Przecież ja go wymyśliłem — powiedział Togliatti.

— Ty wymyśliłeś?

— Naturalnie, że ja. Wymyśliłem jeszcze inne tej nocy, posłuchaj:

La bella Gigugin — popularny przebój we Włoszech.

*Byliśmy cierpliwi czterdzieści lat, dziś koniec z tym!*

— Przecież to również wymyślił Mussolini!

— Zawsze tylko Mussolini — odpowiedział poruszony Togliatti. — Ciągłe te same tęsknoty za Mussolinim! Wy, intelektualiści, jesteście niepoprawni! A może i to wymyślił Mussolini: *Jeżeli idę naprzód, idźcie za mną, jeżeli...*

— Przecież to stara historia — zawołałem — historia, która śmierdzi! Dosić już mamy tego plugastwa. Wymyśl coś nowego, coś innego, jeżeli chcesz, aby naród włoski poszedł za tobą nawet wtedy, gdy stoisz w miejscu!

— Spróbuj ty wymyślić coś lepszego, spróbuj! — zawołał Togliatti czerwieniąc się ze złości.

— Ależ ja nie zajmuję się pisaniem takich rzeczy! Ja piszę książki, powieści, komedie — nie piszę sloganów! I nigdy ich pisać nie będę! Rozumiesz! Nigdy!

— Jesteś zdrajcą ludu, ty także! — powiedział poważnie Togliatti, a potem dodał ciszej: "Ty także, Malaparthe!"

— No dobrze, ja także! No i co dalej? Chcecie, aby wszyscy poświęcili się dla waszych hymnów i dla waszych sloganów! Czy dotąd nie rozumieście, że naród włoski ma już powyżej uszu hymnów i sloganów?

— Czego ty się złościś — powiedział Togliatti — prosiłem cię o zrobienie mi przysługi, nie chcesz mi jej zrobić, to trudno. Nie denerwuj się. Jesteśmy przyjaciółmi jak przedtem. Przecież nie pokłócimy się o takie głupstwo? I klepiąc mnie ręką po plecach, dodał z upartym uśmiechem: "Ale mimo wszystko mógłbyś mi dać dobry slogan".

— Dlaczego nie weźmiesz sloganu, który niedawno przeczytałem w Livorno; był wypisany na murze Ardenzy.

— Jaki to slogan? — zapytał Togliatti.

— Oto on: *Plug znaczy brudę, ale broni jej krowa*.

Bardzo ładne — zauważył Togliatti — bardzo piękne... Ale krowa... kto jest krową?

— Krowa?... ba, jeśli idzie o krowę, to trzeba to uzgodnić.

## Rozdział ósmy

Tegoż samego dnia, po rozmowie z Togliattim, Przewodniczącym Rady Komisarzy Ludowych, postanowiłem opuścić Rzym. Już nie dlatego, że obawiałem się brzydkiego kawału z jego strony za nieostrożne słowa, które wypowiedziałem w jego obecności, ale ponieważ miałem nadzieję, że uda mi się przekroczyć granicę i wrócić do Paryża. Zostawiłem tam moje książki, moje rękopisy i wszystkie moje rzeczy, a poza tym tam czekała na mnie moja ukochana. Tylko w jaki sposób będę mógł bez paszportu przejść przez granicę?

W tym czasie Pietro Nenni okazywał mi wiele sympatii i bardzo mi pomagał radami, specjalnie radami, abym nie robił głupstw. (Jak wszystkim wiadomo i o czym i ja się przekonałem po tylu bolesnych przejściach, rozsądek jest zaletą, której najbardziej mi brakuje). Nenni usiłował mnie odwieść od wyjazdu z Rzymu, twierdząc, że łatwiej się w nim ukryć niż w jakimkolwiek innym mieście na świecie, a to z tego powodu, że ludzie w Rzymie nie interesują się sprawami innych. A jeżeli nawet interesują się, to w gruncie rzeczy gwizdzą na nie; stara-

ją się sami jakoś przepychać przez życie. Oto powód: przepychać się przez życie. Ale, aby, jak to powiedział Rabelais, powrócić "à nos moutons", zapytałem się siebie, czy jest do pomysłenia, by komunizm mógł zapuścić korzenie w kraju, w którym cały naród wyrwa się do życia.

Postanowiłem więc nie wracać do Paryża i zostać w Rzymie, dzieląc z Nennim jego "kryjówkę". Składała się ona z dwóch pokoi na czwartym piętrze osiemnastowiecznego pałacu w okolicy Piazza Venezia, przemianowanego przez Rosjan na Plac Smoleński. Ponieważ odrzucało mnie od zapuszczenia sobie brody, zadawałałem się, wychodząc z domu, podnoszeniem kołnierza od palta. Wierzyłem, że wskutek mojej długiej nieobecności we Włoszech, bardzo mało osób było w stanie mnie poznać.

Codziennie po południu robiliśmy z Nennim długie spacery do Villa Borghese, nazwanej przez Rosjan Willą Proletariatu. Siadywaliśmy na małej ławeczce w Pincio, podziwiając kopułę Świętego Piotra, w blaskach płonącego zachodu słońca. Wieczorem, po obiedzie w jakimś Proletarbarze, spędzaliśmy kilka godzin w kinie lub w teatrze, względnie w jakimś Proletarkawie, rozmawiając po cichu ze sobą, albo z jakimś starym rzymskim przyjacielem Nenni'ego, o sytuacji politycznej, o przebiegu wojny, o obrocie, jaki przyjmują sprawy.

Cała ludność Włoch, zresztą nie tylko Włoch, ale i wszystkich krajów Europy, oczekiwała z niepokojem lądowania Amerykanów. Dzienniki Rzymu, Paryża, Brukseli, Berna i Stockholmu wypisywały co rano, wielkimi literami, że wojska alianckie, zgromadzone w Anglii, Afryce Północnej, na Środkowym Wschodzie i w Japonii, czekają tylko "okazji", aby postawić stopę w Europie i na Syberii. Dzienniki dodawały, że ze strony sowieckiej wszystko jest gotowe do stawienia czoła i odparcia inwazji.

— Zobaczysz — mówiłem do Pietro Nenni — że nie będzie desantu amerykańskiego w Europie.

— A więc gdzie będzie?

— Tego nie wiem ci powiedzieć, ale na pewno nie będzie go w Europie.

— Czy myślisz, — mówił Nenni, — że jeżeli Amerykanie nie przyjdą tu by upolować Rosjan, to Rosjanie pewnego pięknego dnia, z własnej inicjatywy, po cichutku pójdą sobie precz z Europy?

— Być może, że się mylę — odpowiadałem, ale przecucie mi mówi, że Amerykanie nigdy nie wyładują w Europie. Wojna zakończy się w sposób nieprzewidywany i nieoczekiwany. Będziemy wolni bez pomocy Amerykanów.

— Gdybyż! — wykrzyknął Nenni — pokojowe oswobodzenie byłoby prawdziwą łaską niebios!

Chociaż wojna ucichła na wszystkich frontach, lotnictwo rosyjskie i amerykańskie zaczęło od czasu do czasu dawać znaki życia. Kilka bomb spadło, być może wskutek pomyłki, na Neapol, Paryż i Bukareszt, zaś w odwecie eskadra samolotów sowieckich o napędzie raketowym wyrządziła lekkie szkody we wschodniej części Londynu. Ale w czasie, kiedy wojna wychodziła powoli ze swego dziwnego letargu, sytuacja wewnętrzna

w różnych krajach, okupowanych przez Rosję, stawała się z dnia na dzień bardziej naprężona. We Włoszech głuche niezadowolone wrażliwość w masach robotniczych w Mediolanie i Turynie. Usiłowania wywołania strajku zostały gwałtownie stłumione tu i ówdzie (w sposób, prawdę mówiąc, raczej tajemniczy, gdyż policja sowiecka działała tylko w nocy), zwłaszcza w Toskanie, Empoli, Prato, Livorno i Valdarno. W każdym razie, być może na skutek delikatnej polityki Missiroli'ego, nowego Komisarza Ludowego dla Spraw Wewnętrznych, lub też na skutek słusznej dbałości rosyjskiej o niezaostrzanie niezadowolonych ludności i tak już zaniepokojonej przewidywaniami długiej i strasznej wojny, stało się pewne, że okupacyjne władze sowieckie przyjęły postawę najwyższej ostrożności w odniesieniu do opinii publicznej.

Ofiarami, a raczej kozłami ofiarnymi tej rosyjskiej ostrożności byli komuniści, co zresztą od pewnego czasu łatwo było przewidzieć. Narówni z innymi okupantami cudzoziemskimi, Rosjanie bardziej dbali o zaskarwienie sobie sympatii opinii publicznej niż opinii komunistów w danych krajach. Ci ostatni, aczkolwiek byli mniejszością aktywną, byli mniejszością nadto niespokojną, popychaną przez swoje własne racje bytu do podporządkowywania interesów wojennych interesom rewolucji. Zaczynało się już szeptać o tym, że szefowie komunistów są potajemnie aresztowani, o obławach, dokonywanych przez policję wśród prowadzących politycznych i syndykalnych Partii Komunistycznej, o przygotowaniach do masowych deportacji pod pretekstem przysłania wyspecjalizowanej pomocy do centrów przemysłowych Rosji Sowieckiej, złożonej z wykwalifikowanych robotników z różnych krajów europejskich.

Narody zaczynały mieć dosyć Rosjan. Alianci czy nie, oswobodziciele czy nie, Rosjanie byli zawsze najeźdźcami. Widok żołnierzy sowieckich, owiniętych w swoje długie szare sznytele, noszących filcowe czapki z ostrym czubem, ich tatarski sposób ubierania się, twarde szczęki, pogardliwy wzrok, wszystko to nieodparcie wzbudzało w duszy narodu wspomnienie Niemców sprzed tylu lat. Tak jedni jak i drudzy przyspili aby pomóc Mussoliniemu względnie Togliatti'emu, a panoszyli się w naszym kraju jak jego panowie. I jacy panowie! Nasze zbiory i nasze wytwory przemysłowe, już od pewnego czasu skierowywano do Rosji. Oddziały sowieckie żyły z zasobów kraju, zupełnie tak samo jak oddziały nieprzyjacielskie obozujące na terytorium podbitego państwa.

Cóż więc dziwnego, że dawna ogólna sympatia dla Rosjan, dla towarzyszy sowieckich, którzy przyspili, aby wybawić Włochy z jarzma kapitalistycznego, poczęła się zmieniać w nieufność, pogardę, gniew, a w końcu w nienawiść? Już wszyscy doszli do przekonania, że miejsce jarzma kapitalizmu burżuazyjnego zajęło jarzmo kapitalizmu państwa sowieckiego, jarzmo kapitalizmu ludowego, jak mówili śmiejąc się, starzy robotnicy socjalistyczni od Fiata. Urzędnicy rosyjscy "kontrolowali" tak zwane "uspołecznienie" Włoch. Popisywali się ruchami, postawą, słowami, groźnym marsem na twarzy, nie wiele różniącymi się od zachowania się Niemców w roku 1944. Jeśli zaś idzie o "uspołecznienie" Włoch, stawało się ono z dnia na dzień coraz bardziej "rusyfikacją".

Bardzo dziwnym ale też i bardzo ludzkim zbiegiem okoliczności uczucia ludzi w stosunku do komunistów, słusznie czy niesłusznie oskarżanych o zaproszenie Rosjan do Włoch, zaczęły się po trochu zmieniać w politowanie. Zresztą było zupełnie jasne, że nasi rodzimi komuniści nie liczą się już wcale, albo bardzo mało. Będąc od pierwszej chwili narzędziami w rękach sowieckich władz okupacyjnych, stali się z czasem zwykłymi figurantami, a w końcu i oni także ofiarami polityki wojennej i sowieckiej racji stanu. Kiedy szefowie komunistyczni, do niedawna jeszcze tak gorąco wołający "hurra" na zgromadzeniach ludowych, szli ulicami Rzymu, Mediolanu, Bolonii i Turynu, ponizeni, maluczcy, zbiedzeni, żeby nie powiedzieć zawstydzeni, z ręką gotową do ukłonu, a wargami gotowymi do uśmiechu, ludność obracała się za nimi i patrząc na nich z politowaniem, szeptała: "Biedacy!" Postawa młodzieży w stosunku do Rosjan była bardziej otwarta i harda. Potrzebując gwałtownie rąk roboczych, władze sowieckie pod pretekstem, że Włochy także muszą wziąć udział w wojnie z kapitalizmem amerykańskim, nakazały rządowi Togliatti'ego zorganizować Czerwoną Armię Włoską. Zaimprovizowane wojsko Ludowej Republiki Włoskiej zostało wysłane, ale już nie na front, lecz na tyły, gdzie zmuszone było naprawiać szosy, kopać rowy, budować koszary i schrony przeciwlotnicze, wycinać lasy, wyładowywać pociągi, słowem spełniać *la corvée* za żołnierzy sowieckich, walecznych, na polu bitwy, ale bardzo złych i mało wydajnych w jakimkolwiek rodzaju pracy. Wszystko to bardzo głęboko upokarzało całą młodzież włoską, nie wyłączając komunistycznej, popychając wielu chłopców, najbardziej wartościowych, do dezercji, ucieczki w góry i poświęcenia się konspiracji, tak jak to już miało miejsce w latach 1944 i 1945.

Ci nowi partyzanci, w przeciwieństwie do tamtych z roku 1944, nie otrzymywali pomocy z Ameryki, nie mieli ani żywności, ani broni ani amunicji. Żyli mizernie z łaski ludności, a ponieważ nie mogli walczyć goli i bezbronni, wybrali mało efektywną broń sabotażu, który działał jak rak na masowy, ale łamliwym organizmie zsowietyzowanych Włoch. Była to forma wojny mniej krwawa, ale nie mniej ryzykowna, a często gęsto bardziej wydajna od tej klasycznej partyzantki, polegającej na potyczkach i zamachach. A tymczasem oczekiwano, że Ameryka wyzbędzie się błędnego przekonania, że ruch partyzancki umrze zanim się narodzi, nie mogąc liczyć na niezbędną i wprost niezastąpioną pomoc ludności, gdyż proletariát włoski i europejski jest, ich zdaniem, całkowicie skomunizowany.

Przekonanie to było błędne. Ludność, która na początku wojny przyjęła z pewnym entuzjazmem sowieckie oddziały "oswobodzicieli", coraz silniej stawiała się antyrosyjska i coraz bardziej pomagała nowym partyzantom, których Rosjanie nazywali pogardliwie "łamistrajkami". Ta nazwa miała w rzeczywistości, według intencji sowieckich, oznaczyć ich stanowisko, stanowisko narzędzi reakcji kapitalistycznej, to jest "łamistrajków" i sabotażystów tej wojny, którą Rosjanie wyносили jako olbrzymi strajk rewolucyjny przeciw anglosaskiemu światu kapitalistycznemu.

Ruch "łamistrajków" poczynął rozpowszechniać się nie tylko we Włoszech, ale w całej Europie, specjalnie we Francji ("ła-

mistrajkami" nazywani byli we Francji "briseurs de grève"), gdzie żyło jeszcze wspomnienie dawnej bohaterkiej antyniemieckiej "résistance". W związku z powyższym, nie od rzeczy będzie zaznaczyć, że nastawienie „łamistrajków”, „briseurs de greve” aczkolwiek antykomunistyczne było zasadniczo markszystowskie. Jeśli idzie o elementy nie proletariackie (konserwatystów, liberałów, nacjonalistów, katolików i monarchistów), które również stanowiły część ruchu oporu, to elementy te, nieświadomie i nie tylko z komedianctwa, wchłaniały w siebie uczucia proletariatu. Popisywały się wobec proletariackiego odłamu "łamistrajków" wolnością czynu i myśli i same również działały w myśl idei socjalistycznych. W roku 1944 partyzanci zwalczali Hitlera i Mussoliniego, każdy według własnych dążeń politycznych: to w imieniu Monarchii, to Kościoła, Mazzini'ego, Stalina czy Cavour'a, obecnie zaś wszyscy zwalczali Stalina w imię socjalizmu rodzaju włoskiego à la Prampolini, à la Turati, albo, jeżeli wolimy nadać nową nazwę starej rzeczy — à la Saragat.

Biedny Saragat od wielu miesięcy usychał w domu dla obłąkanych, gdzie go zamknięto na skutek odmowy współpracy z Rosjanami i nie mógł w związku z tym osobiście brać udziału w tym narodowym i socjalistycznym ruchu oporu. Ale mimo to prawdziwym dowódcą "łamistrajków", dowódcą już legendarnym, był właśnie on. Ludność na ślepo, instyngtownie, czuła, że wojna może się skończyć fatalnie dla Związku Sowieckiego i że partia rządząca, której Amerykanie po zwykłym "uwolnieniu" Europy, mogliby powierzyć demokratyczną odbudowę Włoch, będzie partia Saragata. Pustka pozostawiona przez komunizm, nie mogła być bardziej rozsądnie zapełniona jak tylko przez socjalizm o tendencjach liberalnych.

Tyle razy powtarzane przed wojną oskarżenie, że Saragat jest człowiekiem Ameryki objawiało się, w miarę rozwoju wypadków historycznych, nie obelgą, ale pochwałą. W rzeczywistości jedynie Saragat zrozumiał, że zwycięstwo amerykańskie podnieśie do władzy socjalizm tradycyjnie wierny ideom wolności i demokracji.

— Saragat! — krzyknął Nenni — on jest zdrajcą ludu!

— A dlaczego? — zapytałem — może dlatego, że ukradł ci posadę? A ty, mój drogi, przez całe życie nie robiłeś nic innego tylko pozwalałeś sobie kraść posady: najpierw był Mussolini, potem Togliatti, teraz będzie Saragat. To jedynie twoja wina, mój drogi, że nie jesteś dzisiaj Sagaratem włoskiego socjalizmu!

— Mnie wystarczy być Nennim Saragata — krzyknął Nenni.

Proszę mi wierzyć, że w powiedzenie, iż Saragat był szefem "łamistrajków", nie włożyłem ani odrobiny ironii czy satyry. Byłoby rzeczą godną pogardy i wobec tego nie do przyjęcia nie tylko przeze mnie, ale przez żadnego szanującego się człowieka, ponizanie Saragata, którego zresztą podziwiam choć nie znam, do poziomu "łamistrajka" w sensie, jakie to słowo miało przed wojną, to jest do narzędzia w rękach kapitalizmu, służącego do łamania kości strajkującym i zdradzania w ten sposób sprawy proletariatu. Jest faktem, że w wyobraźni ludności Saragat za-

Prampolini — niezrzący socjalista, działacz syndykalistyczny.

Turati — niezrzący socjalista, teoretyk.

jął miejsce Longo, Moscatelli i innych bohaterskich przywódców partyzantów-komunistów z roku 1944. Abstrahując zresztą od osoby Saragata, o którym nie chcę tu dyskutować, bezsprzecznie tym razem mit socjalistyczny, mit socjalizmu Saragata, jako duch pobudzający do buntu partyzanckiego, zastąpił mit komunistyczny z roku 1944. Tym razem duch ruchu partyzanckiego był socjalistyczny.

Dziwne to, ale Rosjanie byli bardzo ostrożni w sprzeciwianiu się „łamistrąkom” i ich saragatowskiemu socjalizmowi. Przeciwnie, wydawali się im pochlebiać ze stratą dla komunistów. Dla tego, kto umie patrzeć dobrze w sedno rzeczy, była to polityka Missiroli’ego w całej swojej miłej surowości, logicznej i uczuciowej. Polityka socjalistyczna z zabarwieniem liberalnym, która rzeczywiście leży w charakterze narodu włoskiego, jeżeli będziemy na niego patrzeć niezależnie od dogmatycznych schematów faszyzmu, komunizmu i katolicyzmu, niezależnie od schematów literackich w guście Stendhala i d’Annunzia.

Wobec niebezpieczeństwa Włochy przybierały znowu swoje rodzime zwyczajy, opierały się jeszcze raz twardej i nieszczęśliwej rzeczywistości, przybierały swoje prawdziwe oblicze, oblicze uśmiechnięte ludzi dobrych, prostych, dobrodusznych, kochających nade wszystko sprawiedliwość (tego najwyższego dobra Włosi nigdy nie znali i być może nigdy nie poznają), i nienawidzących gwałtu, przede wszystkim tego legalnego, pospolitości, zarozumiałości i przemocy tych, którzy rządzą, a przede wszystkim tych, którzy rządzą w imieniu ludu. Było to oblicze starodawne, niezmienne, którego po Giolittim nikt nie mógł już oglądać bez rumieńca wstydu. Ani Mussolini, ani Togliatti nie umieli rozpoznać wejrzenia tego pod smutną maską, którą gwałt tyranii, głodu, strachu, poniżeń wszelkiego rodzaju, nakładał po trochu na rysy twarzy włoskiej.

Władze sowieckie wszakże, wykazując zainteresowanie uczuciami ludności w stosunku do siebie, pilnowały się troskliwie, aby nie drażnić narodu. W celu odsunięcia od siebie niezadowolonych Włochów, wykazywały głęboką niechęć do naszych rodzimych komunistów, jak gdyby chciały pokazać ludziom, że ci biedacy są jedynie odpowiedzialni za niedolę i cierpienia Włoch.

Komisarz dla Spraw Wewnętrznych, Missiroli wszakże, pomagając takiej polityce, praktycznie interpretował ją na swój sposób, to jest według tej rodzimej tradycji, czysto włoskiej, o której mówiłem wyżej. Nie zanieczyścił niczego, aby dać do zrozumienia ludności, że on co prawda prześladowuje tych biedaków, komunistów, ale tylko z tego powodu, że zmuszają go do tego Rosjanie. Nie robi im zresztą nic złego, ponieważ oni także są Włochami. Jeżeli obcy zasiada przed naszymi ogniskami domowymi w charakterze pana, należy być wyrozumiałym i pobłażliwym dla swoich. Tylko Rosjanie są odpowiedzialni za nasze krzywdy, zdawał się mówić Missiroli, a nie włoscy komuniści, biedacy, którzy mają tyle znaczenia co musztarda po obiedzie, i nie marzą o niczym więcej, jak tylko o tym, by mogli się nawrócić nie musząc się zbytnio rumienić.

Jeżeli taka jest postawa ludu, to jaka była postawa mieszczaństwa? Pietro Nenni był bardzo sceptyczny jeśli idzie o możliwości rewolucyjne klasy mieszczańskiej.

— Wszystko gadanina, jak zawsze — mówił z głębokim oburzeniem, gładząc brodę.

— Dlaczego mówisz jak zawsze? W latach 1944 i 1945 mieszczaństwo włoskie wniosło wspaniały wkład do walki partyzanckiej z Niemcami.

— Inne czasy! — odpowiedział Nenni — obecnie mieszczaństwo jest zbiegłe i zdeorientowane. Młodzi należą do „łamistrąków”, ale starsi, mieszczaństwo w okularach i z brzuszkiem, obawiają się otwartej kompromitacji i wobec tego ograniczają się jedynie do tego, co nazywają walką podziemną.

— Walką podziemną? — zapytałem ze zdziwieniem.

— Słowo walka, jest jednym z najpiękniejszych słów — odpowiedział Nenni — w gruncie rzeczy odnosi się to do zgromadzeń potajemnych pomiędzy przyjaciółmi, którzy zbierają się w grupy czynu antyrosyjskiego i antykomunistycznego.

— Ależ to nadzwyczajne! — krzyknąłem głosem drżącym od prawdziwego zachwytu — mieszczaństwo, ten wielki proletariatus, nareszcie się ruszyło! Więc to nie prawda, że klasa mieszczańska, przynajmniej we Włoszech jest leniwa, zła i egoistyczna! Mieszczaństwo się organizuje, nabiera świadomości niebezpieczeństwa, działa!

— Jeżeli zechcesz — powiedział Nenni — to dziś wieczór możemy iść razem na jedno zebranie potajemne do pewnych moich przyjaciół, należących do grupy *Rodzina, Wolność, Postęp*. To dzielni ludzie, nieustraszenie wyzywają śmierć ze świętym imieniem Ojczyzny w sercu.

Zgodziłem się z radością i tegoż wieczora udaliśmy się na miejsce zebrania. Wkrótce potem znaleźliśmy się przed czteropiętrowym domem, stojącym w głębi, na jednej z wielu uliczek Quartiere di Prati, który Rosjanie przechrzcili na Kwartał Kirowa, od nazwiska głowy komunistów, przyjaciela Stalina, zabitego wiele lat temu przez trockistów w Leningradzie. Przechodząc obok portierni Nenni przyjacielsko pozdrowił portiera, który, ku mojemu zdziwieniu, odpowiedział mu mrugnięciem oka i nazwał go „szanownym towarzyszem”. Przeszliśmy sześć półpięter i zatrzymaliśmy na klatce schodowej trzeciego piętra. Nenni zapukał trzy razy w drzwi, na których wisiała kartka wizytowa z nazwiskiem Comm. Felice Panconi, Szefa Wydziału w Ministerstwie Robót Publicznych.

Otworzyła nam drzwi pokojówka, czarniutka i w bardzo złym humorze, która z akcentem abruzzkim zaprosiła nas do środka. Dom, schody, klatka schodowa, drzwi, pokojówka, wąski i źle oświetlony przedpokój, były tyle razy i z tak wielkim upodobaniem opisane przez Alberto Moravię w jego powieściach i w jego opowiadaniach, że nie zdziwiłem się wcale, gdy wchodząc do salonu w guście Moravii, zobaczyłem kilku mężczyzn w średnim wieku, siedzących dokoła stołu przykrytego kremowym, jedwabnym obrusem. Wyglądali na przyzwyczajonych mieszczan. Na nasz widok podnieśli się, nie wiem zagniewani, czy zakłopotani, i powitali nas w milczeniu.

Pietro Nenni przestawił mnie właścicielowi mieszkania, który powiedział, że zna mnie z „otaczającej mnie sławy”, a następnie powtórzył moje nazwisko każdemu z obecnych. Ci zaś, je-

den po drugim, ściskali mnie za rękę, szeptać swoje nazwiska i zawody. Pomiędzy obecnymi był jeden profesor uniwersytetu, jeden dentysta, dwóch urzędników Ministerstwa Publicznego Nauczania, dyrektor małego banku prywatnego i jeden adwokat.

— *Teresa, przynieś-no kawy!* — krzyknął pan domu. Akcent którym wymówił to *przynieś-no kawy* uświadomił mi, że pochodził on z tej części Włoch, gdzie akcenty Abruzzi, Umbrii i Lazio spotykają się, zlewają i wzajemnie zanieczyszczają. Pokojówka przyniosła nam *kawy* a Comm. Panconi, nagle wesoły i rażny, zawołał: „Co nowego nam przynosicie? Może jakieś nowe zwycięstwo? Kiedyż to nareszcie nasi przyjaciele i alianci rosyjscy złamią na zawsze uchwałę kapitalistycznej Ameryki?” To powiedziałwszy, obejrzał się dokoła i zamilkł.

— Miejmy nadzieję, że już wkrótce! — zawołał, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, Pietro Nenni.

— Jestem dumny i szczęśliwy — powiedział dentysta chlapiąc kawę — że naród włoski okazuje się godny swoich sławnych tradycji. Trzeba zwyciężyć i zwyciężymy!

— Wszyscy Włosi są gotowi do ponoszenia najcięższych ofiar i do przelania własnej krwi, jeżeli to będzie niezbędne dla zwycięstwa narodu rosyjskiego — powiedział dyrektor Banku.

— Jeżeli idzie o mnie — zauważyłem — nie mam najmniejszej ochoty do przelewania dla zwycięstwa narodu rosyjskiego nie tylko jednej kropli krwi, ale nawet jednej kropli moczu!

Nenni trącił mnie łokciem, a wszyscy obecni obrócili się i patrzyli na mnie z głupimi minami.

— Malaparte nie dobrze się wyraził — rzekł Comm. Felice Panconi — na pewno chciał powiedzieć, że Rosjanie zwyciężą nawet bez naszych ofiar i bez krwi naszych synów.

— O właśnie, właśnie! — krzyknął Nenni — Malaparte bez wątpienia to chciał powiedzieć!

— Ależ nawet mi się nie śniło — zawołałem — chciałem powiedzieć to, co powiedziałem...

— Byłem przekonany — powiedział profesor Uniwersytetu ucinając mi słowa, cisnąc się na usta — człowiek tak inteligentny, jak pan, musi być dumny, przelewając własną krew w sprawie wolności sowieckiej!

— Niech żyje Rosja! Niech żyje Stalin! — przerwał jeden z urzędników Ministerstwa Publicznego Nauczania — klaszcząc w ręce.

— *Teresa, przynieś-no jeszcze kawy!* — krzyknął Comm. Felice Panconi.

W tym miejscu rozmowa przybrała charakter całkowicie już typowy dla Morawii, stała się beładna, gorąca, wszyscy mówili głosem podniesionym, usiłując przekrzyknąć jeden drugiego, wymachiwali przy tym rękami, jak gdyby dla przestraszenia przeciwników, lub odgrażania się im.

— Rosjanie są nadzwyczajni!

— Moje dziecko, które zwykle....

— Moja żona...

— Rosjanie mają złote serca! Pomyślcie! Całują dzieci na ulicy!

— Stalin wiele długich godzin dnia i nocy spędza na pieczeniu dzieci ludu. To jest bardzo męcząca praca. Statystyki

podają to jasno. Pieści około setki, ależ co ja mówię, tysiące, dziennie!

— Kiedy podła i egoistyczna Ameryka zostanie zniszczona, a żelazny krok legionów sowieckich zadźwięczy na asfaltowym bruku Wall Street...

— Wierzmy, że wkrótce! Wierzmy, że prędko! — krzyche- li wszyscy.

— ...kiedy wolność i sprawiedliwość sowiecka zatriumfuja nad światem...

— Zatriumfuja! zatriumfuja!

— ...pójdę z pielgrzymką do Moskwy, by ucałować ręce oswo- bodziciela Włoch!

— To jest wspaniała myśl! — krzyknął Nenni, patrząc mi prosto w oczy, jak gdyby chciał mi dać do zrozumienia coś, czego nie mogłem zrozumieć.

— Jedynie Rosja — wrzeszczał adwokat — może uwolnić narody uciemiężone przez tyranie burżuazyjną! Ja, jako mieszczanin... ja, jako Włoch... Tu zamilkł.

— No i cóż pan, jako Włoch? — zapytałem go po cichu.

— ...jako Włoch... jako Włoch... życzę sobie, aby Rosja trwała dłużej... trwała dłużej...

— ...dłużej niż Włochy — powiedziałem.

— Właśnie, że tak, właśnie że tak, dłużej niż Włochy! — krzychał dentysta bijąc pięścią w stół — przyszłość Włoch zależy od Rosji!

— Pan chce chyba powiedzieć, że zależy od Włochów.

— Od Włochów? — zawołali wszyscy, patrząc na mnie ze zdziwieniem.

W tym miejscu pan domu wstał i nakazując ciszę uroczystym ruchem, powiedział poważnie: „Jest już późno. Najroztropniej będzie rozwiązać zebranie. Jutro wieczór, o tej samej godzinie, poprowadzimy dalej dyskusję. Przed rozstaniem się skierujmy wzruszoną myśl do wszystkich naszych towarzyszy, którzy giną, jestem pewny, że nie z własnej winy, dla świętej sprawy wolności.

Uścisnęliśmy w milczeniu dłoń Comm. Felice Panconi i jeden za drugim, jak spiskowcy, wyszliśmy na palcach i zeszlismy na dół po schodach. Przechodząc koło portierni każdy wykrzykiwał swoje nazwisko w stronę portiera, który z głębi swej łoży odpowiadał: „Dobranoc, profesorze! Dobranoc, commendatore! Dobranoc, doktorze!” Kiedy przyszła kolej na mnie, a wychodziłem ostatni, powiedziałem głośno swoje nazwisko, a portier, pukając w szyby małego okienka, zapytał mnie kim jestem: „Malaparte? Zdaje mi się, że to po raz pierwszy...”

— To jeden z naszych — krzyknął Nenni.

— W porządku, szanowny towarzyszu — odrzekł portier.

Kiedy znaleźliśmy się na ulicy, powiedziałem do Nienniego: „I ty to nazywasz potajemnym zebraniem? przecież portier was wszystkich zna po nazwisku?”

— Lepiej jest unikać przykrości z policją — odparł Nenni — portierzy mają nakaz wysyłania co dzień wieczorem do Kwestury raportów, dotyczących potajemnych zebrań w ich domach. Przeciwdstawianie się przepisom policyjnym byłoby z na-

szej strony bezużyteczną nieostrożnością. Kwestura nie życzy sobie, aby robiono cokolwiek w ukryciu.

— Ale przecież jeżeli urzędniczki policję, to wasze zebranie nie jest potajemne! A poza tym jakiego typu spiskowcami jesteście? Czy wydaje ci się, że to jest sprawa serio, to potajemnie zbieranie się, aby śpiewać hymny pochwalne na rzecz Rosji?

— A co byś chciał, żebyśmy robili? — odpowiedział Nenni.  
— Na naszych zebraniach potajemnych jeden nie ma zaufania do drugiego, każdy boi się denuncjacji ze strony towarzyszy i dlatego każde zebranie kończy się tym, że — z ostrożności — współzawodniczymy ze sobą w wychwalaniu Rosji. Mój drogi, nigdy nie wiadomo! Ale pewnego dnia...

— Pewnego dnia?...

— Tego dnia, gdy Amerykanie uwolnią Europę spod sowieckiego jarzma, wszyscy ci, którzy dzisiaj biorą udział w naszych potajemnych zebraniach będą mieli prawo ogłoszenia się bohaterami i męczennikami wolności.

— Bohaterowie i męczennicy? — wykrzyknął.

— Bo widzisz — mówił dalej Nenni — liczy się nie to, że na naszych potajemnych zebraniach mówimy dobrze o Rosji, ale to, że niewątpliwie zbieramy się w zamiarze mówienia o niej źle. I ten zamiar obecnie niewykonywany, stanie się pewnego dnia naszą wielkością obywatelską.

— Aha, zrozumiałem! — powiedziałem upokorzony.

## R o z d z i a ł d z i e w i a t y

Wojna, drzemająca od tak długiego czasu, zbudziła się nagle, rozbrzmiewając swoim strasliwym echem z jednego końca świata na drugi. Deszcz pocisków raketowych wyrzucanych przez amerykańskie *missile-ships* zakotwiczone wzdłuż brzegów Nowej Ziemi, spadł na Leningrad.

W ciągu kilku chwil olbrzymie miasto Piotra Wielkiego zniknęło w czerwonej chmurze dymu i pyłu. Na lekkim łuku błotnistej brzegu, zakrzywiającego się dokoła ujścia Newy, tam, przy końcu Zatoki Finlandzkiej, gdzie niekończące się lasy schodzą z Ładogi, aby dotknąć morskich fal, jakby cudem, powstało nagle straszliwe pustkowie spalonego pyłu i zwapnionych kamieni, które przecinała leniwa i mulista rzeka, podobna do Eufratu przecinającego pustkowie Mezopotamii, ongiś bogatej w białe miasta i zielone pastwiska.

Gazety europejskie, kontrolowane przez cenzurę sowiecką, podawały jedynie niejasne wiadomości o zniszczeniu Leningradu, ujawniając w ten sposób, jak bardzo Rządowi Moskiewskiemu zależało na nierzucaniu paniki pomiędzy ludność okupowanych krajów. Ale wkrótce, poprzez niewidoczne, ukryte żyły, w których płynie tajemna krew zabronionych wiadomości, cała Europa wiedziała, że Leningrad jest spalony i zniszczony. Strach tak wielki padł na całą ludność, że każdy zdawał się odczuwać w powietrzu haniebną odór spalonego mięsa.

Pierwszą odpowiedzią Stalina na straszliwy atak amerykański, było przemówienie. To słynne przemówienie, którego mottem było: *palec za palec* i w którym, porównując Rosję sowiecką do przyjacielskiej dłoni, wyciągniętej ku Ameryce i parafrazując biblijną groźbę: oko za oko, ząb za ząb, Stalin oświadczył

silnym głosem przez radio: „W czasie, gdy ja wyciągałem rękę, ofiarując pokój narodowi Stanów Zjednoczonych, ciemne machinacje krwiożerczego kapitalizmu yankee rzuciły się na moją dłoń, ucinając mi palec. Na podłe ujadania Wall Street krzyczę: *Palec za palec*. Na mowę Stalina Truman odpowiedział tylko jednym słowem: *Nuts*, co w żargonie amerykańskim oznacza: „pocałuj mnie...”

Waszyngton przyswoił sobie natychmiast zdanie Stalina, tworząc z niego slogan, który wzniesła niebysową wesołość w całym narodzie i w całym wojsku amerykańskim, ośmieszający jednocześnie Stalina i Rosję Sowiecką. Lotnicy amerykańscy zasypali okupowane przez Rosjan kraje Europy i Azji setkami tysięcy ulotek, przedstawiających Stalina, stojącego na trybunie, wzniesionej na Czerwonym Placu przed Kremlem. Stalin podnosił ramiona, aby pokazać tłumom obie ręce z obciętymi dzieśmioma palcami. Na ulotkach był podpis: „Już więcej nie będzie mógł kraść wolności świata”.

Nie minęło i dziesięć dni od zniszczenia Leningradu, gdy huragan pocisków raketowych spadł na Kijów. Tam, gdzie do niedawna wyrastał święty Kijów, kolebka starodawnej kultury ruskiej, otwierał się teraz olbrzymi krater szeroki na dziesięć kilometrów. Fala terroru przebiegła przez Europę i dotarła aż do najdalszych zakątków Azji. Ale strach ludzi wskutek tego nagłego i nieoczekiwane zupełnie rozstrojenia się wojny, która przez tyle lat zdawała się stać w miejscu i o której sądzono, że zakończy się pewnego rodzaju kompromisem, był łagodzony zdziwieniem i ciekawością z powodu dziwnego zachowania się Rosjan. W tym samym czasie jarzmo sowieckie stawało się coraz dokuczliwsze i różne rządy komunistyczne, wyniesione do władzy na ostrzach rosyjskich bagnatów, zostały jeden po drugim rozwiązywane, a na ich miejsce przybywali nadzwyczajni Komisarze, nadsyłani samolotami z Moskwy. Jakieś tajemne wrzenie, jakiś gorączkowy niepokój dręczył głęboko masywny gmach sowieckiej okupacji.

Najsprawniejsze wiadomości przebiegały z ust do ust poprzez całą Europę. Wielu zapewniano, że nowe pancerne dywizje sowieckie przeszły w tych dniach granicę Renu i Wenecji Giulia, że, jak się wydaje, pochodzą one z głębi Niemiec, z samego serca Bałkanów, a być może iż jeszcze bardziej z daleka. Wielu innych przysięgało, że silne oddziały wojsk sowieckich opuszczają nie tylko Włochy, ale także Francję, Belgię i Szwajcarię, kierując się — jak się wydawało — w stronę Rosji. Oficerowie i żołnierze Włoskiej Armii, którzy w tym czasie powrócili z Hiszpanii opowiadali, że chociaż wojska sowieckie zajęły cały półwysep Iberyjski, okupowały Portugalię i oblegały Gibraltar, obecnie długie kolumny pociągów wyładowanych sprzętem i oddziałami wojskowymi, wychodzą z Hiszpanii przez Pireneje.

Także i we Włoszech nowa polityka, zapoczątkowana przez Moskwę po zniszczeniu Leningradu i Kijowa, przyniosła zmiany w sytuacji. Z dnia na dzień zastąpiono Togliattiego nadzwyczajnym Komisarzem, który spłynął z Moskwy z nieograniczonymi pełnomocnictwami. Stworzył on rząd z urzędników rosyjskich, wybranych, dziwnym przypadkiem, spośród urzędników sowieckiej policji. Ze wszystkich członków rozwiązanego gabinetu Togliattiego nie ruszono jedynie Missiroli'ego z jego sta-



nowiska Komisarza Ludowego dla Spraw Wewnętrznych. W każdym razie tak szeptano w pewnych kołach, ponieważ jak najszlachetniejsza tajemnica okrywała osoby i czyny nowego „Rządu Narodowego.”

Obiegały również najdziwniejsze pogłoski o losie Togliattiego. Mówiono, że uciekł, że się ukrywa, że go zesłano do dalekiej i lodowatej Syberii. Satyryczny dziennik rzymski, powstały z inspiracji sowieckiej i noszący nazwę „Krokodyl”, taką samą jak słynny dziennik humorystyczny moskiewski, podsuwał wreszcie, że Togliatti żyje najspokojniej w Rzymie i że trudni się wynajmem lokali. To ostatnie było bez wątpienia głupim oszczerstwem, zbyt łatwym, aby mogło być prawdziwe.

Osobiście nie wierzyłem tym wszystkim plotkom, wiedząc doskonale z dawnego, smutnego doświadczenia, jak jest rzeczą normalną w polityce być okrutnym w stosunku do ludzi, którzy popadli w niełaskę. Byłem bardzo rad, gdy pewnego dnia wytropiłem go przypadkiem, siedzącego na małej ławeczce w Pincio, niedaleko popiersia Pietro Cossa. Miał szyję owiniętą zielonym szalem, który ukrywał mu twarz aż po oczy. Był ubrany jeszcze przyzwoicie, ale wszystko w nim: spojrzenie, ruchy, postawa przestraszona i zbiedniała, zdradzało człowieka, przyzwyczajonego już do niewierzenia nawet własnemu cieniowi.

Kiedy spostrzegł, że na niego patrzę (byłem jeszcze w odległości jakichś pięćdziesięciu kroków), Togliatti zadrżał i zaczął udawać, że jest głęboko pogrążony w lekturze książki, którą ścisnął w bladych i drżących dłoniach. Ale gdy zbliżyłem się do niego, podniósł oczy i spojrzał na mnie z uśmiechem dziecka, zapanego na przewinie. Pozdrowiłem go po cichu, usiadłem obok niego, i zapytałem jak się miewa i czy mógłbym mu w czymkolwiek pomóc. „Prawdziwych przyjaciół — powiedziałem — poznaje się w biedzie.”

Togliatti patrzył na mnie przez chwilę spoza zapotniałych okularów i wydawał się wzruszony.

— Chodźmy stąd, nieroztropnie pozostawać tutaj — powiedział po chwili milczenia, ściskając mnie powoli za rękę.

Ruszyliśmy dróżką schowaną w szmaragdowym cieniu olbrzymich, zielonych drzew. Po kilku krokach Togliatti zwrócił twarz w moją stronę i głosem pełnym głębokiej słodyczy, powiedział: „Nigdy nie wyobrażałem sobie, że naród włoski ma tak dobre serce. Nigdy nie doświadczyłem tylu dowodów sympatii i poważania, jak teraz, kiedy jestem pogrążony w niełaskę”. Po tem wolno podniósł rękę i otarł nią oko.

— Dlaczego ocierasz tylko jedno oko? — miałem ochotę go zapytać. Pomyślawszy jednak, że wskutek dawnego komunistycznego przyzwyczajenia dzieli wszystko na sektory i komórki i dlatego płacze tylko jednym okiem na raz — powiedziałem:

„Włosi kochają ludzi w niełaskę. Zresztą jest prawdą, że u nas, tak samo jak gdziekolwiek indziej na świecie, naród kłania się dziś potężnym, ale ich nienawidzi. Dlatego też, gdy któryś z możliwych popada w niełaskę cały naród od razu żywi dla niego wiele sympatii, chęci pomocy, nawet poważania. Zresztą nie wiem czy jest na świecie drugi taki naród, jak naród włoski, posiadający tak żywe, głębokie i od dawna zakorzenione uczucia litości i współczucia dla bólu.”

— Gdybym ja wiedział przedtem! — zawołał Togliatti.

— Czy chcesz powiedzieć, że nie czekał byś wtedy tak długo na to, by popaść w niełaskę?

— Chcę, powiedzieć — odrzekł Togliatti z pokornym uśmiechem — że ufałbym wtedy bardziej Włochom niż Rosjanom i dzisiaj nie siedziałbym w takiej biedzie.

— Włosi są dobrzy — zauważyłem — i dzisiaj, kiedy obdarzyli cię sympatią z powodu twojej niełaski, zrobią wszystko, aby ci pomóc i obronić cię przed tymiż Rosjanami. Nawet więcej — zaśmiałem się — mogą cię rozstrzelać w momencie wściekłości, ale gdy gniew opadnie będą żałować i opłakiwać twoją śmierć.

— Poczieszasz mnie! — westchnął Togliatti.

— W międzyczasie skręciliśmy na drogę, prowadzącą pod arkady Pincio, gdzie znajduje się teatrzyk marionetek i gdzie kłusują osiołki, za parę groszy, noszące na swych grzbietach grzeczne dzieci. Mała grupka dziewczynek i chłopców, zebrana przed teatrzykiem, oglądała z otwartymi oczami i rozwartymi śmiechem ustami, Pulcinellę, uzbrojoną w kij, która obrzuciwszy Prezydenta Trumana, człowieka długiego i chudego w kostiumie Wujka Sama, stękiem neapolitańskich wyzwick, zaczęła okładać go uderzeniami po głowie i karku. „Okay! Okay!” wrzeszczała Pulcinella, bijąc. „Mamo! Mamusiu!” — krzyczał Truman, uciekając.

Patrzyłem na Togliattiego. Zaszła w nim dziwna zmiana od czasu, gdy widziałem go po raz ostatni. Wyglądał na uwolnionego od wielkiego ciężaru i prawie odmłodniał, może nie tyle na twarzy, będącej twarzą człowieka szarego i zmęczonego, ale w ruchach, w uśmiechu, w dzieciennym sposobie wymawiania najpoważniejszych słów. Spojrzał na osiołki i nagle powiedział: „Nie masz pojęcia, jak chciałbym się i ja przejechać!”

Było to niewątpliwie dawne marzenie, drzemiące w nim od lat dziecińczych, a które nagle wyłoniło się z jego duszy, z mętnego dna goryczy i zwątpienia. Spomiędzy bolesnych i sinych zmor nieszczęścia wypływały miękko przyjemne obrazy osiołków dla grzecznych dzieci. Osiołki zabiły w Togliattim Marksa i Stalina.

— Dlaczego nie spróbujesz? — powiedziałem, trącąc go lekko łokciem.

Togliatti zadrżał, zaczerwienił się, powoli zbliżył się do człowieka pilnującego zwierząt, wsunął mu w rękę cenę przejażdżki i wolno, wolniutko podnosząc nogę usiadł okrakiem na osiołku, który pochyliwszy uszy zaczął kłusować. Togliatti przebiegł w ten sposób jedno, dwa, trzy koła małej ujeżdżalni, oglądając się w koło wstydliwie a zarazem triumfująco. Potem zszedł z siodła i przechodząc obok mnie oddalił się, co chwila oglądając się w tył. Uśmiechał się jak szczęśliwe dziecko.

Od tego czasu widywałem go często. Przychodził wieczorem do mieszkania Nenniego i wszyscy trzej rozmawialiśmy przez długie godziny. Wydawało się, że myśli Togliattiego zajęte są coraz bardziej sprawą przyszłości rewolucji socjalnej we Włoszech i w całej Europie.

— Wspomnicie kiedyś — zaczął Togliatti — to co wam teraz mówię. Rewolucja we Włoszech nie będzie rewolucją robotniczą, będzie chiopska. Zagadnienie robotnicze w całej Europie zachodniej zostanie rozwiązane po wojnie formułą umiarkowa-

nego socjalizmu à la Saragat, ale bez Saragata. Walka rewolucyjna przesunie się na teren zagadnień rolniczych. Pokój społeczny w Europie zależy od reformy rolnej. Żaden naród nigdy nie będzie mógł iść z postępem czasu, nie będzie mógł być wolny, dopóki problem ziemi nie zostanie rozwiązany. We Włoszech, po tej wojnie robotnicy z pomocy kraju otrzymają przy pomocy Ameryki wszystko to, co w granicach rozsądku można mniej więcej otrzymać w kraju ubogim w surowce, w którym przemysł na skutek szczupłości rynku wewnętrznego, skazany jest na byt sztuczny i niepewny. Ale w wielkiej części Włoch centralnych i w całych Włoszech południowych chłopci muszą jeszcze wiele przecierpieć i wiele wywalczyć, aby zdobyć warunki życia, odpowiadające warunkom robotników z pomocy. Dopóki się nie stwori stałej równowagi pomiędzy Włochami robotniczymi a chłopskimi naród włoski nie będzie miał ani wolności, ani sprawiedliwości, ani dobrobytu, ani pokoju społecznego. Zagadnienie południowe, oto jedyny problem żywotny obecnych Włoch. Wszystko inne to są zagadnienia fałszywe.

— A dlaczego, gdy byłeś u władzy, nie próbowałeś rozwiązać zagadnienia południa? — zapytał Nenni.

— Gdyby Di Vittorio nie przeciwstawił się, jużbym trochę rozwiązał — odparł Togliatti. Jest jasne, że gdy we Włoszech przestanie istnieć zagadnienie południowe, biedny Di Vittorio zostanie bez zajęcia.

Ale najczęstszym tematem naszych niekończących się rozmów było bliskie lądowanie Amerykanów w Europie, albo w Azji. Anglia, Afryka Północna i Sycylia pękały od nadmiaru broni i armat. Z Grenlandii po Japonię, z Islandii po Alaskę, palił się już lont inwazji. Ze strony sowieckiej również wszystko było gotowe do decydującej próby. Na zniszczenie Leningradu i Kijowa Rosjanie odpowiedzieli — co prawda z pewnym opóźnieniem — rzucając kilka pocisków rakietowych na Chicago i New York. Całe dzielnice tych dwóch nieszczęsnych miast zniknęły w purpurowej chmurze dymu z niezmiernego pożaru. Radio Waszyngton, przez usta samego Prezydenta Trumana, zagroziło Rosji totalnym zniszczeniem, jeżeli nie zaprzestanie bombardowania miast amerykańskich. Stalin odpowiedział Trumanowi jednym słowem: „Naplewaiu”, co po rosyjsku — przykro mi powiedzieć — znaczy: „Pluję na ciebie”.

Po takiej wymianie grzeczności należało przewidzieć, myśląc logicznie, że Ameryka i Związek Sowiecki już w najbliższym czasie wezmą się za rby. A jednak... A jednak najbardziej dziwne wieści zaczęły przebiegać z ust do ust. Do wiadomości o szczególnych ruchach oddziałów sowieckich z Europy zachodniej do Rosji i z Rosji do Europy zachodniej, zaczęły się przyłączać i inne o jeszcze bardziej dziwnych przesunięciach konwoi amerykańskich na wodach Oceanu Spokojnego i Atlantyku. Jedni mówili, że oddziały Mac Arthura przygotowują się w Japonii do wylądowania na wybrzeżach Syberii i Chin, inni zaś zapewniali, że wprost przeciwnie, zbierają się nie tylko do opuszczenia archipelagu japońskiego, ale nawet całej Azji i że ruszą na południowy-wschód. Także samo oddziały amerykańskie, zgromadzone w Anglii i Afryce Północnej zdawały się gotowe do załadowania się na okręty, ale dokąd miały się udać?

Coś mówiło mi, że Ameryka i Rosja zaczynają odwracać się do siebie plecami.

Pewnego wieczoru, w czasie gdy ja i Nenni studiowaliśmy olbrzymią mapę, nagle otworzyły się drzwi i do pokoju wpadł Togliatti, oznajmiając nam wrzuszonym głosem, że król Umberto został aresztowany.

Nenni podskoczył na krześle, a ja zacząłem się śmiać.

— Cóż cię to obchodzi? — powiedziałem — nie chcesz mnie chyba zapewnić, że ci się to nie podoba.

— Ależ oni mu zrobią proces na sposób rosyjski — krzyknął Togliatti — zmuszą go do zeznania wszystkiego tego, co będą chcieli!

— Czy ciebie to dziwi? — przerwał Nenni, czerwieniąc się z oburzenia.

— Ależ oni go rozstrzelają! — zawołał Togliatti.

— Tak, rozstrzelają go — powiedziałem — a razem z nim rozstrzelają tysiące niewinnych, monarchistów i republikanów, wybranych spośród najbardziej znienawidzonych przez naszych rosyjskich panów. I pomyśleć, że ty narzekasz? Czy przedtem nie wiedziałeś, że procesy sowieckie zawsze kończą się w taki sam sposób?

Ale... — wyjąkał Togliatti.

— Odpowiedz nam raczej gdzie, jak i kiedy go zaaresztowano.

Togliatti przypomniał nam, że skoro wojska sowieckie zajęły Portugalii królowi Umberto udało się uciec i schronić — przynajmniej tak mówiono — we Włoszech. Następnie dodał, że od pewnego czasu w monarchistycznych kołach rzymskich chodziły pogłoski, że Król znajduje się w Rzymie, ukryty w domu przyjaciół.

— Poszukiwania policji rosyjskiej pozostałyby bez rezultatu — ciągnął dalej Togliatti — gdyby Król nie popełnił nieostrożności. Wydaje się, że aresztowano go przypadkowo, kilka godzin temu, w czasie, gdy w nieznanym celu, wychodził z bramy na Via Porpora. W pierwszej chwili policja sowiecka nie wiedziała, że to król Umberto. A teraz, co z nim będzie teraz?

Te ostatnie słowa Togliatti wymówił wrzuszonym głosem, i zamilkł. Potem wolno podniósł rękę i otarł nią oko — to prawe.

— A jak myślisz — zapytałem — kiedy wytoczą mu proces?

— Jutro — odparł Togliatti.

— Jakto — zawołał Nenni. — Dzisiaj go aresztowali i już jutro będzie proces?

— Rosjanie się śpieszą — powiedział Togliatti z westchnieniem, rozkładając ramiona.

Następnego dnia ogromny tłum skupił się dokoła Pałacu Sprawiedliwości, otoczony rzędem bagnatów sowieckich. Aula Trybunału Ludowego wypelniona była publicznością bladą i niespokojną. Kiedy Najjaśniejszy Pan ukazał się na ławie oskarżonych, drżenie przebiegło tłum. Król był bardzo biały i, jak mówią gazety, wyglądał tak, jakby był zahypnotyzowany.

Na pytanie Przewodniczącego Trybunału Król Umberto odpowiedział słabym głosem, że nazywa się Umberto Brusadelli.

— Umberto Brusadelli? — powtórzył Przewodniczący z uśmiechem — nie nazywacie się więc Umberto di Savoia?

Oskarżony oświadczył, że prawdziwe nazwisko jego rodziny brzmi Brusadelli, i że przydomek Savoia jest pseudonimem, przybranym przez jego przodków, w celu ukrycia ich krótkowzrocznej działalności w dziedzinie polityki zagranicznej.

— A więc osławiony Comm. Brusadelli jest waszym krewnym — powiedział Przewodniczący.

— Tak, to mój wuj — odparł obwiniony.

— Czy uznajecie się winnym zorganizowania spisku plutoczo-demokratycznego w celu obalenia Rzeczypospolitej Ludowej Włoskiej, jedynego prawowitego Rządu narodu włoskiego — zapytał Przewodniczący.

— Przyznaję się do winy — powiedział oskarżony — i zdaję się na łaskę Trybunału.

— Czy przyznajecie się — pytał dalej Przewodniczący — że w celach zysku usiłowaście popełnić morderstwo na osobie właściciela garażu Gramsi na Via Aurelia?

— Przyznaję się do winy — powiedział oskarżony.

— W jakim zamiarze usiłowaście popełnić ten zbrodniczy występki?

— W celu przywłaszczenia sobie sumy 3756 Lirów i 45 centesimów, którą właściciel garażu miał w portfelu — odparł oskarżony.

— W jakim celu potrzebna była wam taka suma? — zapytał Przewodniczący.

— Do sfinansowania buntu w narodzie włoskim przeciw Rzeczypospolitej Ludowej.

— Chcieliście więc restauracji Monarchii? — krzyknął Przewodniczący.

— Tak — odpowiedział oskarżony płaczącym głosem.

— Wprowadzić właściciela garażu — rozkazał Przewodniczący odźwiernym.

Garażysta wszedł. Był to osobnik wielki i tęgi, o fioletowej twarzy i nosie białym ze strachu.

— Czy poznajecie napastnika? — zapytał go Przewodniczący.

— Garażysta długo patrzył na Króla. W końcu powiedział: „Tak jest, poznaję go. Ten, który na mnie napadł był niskiego wzrostu, chuderlawy i miał bliznę na lewym policzku. A więc to on. Nie może być wątpliwości, że to on”.

— Dziękuję — rzekł Przewodniczący do garażysty — możecie odejść. — Czy przyznajecie się — mówił dalej, obracając się do oskarżonego — że dnia 12 ubiegłego miesiąca listopada, napisaliście list do sprzedawczynie drobiu, Teresy Fubini, zamieszkałej na Via della Croce, poruczając jej nawiązania kontaktu z Prezydentem Trumanem?

— Przyznaję się — odpowiedział oskarżony.

— Proszę odczytać list, o którym mowa — rozkazał Prezydent kancelistom Trybunału.

List Najjaśniejszego Pana do sprzedawczynie drobiu, Teresy Fubini, utrzymany był w następującym tonie: *Droga Pani Tereso, czy będzie Pani tak dobra, by przysłać mi pół kilograma baraniny? Ma się rozumieć na kredyt. Czemuż nie mam miliardów dolarów Trumana, zabić należałoby tego łobuza!*

\* — Przeczytajcie podpis! — rozkazał Przewodniczący kancelistom.

Ociążający dokument opatrzone był podpisem: „Pani Rosa”.

— Czy przyznajecie, że to wasz podpis? — zapytał Przewodniczący oskarżonego.

— Tak — odpowiedział Król słabym głosem.

— Teraz przejdziemy do świadków oskarżenia — powiedział Przewodniczący, a zwracając się do odźwiernych, dodał: „Wprowadzić dr Pinelli”.

Rozpoczęła się defilada świadków oskarżenia. Dr Pinelli oświadczył, że w roku 1942 widział oskarżonego na czele kolony zbrojnych spiskowców na Via Casilina.

— Jak ubrani byli spiskowcy? — zapytał go Przewodniczący.

— Jak żołnierze Królewskiego Wojska — odpowiedział świadek.

— Aha! Ah tak! — krzyknął Przewodniczący z uśmiechem — jak żołnierze Królewskiego Wojska!

Inny świadek ujawnił, że kilka lat przedtem oskarżony projektował małżeństwo z córką belgijskiego kapitalisty, znanego wyzyskiwacza proletariatu. Jeszcze inny oświadczył, że dziesięć lat przedtem spotkał oskarżonego w Sestriere na czele licznej grupy narciarzy, z którą kierował się na Rzym z zamiarem obalenia siłą Rzeczypospolitej Ludowej.

Oskarżony na ten zarzut struchlał i jakby wyrwany ze złości oświadczył, że w tym czasie nie było we Włoszech Rzeczypospolitej Ludowej, ale Monarchia.

— Omyliłem się — oświadczył świadek — chciałem powiedzieć: z zamiarem obalenia Monarchii!

W tym miejscu zdarzył się hałaśliwy incydent. Oskarżyciel Publiczny, wskazując palcem na oskarżonego, krzyknął: „Wasz cynizm jest obrazą Sprawiedliwości Ludowej! Wstydzcie się przynajmniej tego, że wypowiedzieliście Rosji przed wiekiem, tę haniebną wojnę, którą wasi przodkowie nazwali Wojną Krymską! Zapomnieliście więc, że Rosja jest dzisiaj naszym sprzymierzeńcem, naszą nową łacińską siostrzycą?”

— Oskarżony odpowiedział pokornie, że przed wiekiem był jeszcze małoletni i nie ponosił całkowicie odpowiedzialności za swoje czyny, i że wskutek tego odwołuje się do wspaniałomyślności Trybunału Ludowego.

— Do wspaniałomyślności Trybunału Ludowego! — sztychł Oskarżyciel Publiczny.

— Czy przyznajecie się — zapytał oskarżonego Przewodniczący — że za sumę 45.000 Lirów sprzedaliście Włochy firmie Baccigalupo z Genui, specjalistom od zniszczeń i odszkodowań wojennych?

Król wahał się przez chwilę. Skutki narkotyków widocznie były w jego twarzy bladej, mokrej od potu, w drżeniu, które wstrząsało jego rękami. W pewnej chwili, jakby stężał i oświadczył jasnym, silnym głosem: „Przyznaję, że jestem winny tego haniebnego występk!”

Szmer osłupienia przebiegł po tłumie. Rozległy się tu i ówdzie stłumione jęki i ledwo wstrzymywane szloch.

Ale w tej samej chwili drzwi auli otworzyły się na oścież i do środka wpadła grupa młodzieży krzycząc: „Amerykanie wyładowali! Niech żyją Włochy! Niech żyje wolność!”

Na ten okrzyk tłum wydał straszliwy ryk, rzucił się na strażę, na odźwiernych, na kancelistów i na sędziów, przewrócił Przewodniczącego Trybunału, podeptał Oskarżyciela Publicznego, złamał bariery ławy oskarżonych, które zamykały Króla. Sto rąk go pochwyliło, sto ramion podniosło go w górę, krzycząc: „uciekaj, uciekaj, pocziwcze! W kilka chwil cała aula była pusta, zaś okrzyki: „Niech żyje Ameryka! Niech żyją Włochy! Niech żyje wolność!” rozbrzmiewały jak huk grzmotu po-przez Rzym i całe Włochy.

## R o z d z i a ł d z i e s i ą t y

Amerykanie nareszcie wylądowali! Zbliżał się dzień wyzwolenia. Niezmierzone pochody ludności przemierzały główne ulice wielkich miast europejskich, wychwalając Amerykę, mimo daremnych przestrzeżeń policji rosyjskiej. Plamy krwi poczyniły wykwić na brukach ulic.

W Paryżu na Place de la Concorde policja otworzyła ogień na dwustutysięczny tłum obywateli. Pięćdziesięciu czterech zabitych i ponad trzystu rannych pozostało na asfalcie placu. Prawdziwe, rzeczywiste powstania wybuchły w Marsylii, w Turynie, w Mediolanie, w Brukseli i w Bernie. Robotnicy Fiata w Turynie napadli i spalili siedzibę Izby Pracy, a Roveda wyrwawszy się z trudem gniewowi ludu uratował się wygłaszając antykomunistyczne przemówienie z balkonu Pałacu Madama. W Genui, Mediolanie i Florencji liczba zabitych i rannych sięgała tysięcy. W Rzymie niespodziewana ulewa rozpedziła tłum właśnie w chwili, gdy trójkolorowa chorągiew miała być wywieszona na wieży Campidoglio. „I wierz tu pogodzie!”, mówili Rzymianie. W Madrycie szła ludności powtórzył sceny odmalowane przez Goyę. W Neapolu, który jest miastem najspokojniejszym na świecie, ludność polowała na garnizon rosyjski, a potem stanęła kamieniem na Piazza Municipio, przed portem, oczekując na lądowanie Amerykanów. W sercach Neapolitańczyków żywe były jeszcze wspomnienia dobrodziejstw „wyzwolenia”: starzy opowiadali potomkom o niezapomnianych dniach wrześnieowych w 1943 roku, a młodzi oczekiwali z niespokojną radością powrotu dawnych „oswobodzicieli”.

Ale godziny i dni mijały, a coraz szczelniejsza tajemnica w dalszym ciągu osłaniała pamiętne zdarzenie. Komunikaty rosyjskie w tej sprawie były bardzo suche, zaś dzienniki europejskie, kontrolowane przez cenzurę sowiecką, ogłaszały jedynie nieważne informacje na temat „przyszłego lądowania amerykańskiego”. Bardziej przebiegli zaczęli podejrzewać, że wszystko to jest wymysłem propagandy rosyjskiej, ale bardziej naiwni, a tych była olbrzymia większość, w dalszym ciągu zapytawali gdzie, u diabła, mogli wylądować ci osławieni „oswobodziciele”. W Azji? w Europie? w Indiach? na Syberii? w Chinach? w Skandynawii? czy w Grecji? Francuzi mówili, że Amerykanie wylądowali we Włoszech. We Włoszech wszyscy byli przekonani, że wylądowali we Francji. W Hiszpanii zapew-

Roveda — komunista; nie przeszedł przez przeszkolenie w Rosji i dlatego obecnie odsunięty od wpływów w partii. Przed 1943 r. przywódca nielegalnej wówczas włoskiej partii komunistycznej.

niano, że na pewno wylądowali we Francji albo we Włoszech. W Niemczech zaś usilnie powtarzano, że Amerykanie wylądowali w Hiszpanii i Norwegii.

Niektórzy potajemni radiosłuchacze złapali komunikat z New Yorku, z którego wynikało, że na wiadomość o lądowaniu szaleńcze objawy radości ogarnęły wszystkie miasta Stanów Zjednoczonych. Aż do tej chwili nic dziwnego. Ale inny komunikat, nadany przez radio chicagowskie, ogłosił, że oddziały amerykańskie zostały przyjęte z „dzikim entuzjazmem” przez całą ludność „amerykańską”. Amerykańską?

Przesunięcie oddziałów sowieckich odbywały się jednocześnie z dnia na dzień w coraz gwałtowniejszym tempie. Nie było już wątpliwości, że Rosjanie odchodzą, opuszczają Europę. Nie można było powiedzieć, że uciekają, ale to opuszczanie przypominało dziwnie gwałtowne wycofywanie się. Przed jakim niebezpieczeństwem wycofywali się, przed jaką groźbą? Jeżeli Rosjanie rzeczywiście opuszczają Europę, to oznaczało najdobitniej, że wycofywują się pod przemożnym naciskiem wojsk amerykańskich, które wylądowały w jakiejś części kontynentu europejskiego. Ale ponieważ nikt, w żadnej części Europy, do tego dnia, do tej chwili, nie widział ani jednego żołnierza amerykańskiego, zaczęto nabierać podejrzania, że może prawdziwą była wiadomość, iż Amerykanie znaleźli sposób, aby stać się niewidzialnymi przy pomocy słynnej „narkozy atomowej”, o której mówiono już od dawna.

Do tych hipotez i do tych marzeń dołączały się różne i sprzeczne głosy, które wicher nadziei przynosił ze wszystkich stron kuli ziemskiej. Rybacy sycylijscy płynący łodzią w poprzek cieśniny Messyńskiej, zatarasowanej polami minowymi, aż do brzegów kalabryjskich, oświadczyli, że Sycylia została opuszczona przez Amerykanów i że w całej Afryce Północnej od ujścia Nilu aż po najdalszy Atlas nie ma już więcej ani jednego Amerykanina. Wiadomość, że oddziały generała Mac Arthura opuściły Japonię, była już potwierdzona z różnych stron, poza tym nikt już nie miał wątpliwości, że wojska amerykańskie, obozujące w Anglii odpłynęły w stronę jakiegoś nieznanego portu. W każdym razie nie ulegało wątpliwości, że Rosjanie się wycofują. A także wydawało się pewne, że Amerykanie wylądowali. Ale gdzie? jak? kiedy?

Za plecami wycofujących się Rosjan rozgrywały się sceny wzruszającego entuzjazmu. Ze wszystkich bram i ze wszystkich okien (wydawało się, że nawet ze szczelin w murach) płynęły rzeki ludzi popisując się kokardami i naramiennikami coraz dziwniejszymi i nieoczekiwanymi, rzucały się na ulice, krzycząc i płacząc z radości. Zaimprovizowani mówcy przemawiali do tłumów na placach, ogłaszając, że „dzięki naszym nieodpartym zaletom, dzięki bohaterstwu, któremu daliśmy świetne dowody w zacieklej, nieustannej, krwawej walce przeciw rosyjskiemu cięmiężcy”, przemoc sowiecka została złamana, a Europa nareszcie odzyskała wolność. O lądowaniu Amerykanów, ci zapalczywi mówcy nie wspominali ani słowem, jak gdyby chcąc utwierdzić legendę, że narody Europy „wyzwoliły się” same i że skutek tego za swoją wolność nie są niczymi dłużnikami. Bardzo przyjemna legenda, jeżeli jest prawdziwa. Tak myśleli starożytni: „prawdziwa wolność nie ma długów”.

Ale pewnego pięknego dnia gęsta zasłona, która spowijała lądowanie amerykańskie została rozdarta z cudowną gwałtownością piorunu przez bardzo dziwną wiadomość rzuconą przez radio nowojorskie:

#### AMERYKANIE WYLĄDOWALI W AMERYCE!

Pożary wzniesione w niektórych dzielnicach Chicago i New Yorku kilkoma rosyjskimi pociskami raketowymi i zrzucone trzech czy czterech torped powietrznych na Boston wywołały panikę w amerykańskiej opinii publicznej. Zaczęto wołać, że oswobodzenie Europy i Azji obchodzi o wiele więcej narody europejskie niż azjatyckie niż rolników z Middle West'u, co zresztą było niewątpliwie bardzo słuszne. Zaczęto domagać się wielkim głosem, aby wojska amerykańskie, rozsypane po świecie w przewidywaniu desantu w Azji i Europie, zostały natychmiast odwołane do ojczyzny dla obrony kobiet i dzieci amerykańskich.

Niedorzeczna hipoteza, że święta ziemia amerykańska mogłaby być potrąwana i splamiona nogami rosyjskiego najeźdźcy wzniesła w Amerykanach strach i gniew, nie do uwierzenia. Cała prasa republikańska czy demokratyczna, jednogłośnie oskarżała Prezydenta Trumana, że bardziej mu leży na sercu obrona Japonii, Afryki Północnej i Anglii niż obrona terytorium Stanów Zjednoczonych. Na próżno Prezydent Truman starał się przeciwstawić temu głupiemu i niebezpiecznemu rozszerzeniu, wzniesionemu strachem przed inwazją sowiecką. Po rewolcie, jaka wybuchła w Waszyngtonie, w czasie której tłum w szale zaatakował Biały Dom, Prezydent musiał w końcu ustąpić i odwołać zza morza wojska amerykańskie dla obrony ojczyzny, zagrożonej rosyjskim najazdem. Z Japonii, Australii, Sycylii, Środkowego Wschodu, Afryki Północnej, Anglii, Islandii i Grenlandii oddziały amerykańskie podniosły kotwice i całą siłą pary popłynęły w stronę Ameryki i wylądowały na brzegach Stanów Zjednoczonych, przyjęte bezprzytomnym entuzjazmem ludności.

To niespodziewane, nieoczekiwane lądowanie Amerykanów w Ameryce zaskoczyło całkowicie najwyższe władze sowieckie, które wietrząc w tych strategicznych przesunięciach jakąś chytrą zdradę ze strony nieufnego przeciwnika, podejrzewały, że do tego wielkiego i zadziwiającego podstępu została wprowadzona jakaś nowa tajemnicza broń. Bojąc się więc o całość Rosji władze sowieckie, jak to powiedział w swoim przemówieniu Stalin, pośpieszyły „zaciśnąć pięść”, to jest zebrać wszystkie siły sowieckie na własnym terytorium, pozostawiając narody europejskie ich własnemu losowi. Zagrożenie Związku Sowieckiego przez Amerykę szło już teraz nie z Wysp Brytyjskich, nie z Islandii, nie z Afryki Północnej, ale z „rewolweru amerykańskiego”, dla którego Alaska stanowiła wylot lufy. Całe wspaniałe wojsko sowieckie stało więc w pogotowiu, plecami oparte o Ural z głową zwróconą we wschodnie krańce Syberii.

A więc, wycofanie oddziałów sowieckich i ich pospieszny powrót do Rosji był konsekwencją lądowania Amerykanów w Ameryce. A więc komuż, jak nie Amerykanom, winniśmy i tym razem wdzięczność za to, że zostaliśmy „uwolnieni”? I czy mogliśmy kiedy marzyć o bardziej łagodnej, bardziej czystej, i mniej dla nas niebezpiecznej formie tego oswobodzenia bez

oswobodzicieli? Do jakiej doskonałości doszła technika amerykańska! Potęga wojsk Stanów Zjednoczonych jest tak wielka, i tak wielki jest ich czar, że sam fakt zrzeczenia się inwazji Europy i postanowienie powrotu do Ameryki z bronią i wszelakim dobrem, spowodował natychmiastowe wycofanie się wojsk rosyjskich i uwolnienie narodów europejskich. Od Gibraltaru po Petsamo, od ujścia Sekwany do ujścia Dunaju cała Europa stała z rozdziawionymi ustami. „Jakaż siła w tej Ameryce! Zwycięża wojny odchodząc! Odejdźcie do domu zmusza nieprzyjaciela do zrobienia tego samego! Co za strategia!”

Na pewno, nigdy nie było zwycięstwa tak pełnego, tak decydującego. Tym bardziej więc to wycofanie się ośmieszyło tych najdzielniejszych, i najślawniejszych Rosjan. Powracać do domu pod pretekstem obrony Rosji, jedynie dlatego tylko, że Amerykanie powrócili do domu pod pozorem obrony Ameryki, było dla narodów nie tylko upadkiem prestiżu Stalina, komunizmu i Związku Sowieckiego, ale jednocześnie wyrokiem skazującym tę wojnę i wszystkie przyszłe wojny. Umierały w śmieśności działa i szable, pancerne wozy, bagnety, bomby atomowe i pociski raketowe, samoloty stratosferyczne, medale, galony, mundury, inwazje, walki, rozstrzeliwania, zwycięstwa, klęski i zmarli bohaterowie.

Nareszcie można było prowadzić wojnę siedząc u siebie w domu! Czyż potrzeba było teraz okupować terytorium nieprzyjaciela, żeby zwyciężyć? Któż by dziś uwierzył tej przestarzałej myśli, że po to, aby pobić wojska rosyjskie, należy zająć Europę, Azję, Afrykę, a w końcu samą Rosję? Wystarcza pozostać w Ameryce, albo najwyżej wrócić. Albo kto by dłużej wierzył w przestarzały mit komunistyczny, że aby pobić kapitalizm amerykański konieczne jest zajęcie Azji, Europy, Afryki, a w końcu Ameryki? Wystarczy zostać u siebie, albo wrócić do Rosji! A wystarczyło tylko kilka pocisków raketowych, zrzuconych na Chicago, New York i Boston, aby stał się ten cud. Dziesięć pocisków jedynie! Co to by było, gdyby te nieliczne pociski sięgały setki! Można by uwierzyć, że wtedy Amerykanie uciekliby do Rosji, a Rosjanie do Ameryki!

Podczas, gdy te zadziwiające fakty miały miejsce w obu walczących obozach, popatrzmy co się działo w Europie, w której dawne słowo — wolność — w sposób zastępowało nowe słowo — wyzwolenie. Co mieliśmy z wolności w chwili, gdy była ona wyzwoleniem? I ponieważ wyzwolenie wyklucza wolność, kto ośmielał się mówić o wolności był zagrożony wyzwoleniem, jeżeli wprost nie był oskarżony jako zdradca ojczyzny i wróg kultury. Kto uważał, że jest wolny, nie zadawałnając się tym, że był wyzwolony, był traktowany jako burzyciel rodziny, społeczeństwa, Państwa. A ponieważ wyzwolenie nastąpiło bez pomocy oswobodzicieli i wskutek tego nie było rzeczą konkretną, lecz abstrakcyjną, jak gdyby jakaś religią bez Boga, przeto kto wzywał wolności uważany był za wroga religii.

I tak na śladach wycofywujących się Rosjan tworzyły się we wszystkich krajach Europy państwa, których oficjalną religią, było wyzwolenie, które nie nastąpiło i w których, w imię wyzwolenia, obywatele byli rządzeni z najgłębszą pogardą dla wolności. A jako, że we wszystkich krajach Europy panowała

ogromna nędza, przeto wymyślono nową gospodarke, nazywaną „gospodarką wyzwolenia”, odpowiadającą polityce o tej samej nazwie. Obydwie one zależały od żelaznej organizacji policyjnej, która nie mogąc działać swoim własnym autorytetem ograniczona była do doskonałej formy nędzy i anarchii, jakiej jeszcze nie było na świecie. Rządy różnych krajów Europy nie będąc więc w stanie wyżyć narodów ni chlebem ni wolnością, żywiły je nienawiścią. Ponieważ wszyscy, a specjalnie ci, którzy rzadzili, byli w ten czy inny sposób winni ogólnej nędzy i w ten czy inny sposób odpowiedzialni za to, co w ostatnich latach działo się w Europie, przeto nienawiść tak publiczna jak i prywatna skupiła się na tych nielicznych niewinnych obywatelach, którzy nie mieli w latach okupacji nieprzyjacielskiej i w dniach wyzwolenia na tyle rozsądku, by przypisać sobie w ostatniej chwili jakąś winę, stwarzając w ten sposób dla siebie jakąś zasługę w oczach odpowiedzialnych i mogąc się włączyć do triumfującej bandy winnych.

We Włoszech zresztą, jak zawsze, rozum szybko wziął górę nad głupotą. Saragat był u władzy i przy niej pozostawał, popierany wysiłkiem wszystkich Włochów, nawet tych, którzy by go chętnie widzieli w więzieniu. Rząd Saragata był słaby, ale w jaki sposób mógł być mocny? i dlaczego? do czego służy silny rząd w słabym kraju? do uciskania obywateli? Biada słabym narodom, które chcą mieć u siebie silny rząd! Ponieważ zawsze tak bywa, że silny zjada słabego! Zresztą Włosi zawsze sobie życzą, aby ich własny Rząd był o tyle silniejszy, o ile Włochy są słabsze, uważając przy tym, że powinni być najsłabszy wtedy, gdy Włochy są silne, albo sobie wyobrażają, że są silne.

Teraz wymagano od Saragata, aby był najsilniejszy; żeby odbudował Włochy ze skorup, stworzył obfitość z niczego, zbliżnił śliną rany wojny i okupacji sowieckiej, porozdawał wszystkim dobrobyt i wolność i poręczył narodowi już nie „chleb i pracę”, ale „chleb i omastę”. Bądźmy sprawiedliwi, co mógł zrobić ten biedny Saragat w kraju zniszczonym, któremu Ameryka, w przeciwnieństwie do tego co się działo w roku 1945 i następnych, okazywała, że chce o nim zapomnieć? Nie pozostawało Saragatowi nic innego, jak usiłowanie stworzenia we Włoszech „społeczeństwa socjalistycznego”, to jest usiłowanie wyzwolenia narodu przynajmniej nadzieją, jeżeli nie mógł chlebem i wolnością. To jest nadzieją w lepszą przyszłość i w nadzieście sprawiedliwości społecznej.

Ale doświadczenie rosyjskie pokazało, niestety, że fatalnym błędem Stalina było to, że chciał „budować socjalizm” w Rosji bez pomocy kapitalizmu amerykańskiego, jak gdyby nie wiedział, że bez pomocy kapitalizmu amerykańskiego, nic się nie da na świecie zrobić. Nic, nawet komunizm. Co mógł więc przedsięwziąć biedny Saragat, gdy kapitalistyczna Ameryka zdawała się nie interesować Włochami, a kapitalizm włoski okazywał się, i był w rzeczywistości, zbiedzony i poniżony przez tyle obaw, tyle przeciwnieństw, tyle grabieży?

Muszę w tym miejscu przeprosić czytelnika za to, że niekiedy wydaje się jakbym wymawiał na serio rzeczy głupie albo śmieszne. Na moją obronę chcę powiedzieć, że raczej jest odwrotnie: w tej mojej *Historii jutra* (która wydaje się być napisana dla rozrywki, a w rzeczywistości pisana jest ze łzami w oczach i

nie tyle, dla rozrywki ile po to, by dać do myślenia), zawsze mówiłem rzeczy serio, śmiejąc się, a im były one bardziej serio i bardziej poważne, tym bardziej wydawało się, że żartuję, albo lepiej, o tyle bardziej serio i poważnie się śmiałem.

Pozwoliłem sobie już zauważyć, że w Europie, takiej jak nasza, nic nie jest do pomyslenia, nawet komunizm, bez pomocy kapitalizmu amerykańskiego. Jeżeli idzie o Saragata, powie-działem, że jego słabość zależała od ubóstwa kapitalizmu włoskiego i obojętności kapitalizmu amerykańskiego dla spraw europejskich. I że w konsekwencji tego biedny Saragat, nie wiedząc co przedsięwziąć i nie mogąc nic zdziałać, był zdany na rządzenie nędzą włoską przy pomocy sprawiedliwości, co jest rzeczą o tyle bardziej szlachetną, i bardziej włoską, niż rządzenie nędzą przy pomocy niesprawiedliwości. Ten socjalizm, wzywany przez Saragata w jego przemówieniach nie miał nic wspólnego z programem, wykonywanym w praktyce przez jego Rząd. Ale ta nazwa podobała się ludności, dźwięczała najpiękniej w uszach Włochów i była przeto słowem dobrze wybranym. Ale czego nie mógłby zrobić, jeżeliby zamiast słowa socjalizm wybrał najprostsze słowo — Italia?

Poza tym jakieś dziwne uczucie rodziło się w narodach europejskich, a specjalnie w narodzie włoskim, który ze wszystkich jest najbardziej prostoduszny, najbardziej uparty w pracy, najbardziej doświadczony w nieszczęściach i głodzie. Po tylu hańbach zaczęto się we Włoszech wstydić własnych hańb i poczęto rozumieć, że nasze nieszczęścia przychodziły raczej od nas samych, niż od innych. Ze ani Niemcy, ani Rosjanie nie byliby najeźdźcami, gdyby nie było złych Włochów, a Amerykanie nie byliby oswoobodzicielami, gdyby nie było rodzimych zdrajców. I że obcy nie mogliby kupić Włoch i ich zniewolić, gdyby nie było złych Włochów, którzy je sprzedali. Zrozumieliśmy na koniec, zwłaszcza najmłodszy spośród nas, że Włoch jest coś wart wtedy, gdy jest Włochem, ale wtedy, gdy jest dobrym Włochem, tak samo jak Francuz, Hiszpan, Anglik jest tylko wtedy coś wart, jeżeli jest dobrym Francuzem, Hiszpanem czy Anglikiem. I że nazwa Italia jest synonimem wszystkich dobrych rzeczy, jakie istnieją na świecie: piękności, dobroci, odwagi, siły, szlachetności, a w końcu wolności, zaś wszystko co jest gwałtem, zdradą, co nie jest szlachetnością i nie jest wolnością z Italią nie ma nic wspólnego.

To uczucie rodziło się w narodzie nie tylko w związku z radością z „wyzwolenia”, ale z wszystkich nieszczęść i gwałtów, które cierpiał w ostatnich latach. Rodziło się z umarłych, ze wszystkiego co było martwe w nas i dokoła nas. Rodziło się z epoki gwałtu, podłości, upokorzenia, głodu, strachu i rozpacz. Było to uczucie świeże i miękkie i ciepłe, jak nowa gałąź, która wyrasta na wiosnę z martwego drzewa. Skończył się długi niepokój, skończył się długi strach: powrócił spokój. A pomiędzy wszystkimi narodami Europy naród włoski najmniej się rumienił z powodu tego szczęśliwego powrotu do pokoju.

Było przecież prawdą, że wojna pomiędzy Ameryką i Rosją toczyła się daleko, wprost stratosferycznych przestrzeni, gdzie krzyżowały się z gwizdem pociski rosyjskie i ame-

rykańskie. Była to wojna odległa, prawie mityczna, która raz gasła, raz się zapalała, aby wybuchnąć niespodziewanie straszliwym płomieniem, ale na krótką chwilę, nie dając wielkich szkód ani wielkich zysków dla jednego czy drugiego przeciwnika. Stała się ona dla narodów europejskich, tak daleka, tak abstrakcyjna, nużąca, jak guerilla, pomiędzy dwoma szczepami afrykańskimi czy północnych Indyj.

U nas powoli wszystko wracało do normy. Zamiatano ulice, zamazywano na murach napisy "Niech żyje Rosja!", chowano zmarłych, ale z poszanowaniem, z miłosierdziem chrześcijańskim, nie tak jak się dzieje gdzie indziej, gdzie zmarłych rzuca się na śmietnik. Wielu żywych trzymało się na uboczu, pod pretekstem, że musieliby grzebać nie tylko zmarłych, ale także niektórych żywych. Najszlachetniejsze uczucie, godne starożytnych, nigdy nie przestane go chwalić w epoce, w której to że się przeżyło jest jedyną racją pozwalającą mówić źle o umarłych.

Pomiędzy tymi przedziwnymi przykładami mądrości i prawości nie mogę nie wspomnieć Prezydenta Einaudi, który opuścił Kwirynał i żył odosobniony w górach Piemontu, oświadczając, że wystarczało pozostać na swoim miejscu w godzinie niebezpieczeństwa, i że dzisiaj, kiedy niebezpieczeństwo minęło, pozostawia to stanowisko innym, bardziej godnym i bardziej ciepłym od niego. Wielu sądziło, że to był elegancki sposób oświadczenia, że jest zmęczony Republiką.

Na najwyższy urząd państwowy wybrano wobec tego starego polityka, o którym myślano, że już od wielu lat nie żyje, a który aż do tego dnia żył ukryty w małym miasteczku swego rodzinnego Piemonte. Był to człowiek, którego imienia nawet nie znają młodsze pokolenia, niejaki Giovanni Giolitti, który, jak się wydawało dał w przeszłości wiele dowodów rozsądku i uczciwości w służbie dla dobra publicznego. Powrót Giolitti'ego na arenę polityczną był przez wszystkich powitany z radością, specjalnie przez lud, któremu podobały się nowe nazwiska, jako oznaka gruntownego odrodzenia życia narodowego po straszliwej i nieszczęsnej tragedii ostatnich lat.

Wszystko więc powracało do dawnego porządku włoskiego, rodzinnego i prowincjonalnego. Naród powracał do swojego najdawniejszego zwyczaju gromadnych spacerów po ulicach i placach z okrzykami radości i śpiewem. We wszystkich miastach Włoch takie oznaki publicznego zadowolenia bywały rzeczami codziennymi, którym stary Giolitti przyglądał się zza okna Kwirynału z uśmiechem i potraszając głową.

Pewnej niedzieli znalazłem się wraz z Pietro Nenni na Corso Umberto przed pałacem Sciarra, kiedy zobaczyłem nadchodzący od strony Piazza Venezia olbrzymi pochód ludzi. Na czele pochodu dumnie kroczył Palmiro Togliatti, powiewając wielkim trójkolorowym sztandarem. Towarzyszył mu gesty tłum szaleńców machających biało-czerwono-zielonymi chorągiewkami i krzyczących: „Precz z Rosją! Śmierć Związkowi Sowietkiemu! Niech żyją Włochy! Niech żyje Ameryka! Niech żyje

Giolitti Giovanni — dawno nieżyjący, kilkakrotny premier włoski w okresie lat 1890 — 1920.

wolność!" Przyjrzałem się im dobrze. Byli to: Longo, Mosca-telli, Secchia, Terracini, Grieco i inni komuniści tego typu.

— Śmieję się — powiedziałem do Nenni.

— Nie rozumiem co chcesz przez to powiedzieć — odparł Nenni.

— Zaczyna się na nowo — powiedziałem.

— A co w tym złego? W końcu przecież trzeba się zdecydować, żeby rozpocząć na nowo.

— Nie ma w tym nic złego — rzekłem — ale śmieję się. I są zawsze ci sami.

— Ty także jesteś zawsze ten sam — odrzekł Nenni.

— Pewnie, ja także jestem zawsze ten sam, i ty również.

— Wszyscy jesteśmy zawsze ci sami — zauważył Nenni — i nie widzę w tym nic złego.

— *Plus ça change et plus c'est la même chose.*

— Bez wątpienia — powiedział Nenni — ale oni, teraz, wołają: *Niech żyją Włochy!*

— Czy nie wydaje ci się, że trochę za późno?

— Tak, rzeczywiście jest trochę za późno — odrzekł Nenni, czerwieniąc się.

I ja także zaczerwieniłem się.

Chateau des Alouettes - Herblay (Seine et Oise).

Styczeń — Marzec 1949.

# "ORZEŁ BIAŁY"

TYGODNIK POLITYCZNO-LITERACKI

WYDAWCA: **GRYF PUBLICATIONS LTD.**  
59/61, Hatton Garden — London E.C.1.  
Tel. CHAncery 5094.

ADRES REDAKCJI: c/o **R. PIESTRZYŃSKI,**  
32 Blenheim Gardens — London N.W.2.

*Przedstawicielstwa w Austrii, Belgii, Francji,  
Holandii, Norwegii, Szwajcarii, Szwecji i we Włoszech  
Nadto w Argentynie, Kanadzie, Libanie, Płd. Afryce  
w Stanach Zjednoczonych.*

● **Cena egzemplarza:**

We FRANCJI 25 franków fr. ★ W BELGII 5 franków belg.  
W WIELKIEJ BRYTANII: 1/-

● **P r e n u m e r a t a :**

We FRANCJI miesięcznie 100 fr. fr.; kwartalnie 300 fr. fr.  
W BELGII miesięcznie 20 fr. belg., kwartalnie 60 fr. belg.  
W WIELKIEJ BRYTANII: miesięcznie 4/4, kwartalnie 12/  
rocznie 45/.

● **Prenumeratę przyjmują:**

WE FRANCJI: *Libella*, 12, rue St. Louis en l'Île, Paris IV,  
nr. konta pocztowego Paris cc 565.150.  
W BELGII: *J. Roskiewicz*, 44, Rue Vinçotte — Bruxelles  
nr. konta pocztowego 3172.28.  
W ARGENTYNIE: *Składnica Książki Polskiej*, Av. Leandro  
N. Alem. 641, Buenos Aires.

OGŁOSZENIA: (za 1 cal przez 1 łam = £ 1)

przyjmują przedstawicielstwa «Orła Białego,  
na terenie zaś W. Brytanii wyłącznie firma

**CARLTON BERRY LTD.,**  
Grand Buildings, Trafalgar Sq., LONDON W.C.2.

## Arkusze poetyckie

### Zwierciadło

*Szukam odbicia twej twarzy:  
odbicia, które jest więcej niż odbiciem,  
twarzy, która jest więcej niż twarzą,  
szukam w zwierciadle wody  
odbicia  
twarzy.*

*Wyciągam z zakątków pamięci  
drobniutkie ułamki zwierciadła,  
wyciągam z pamięci,  
co wciąż pamięta  
drobne ułamki  
twej twarzy.*

*Składam tęsknotą, miłością pasuje  
drobniutkie ułamki zwierciadła,  
tęsknotą upartą,  
miłością upartą  
układam w zwierciadle  
odbicie  
twej twarzy.*

*Daremnie. Twa twarz się zmienia,  
wykrzywia się,  
pęka,  
zanika . . .  
To tylko czas rzuca kamienie,  
w zwierciadło wody,  
w twą twarz.*

**Henryk MIRZWIŃSKI**



## Czasem

Chcesz wierzyć, czy nie —  
to nie ważne —

Stało się to w czwartym wymiarze  
w dniu nieobjętym czasem,  
poza nawiasem  
ludzkiej historii i myśli.

W każdym razie  
nie dzisiaj,  
nie tu.

Głos wpadł do studni kopanej wieczorem  
i nie wrócił,  
a bluszcz,

staby, uparty bluszcz  
wspinał się po ścianie,  
wspinał . . .  
lecz nie mógł wejść na szczyt.

Było już takich wielu:  
wszyscy chcieli

a nie mógł nikt  
ująć to ludzką mową  
w prawa natury i sztuki  
wcielić, pomierzyć i zważyć.  
Nie mogli —  
stało się to w czwartym wymiarze.

W subtelnej, pajęczej przędzy,  
co noc zawiesiła na poprzek  
palce wikłają się więzą:  
nikt tam nie dotrze  
ni słowem, ni myślą.

Tylko czasem poeci  
mogą to wyśnić  
Czasem.

Henryk MIRZWIŃSKI

## Podróż irracjonalna

Białe konie z Rosmerholmu pod gankiem  
zaprzężone w piekielny wehikuł.  
Odjeżdżasz mussetowy kochanku,  
tak nagle. Uciekasz. Znikasz.

Na te zimno północnych fiordów  
krwi krążenia nie wystarczy do jutra.  
Żatujesz. Czego ci szkoda?  
Zawiń się w dobre futro.

Książyc-grzebień czesze opopy  
twojej dachy, czapy myśliwskiej.  
Jedziemy — do eskimosów.  
Nie blisko.

Spod kopyt, każda — śladu odbicie,  
wylatują śnieżyste grudki.  
Mimi i jej rezedy w ogródku  
zamarzły. Takie życie.

Przeminęło wraz z dylizanssem  
i trąbką pocztyliona.  
Zawadziła o stońce Prowansu  
kometą. Chmurnym ogonem.

Odgadał wszystko norweg-czarodziej,  
w białe konie zamienił żalost —  
za tym co wciąż odchodzi,  
a może — nie istniało.

Więc — poniosą, o kochanku z Musseta,  
w skośnookie, nieufne dale —  
cień czy — papierową sylwetę,  
wyciętą z starych żurnali.

Jerzy DOŁĘGA-KOWALEWSKI

## Deo Juvante

Gdy ludzie odwracają oczy,  
wprost w oczy patrzy — Bóg.  
Bóg trędowatych, liszajowych,  
żebraków, głupków, wodogłowych,  
beznogich — —

Bóg tych, co między „ja” a Bogiem  
nie mają nic prócz a m e n,  
zajękliwego słowa,  
zdartego z owrzodzonych ust,  
wsnutego w ślizg kikutów,  
i — „zmituj się nad nami”  
aż do ostatniej minuty  
rozpaczy.

Gdy ludzie odwracają oczy,  
Bóg — przygląda się baczniej.

Bóg bezradnych,  
nieumiejących sobie wystawiać domy,  
niewiedzących co to giełda i sprzedaż,  
niepraktycznych,  
wstydzących się czegoś „nie dać”  
nieprawdy nienauczonych,  
ignorantów pobożnych tekstów — —

Bóg zdradzonych  
i w niewolę oddanych,  
bez niczyjego protestu.

Bóg zagadujący kłęski  
i zatajone tragiczne —  
łzy po kątach — —

Ten — w przydrożnej kapliczce — —  
Naiwnie rzeźbiony Świątek —  
Jezusek Nazareński.

Jerzy DOŁĘGA-KOWALEWSKI

**Wydawca: EDITION ET LIBRAIRIE « LIBELLA »**  
12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV<sup>e</sup>)  
Directeur-gérant: Roger Grosjean.

Imprimerie S.N.I.E., 32, rue de Ménilmontant — Paris (20<sup>e</sup>)  
Dépôt légal: 3<sup>e</sup> trimestre 1949.

# KULTURA

pod redakcją Jerzego Giedroycia

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (Seine-et-Oise).  
Telefon: Maisons Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egzempl. pojed.	Prenumerata	
		½ roczna	Roczna
<b>FRANCJA:</b> «Libella», 12, rue St-Louis en l'Île, Paris IV <sup>e</sup>	120 fr.	650 fr.	1200 fr.
<b>W. BRYTANIA:</b> «GRYP» Publications Ltd., 59/61 Hatton Garden, London E.C. 1.	3 sh.	16 sh.	30 sh.
<b>WŁOCHY:</b> Jan Grochowski, 81, via della Croce, Roma.	200 lir	1200 lir	2000 lir
<b>SZWECJA:</b> Red. Norbert Żaba, Kallskärsgatan 3, Stockholm	2,50 kr.	12 kor.	22 kor.
<b>NIEMCY:</b> Wojciech Zaleski, (14 a) Heilbronn, Polish Camp Schwabenhof	2,50 DM	15 DM.	25 DM.
<b>SZWAJCARIA:</b> Dr Mieczysław Sangowicz, Fribourg 1, case 155.	1,80 sfr.	10 sfr.	18 sfr.
<b>ARGENTYNA:</b> Jan Miecznikowski, «Składnica Książki Polskiej», Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires	3 peso	18 peso	30 peso
<b>KANADA:</b> Books and Newspapers Agency, H. R. Radomski, 400, Palmerstone Blvd., Toronto/Ont., tel. ME 0609	75 cent.	4 dol.	6 dol.
<b>U.S.A.:</b> M. K. Dziewanowski, 9, Oxford Street, Cambridge 38, Mass.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
<b>BELGIA:</b> Marie Christ, Janta-Poleczyńska, 24 Grande Rue au Bois, Bruxelles, 3, Konto-Cheque Postal 244 113 — Bruxelles	20 bfr.	100 bfr.	180 bfr.
<b>AFRYKA POŁUDNIOWA:</b> Janusz Kruszyński, 71, Raglan Street, Sydeham, Johannesburg	3 sh.	16 sh.	30 sh.
<b>BRAZYLIA:</b> Prenumeraty przyjmuje: Julia Barcińska, C. Postal 4528, Rio de Janeiro.	15 cruz	90 cruz	150 cruz

Koszta przesyłki pojed. nru: 20 fr. fr. przy prenumeracie rocznej — 240 fr. fr.; przy półrocznej — 120 fr. fr.

Cena ogłoszeń: cała strona 6.000 fr. fr.; ½ strony 4.000 fr. fr.

Redaktor przyjmuje po uprzednim porozumieniu się  
listownym lub telefonicznym

Redakcja KULTURY rękopisy nadesłane a nie zamówione zwraca jedynie przy załączeniu znaczków pocztowych na porto

KULTURA omawia w pierwszym rzędzie książki i czasopisma nadsyłane do redakcji w 2-ch egzemplarzach

# UNIVERSUM / RCS

po przerwie wywołanej trudnościami przy przedłużeniu licencji prasowej, ukaże się w ciągu września. Najbliższy (4/20) numer zawierać będzie m. inn. artykuły Z. Abdanka, R. Wragi, A. Zagórskiego, W. Zaleskiego i innych.

**Adres redakcji i administracji**

**w Niemczech brzmi obecnie:**

**(14 a) HEILBRONN — POLISH CAMP SCHWABENHOF.**

Prenumeratorów, którzy wyemigrowali z Niemiec, prosimy o podanie swych nowych adresów administracji pisma w Niemczech, o ile mają prenumeratę opłaconą z góry, w przeciwnym razie o zwrócenie się do przedstawicieli, którzy we Francji, Kanadzie, Argentynie, Włoszech, Szwajcarii są również przedstawicielami "Kultury".

**Adres redakcji i administracji w Londynie pozostaje niezmieniony (17, Penywern Road, London SW5).**

## TEKI HISTORYCZNE

**kwartalnik,**

**wydawany przez Polskie Towarzystwo Historyczne**

**w Wielkiej Brytanii.**

Ostatni zeszyt, podwójny, za styczeń-czerwiec b. r. przynosi następujące rozprawy: RED.: "Wrocławski kongres historyczny"; LEON KOCZY: "Relacja o Słowianach Ibrahima ibn Jakuba"; MARIAN KUKIEL: "O Kościuszkę"; EDMUND OPPMAN: "Powojenna historiografia brytyjska, francuska i polska wobec "Wiosny Ludów", oraz działy: recenzji, wspomnień pośmiertnych i kroniki.

**Cena zeszytu 3 sh. Prenumerata roczna 12 sh.**

**Do nabycia w polskich księgarniach oraz w administracji:  
Polish Historical Society, c/o 20 Princes Gate, London SW7**